

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ

Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek

87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186

e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl



Adres

61-663 Poznań

AK
Wiln

3 zdy (ony)

Zg

JABŁOŃSKA Danuta
zam. Frąckowiak

995/LSK
1

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 995 / usk

JABŁOŃSKA Danuta

zam. Frąckowiak

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 – relacja właściwa ✓

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

II. Materiały uzupełniające relację ✓

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

III/1 – dot. rodziny relatora

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. — 1945

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939–1945) —

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r.

III/5 – inne...

IV. Korespondencja ✓

.....
.....
.....
.....

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] ✓

VI. Fotografie ✓

II RELACJA właściwa

- Relacja własna, 1998, podpisany wydruk, L. 13.1



995

JKH

Relacja WSK

• **O służbie wojennej kobiet odbytej w latach 1939-1947 w kraju**

I. Danuta Jabłońska (od 1950 mężatka - Frąckowiak)

pseudonimu nie miałam-kontaktowałam się z moją bezpośrednią przełożoną, która była moją nauczycielką i opiekunką na tajnych kompletach z p. prof. Martą Skorko (obecnie Skorko-Barańska)

Urodziłam się 8.10.1925 roku w Warszawie, ojciec Aleksander Jabłoński -fizyk, wtedy asystent UW, potem docent, po wojnie prof. UMK; matka Wiktoria z Gutowskich - nauczycielka muzyki.

Obecny adres : Danuta Frąckowiak, ul. Winogrody 42 B, 61 663 Poznań, tel (61) 8 238 948

II. Przed wojną ukończyłam I klasę Gimnazjum im Elizy Orzeszkowej w Wilnie

III W czasie kampanii wrześniowej pracowałam w Białym Krzyżu (razem z koleżankami ze szkoły). W kampanii brał udział mój Ojciec oficer saperów. Bił się pod Wizną i w Osowcu. Ranny.

IV Ojciec wpieryw internowany na Litwie, potem w Kozielsku II, u gen. Andersa i w Anglii, matka choruje. Po strajku szkolnym znajduję się poza szkołą. Tajne komplety. potem rok szkoły za okupacji Sowieckiej i znów komplety. Równocześnie z nauką pracuję na utrzymanie rodziny; sprzedaję gazety, potem pracuję w kuchni dla niemieckich kolejarzy, następnie w szpitalu. Na kompletach uzyskuję maturę.

V. Jeszcze przed maturą (o ile pamiętam na jesieni 1942) zostaję zaprzysiężona (A.K.) przez p. Martę Skorko. JAK DOWIEDZIAŁAM SIĘ PO WOJNIE pracowałam w kancelarii Szefa Sztabu Okręgu Wileńskiego płk. Lubosława Krzeszkowskiego (pseudonim Ludwik).

Odszyfrowywałam mniej ważną korespondencję. Ważniejsza była przechowywana też u mnie ale w skrytce, której nie wolno mi było otwierać. Odbierałam i zносиłam tą korespondencję w umówione miejsce. W tej „mojej” korespondencji bywały instrukcje dla kurierów (miejsca kontaktowe, hasła), awanse itp. Tylko raz było coś o zrzuceniu samolotu. Wszystkie miejsca też miały zakonspirowane nazwy. Żadnych czynów bohaterskich nie dokonałam. Po akcji „Ostra Brama”, w której nie brałam udziału (byłam chora), zgodnie z otrzymaną instrukcją „moje” archiwum zakopałam w piwnicy w metalowym pudełku. W porównaniu z Kolegami, którzy odcierpieli wywózkę np. do kopalni, nic mi się nie stało.

VII W żadnych tajnych organizacjach po repatriacji (Białystok, Warszawa) nie brałam udziału.

IX Po wojnie studiowałam, uzyskałam mgr, dr, habilitację, profesurę zw. Wysłałam za mąż za Mieczysława Frąckowiaka (zmarł 1974r). Urodziłam dwoje dzieci (Maria i Wojciech). Do żadnej partii w okresie PRL nie należałam.

Przynależności do AK w życiorysie w okresie PRL nie podawałam. Uważam moją wojenną działalność konspiracyjną za znikomą. Co jakiś czas prosiłam o bardziej aktywny przydział, ale moja bezpośrednia przełożona uważała, że w mojej sytuacji rodzinnej (Ojciec „na wojnie”, Matka chora) to nie jest wskazane.

35 1498

Danuta Frąckowiak
(-) Danuta Frąckowiak

II Materiały uzupełniające relację

- Biogram D. Jabłotnickiej, *Wileńskie Rozmaitości* 1996., k.1 s. 1-2 (Legz. k.1 s. 3)
- D. Frąckowiak zd. Jabłotnicka, *Wojna* - opiszana na podstawie wspomnień i korespondencji rodzinnej, zbindowany wydruk, paginacja nieurzędowa okładka + str. 1-118.



gospodarstwie rolnym.

W grudniu 1942 wstępuje do AK. W IV Kompanii Terenowej → 78. PP w Kroszynie pełni funkcję łączniczki K-dia Okregu → por. Witolda Leniewskiego („Wiktor”, „Strzala”), a następnie K-dia → Ofrodek „Puszcza” → kpt. Andrzej Wierzbickiego („Józef”). Przenosi meldunki, broń i amunicję. Wiosną 1943 kończy tajny kurs sanitary.

Zagrożona aresztowaniem przez Gestapo decydują kpt. „Józefa” zostaje przerzucona do Terespoła n/Bugiem, gdzie ponownie zaprzysiężona wznawia w lipcu 1944 (po wkroczeniu Armii Czerwonej) działalność łączniczką.

W 1945 zgłasza się do Państwowego Gimnazjum i Liceum Żeńskiego w Gdyni, gdzie w 1948 uzyskuje świadectwo dojrzałości. Wychodzi za mąż. Rozpoczyna studia na Wydziale Historycznym WSP w Gdańsku, a w 1969 otrzymuje tytuł mgr. po czym rozpoczyna pracę w II Liceum Ogólnokształcącym im. Adama Mickiewicza w Gdyni.

W 1983 przechodzi na emeryturę. Jest członkiem SZZAK.

Odznaczona: Krzyżem Armii Krajowej (1979), Złotym Krzyżem Zasługi (1983), Odznaka Pamiątkowa „Akcji Burza” (1994), Odznaka Weterana Walk o Niepodległość (1995)

Relacja własna Krystyna Marii Sobienieckiej

Jan Brodowski

78 PUŁK PIECHOTY STRZELCÓW ŚLUCKICH

1. Początki rodowodu

W Obwodzie Stołpeckim – „Słup”, na odległej rubieży wschodniej Okręgu Nowogródzkiego Armii Krajowej w marcu 1944 zostaje reaktywowany z oddziału partyzanckiego „331” – 78. Pułk Piechoty AK – Strzelców Słuckich o dawnym (przed wrzesniem

1939) miejscu postoju w Baranowiczach.

Pułk ten, którego formowanie rozpoczęło w lutym 1920 w Baranowiczach w składzie 2. Dywizji Litewsko-Białoruskiej, nawiązuje swoją nazwą do historycznych korzeni: pochodzenia ochotniczego zaciągu żołnierskiego z ziem ongiś należących do dziedzicznego Księstwa Słuckiego Olelkowiczów, a potem Radziwiłłów. Ziemi te od drugiej połowy XVI w. weszły na stałe w wytyczone w tym czasie po raz pierwszy granice woj. nowogródzkiego łącznie z trzema powiatami: wołkowskim, słonimskim, nowogródzkim.

Początkowo sformowany zostaje Baon Zapasowy, z którego na mocy rozkazu Ministra Spraw Wojskowych 10 kwietnia 1920 wyłania się Słucki Pułk Strzelców w składzie dwóch batalionów piechoty i kompanii technicznej. Kompanie karabinów maszynowych powstają później w Grodnie.

2. Wojna 1920 r.

W czterech Pułk obejmuje służbę na północnym odcinku 60 km linii demarkacyjnej polsko-litewskiej od Taurogiana w rejonie Uclany po Dynenburg. W pierwszych dniach lipca Pułk, dzieląc odrębnymi batalionami, walczy na dwa fronty przeciw zaczepnym wyścigom Litewskim i w walkach odwrotnych z bolszewikami.

6 lipca II bat. opuszcza pogranicze litewskie i wkracza w rejonie Ignajna w wtr walk ponosząc ciężkie straty w starciach z nieprzyjacielskim korpusem sowieckiej jazdy Gał-Chana. Dwie kompanie zostają rozbite, zdezorientowany batalion, cofając się z pozycji na pozycję, 13 lipca osiąga Niemenczyn.

I batalion po zejściu z linii demarkacyjnej 7 lipca traci jedną kompanię wziętą do niewoli przez Litwinów i walczą w rejonie Dukasz nad jez. Dzisna i

26 06 2002
3679/lask/



IABŁOŃSKA
DANUTA

Cofka Aleksandra i Wiktorii z Guto-wskich urodziła się 8 października 1925 w Warszawie w środowisku intelektualnym (ojciec – fizyk docent USB, matka – nauczycielka muzyki).

Do wybuchu wojny w 1939 kończy I. klasę Gimnazjum im. Elżby Orzeszowej w Wilnie. Bierze udział w strajku szkolnym – proleście przeciwko zwolnieniu polskich nauczycieli przez litewskiego okupanta, a następnie (od 2. klasy) kontynuuje naukę w kompletach tajnego nauczania. Równocześnie – na skutek internowania ojca przez AC (Kołatowo, Kozłelsk) – pomaga w utrzymaniu rodziny sprzedając gazety, pracując w kuchni kolejowej, w szpitalu.

Jesienią 1942, zaprzysiężona przez → Martę Skorko, rozpoczyna działalność konspiracyjną. Do jej obowiązków należy szyfrowanie, odszyfrowywanie i przechowywanie korespondencji – praca w kancelarii Szeła Szabur → plk. Lubosława Krzeszkowskiego („Ludwik”).

Po eksportacji zatrzymuje się w Toruniu, gdzie podejmuje studia w zakresie fizyki na UMK. W 1950 uzyskuje tytuł magistra, w tymże roku wychodzi za mąż za Mieczysława Frąckowiaka, w 1957 broni pracę doktorską, w 1964 – habilitację, w 1972 otrzymuje tytuł prof. nadzwyczajnego, w 1974 – prof. zwyczajnego.

Po przesiedzeniu się do Poznania pracuje w WSR jako kierownik katedry, a następnie przez 8 lat w Politechnice

Warszawskiej na stanowisku dyrektora instytutu.

W ciągu 5 lat pracuje za granicą jako „wizytujący badacz i profesor” w: USA, Kanadzie, Japonii.

Jest autorką ponad 150 publikacji. W 1995 przechodzi na emeryturę. Wielokrotnie nagradzana przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Medalem Komisji Narodowej, Krzyżem Oficerskim OOP i innymi.

Relacja Danuta Frąckowiak

Jan Malinowski



JEZEWski IAN
(1904–1982),
pseud. „Żegota”

Syn Leonarda i Franciszki z d. Kępka urodził się 17 stycznia 1904 w Rykach (pow. Garwolin).

Po ukończeniu w 1922 Roczego Kursu Buchalteryjnego w Warszawie do 1925 pracuje jako pomocnik księgowego w Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Garwolinie i Fruzanie. Od 1 października 1925 do 30 marca 1927, powołany do czynnej służby wojskowej, najpierw pełni ją w I Oddziale Służby Intendencji, a następnie w Departamencie Intendencji oraz w Komisji Likwidacyjnej Głównego Urzędu Zaopatrywania Armii. W okresie tym ma stopień kpr.

27 grudnia 1927 jako podoficer zawodowy wstępuje do 3 Dywizjonu Żandarmerii w Grodnie, skąd po roku zostaje przeniesiony do Platonu Żandarmerii w Wilnie. Tu od 1935 do września 1939 pełni obowiązki szefa plutonu w stopniu wachmistrza.

Słowo patriotyzm składa się z miłości ziemi, z której się wyrosło i z miłości historii.
Na obojętność nie ma w tym słowie miejsca.

WILEŃSKIE

Towarzystwo Miłośników Wilna



ROZMAITOŚCI

i Ziemi Wileńskiej — Oddział w Bydgoszczy



Po upadku powstania styczniowego 1863 rozpoczął się na obszarze dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego wieloletni okres zbrodniczej działalności Rosji, dążącej do wynarodowienia zamieszkałej tam ludności polskiej. Przede wszystkim zatroszczono się o wyeliminowanie języka polskiego z możliwie wszystkich dziedzin życia jego mieszkańców. Na Litwie zabroniono w miejscach publicznych mówić po polsku. Usunięto język polski z urzędów i szkół, nawet prywatnych. W Wilnie zamknięto teatr polski, zawieszono drukowanie gazet i wydawnictw w tym języku.

Z dziejów prasy polskiej w Wilnie: „TYGODNIK WILEŃSKI” 1910–1911

Usiłowania te okazały się jednak daremne. Cały naród rozpoczął bezkruwą walkę, trwającą aż do I wojny światowej, z działalnością rusyfikacyjną zaborcy. Dopiero rewolucja w 1905 r. spowodowała pewną zmianę na lepsze. 5 czerwca 1905 r. mogły się odbyć w Wilnie pierwsze po 40 latach przedstawienia teatralne w języku polskim, a od 4/17 października 1906 r. rozpoczęła działalność Teatr Polski Nuni Młodzieżowskiej.

Rok 1905 przyniósł również reformę prawa prasowego obowiązującego jeszcze od lat siedemdziesiątych XIX w., która wprowadziła równouprawnienie prasy obcojęzycznej (m.in. również polskiej) z prasą rosyjską. Umożliwiło to wydawanie pism polskich nie tylko w samej Rosji, ale również na Litwie, Białorusi i Ukrainie. W latach 1905–1914 powstało w Wilnie kilkadziesiąt różnego rodzaju pism: dzienników, tygodników i wiele czasopism, a miasto to stało się największym po Warszawie ośrodkiem wydawniczym prasy polskiej w państwie rosyjskim.

We wrześniu 1905 r. ukazał się w Wilnie pierwszy po 40 latach dziennik w języku polskim – „Kurier Litewski”. Redaktorem pisma został znany publicysta, literat Czesław Jankowski, a w 1908 r. kierownikiem literackim Eliza Orzeszkowa.

Wśród wielu tytułów prasy polskiej wydawanej w Wilnie przed I wojną światową należy wymienić – „Dziennik Wileński”, „Kurier Wileński”, „Gazetę za 2 grosze”, z tygodników – „Zorzę Wileńską”, „Przyjaciela Ludu”, „Jutrzenkę”, a z pism satyrycznych – „Plotkę Wileńską”.

Prasę litewską reprezentował przede wszystkim „Vilniaus Žinios” („Wiadomo-

ści Wileńskie”), prasę białoruską tygodnik „Nasza Niwa”, a żydowską „Heed Hasman” (Echo Świata) dziennik w języku hebrajskim i pismo zargonowe „Wilnaer Wochenblatt”.

Taką sytuację zastał Ferdynand Ruszczyk (1870–1936), gdy w 1909 r. zamieszkał na stałe w Wilnie. Razem ze swoim przyjacielem (1874–1962) Wacławem Gizbert Studnickim, od 1909 archiwariuszem miejskim w Wilnie (w okresie międzywojennym dyrektorem Archiwum Państwowego) postanowili wydawać w 1910 r. w Wilnie pismo ilustrowane. Nazwali je „Tygodnikiem Wileńskim” nawiązując do pisma, które pod tą samą nazwą wychodziło w Wilnie prawie sto lat temu w 1815 r.

W pierwszym numerze z grudnia 1910-rodzonego pisma, w słowie wstępnym Ruszczyk pisał: *Dajemy mu dawną nazwę ufni, że ciągłość jest rękojmią niestannego oddziaływania się. Pismo nasze ma zapłacić lukę, którą wielu odczuwa – brak pisma ilustrowanego, a poświęconego życiu na Litwie i Rusi.*

Wydawcy „Tygodnika Wileńskiego” zapewnili pismu stałą współpracę szeregu znanych literatów, historyków, publicystów i poetów nie tylko stale przebywających w Wilnie – m.in. Benedykta Hertza, Henryka Mościckiego, Stefana Okulicza, Napoleona Rouby, Wandy Stanisławskiej, mińszczanina Władysława Śliżnia, Lucjana Uziębły, Józefa Wierzyńskiego. Swoje własne artykuły Ruszczyk podpisywał pseudonimem „o-K-o”. W „Tygodniku” ukazał się również szereg utworów poetyckich – Władysława Renarda-Czarnockiego, Zdzi-

śława Kleszczyńskiego, Mery Morozowiczówny, mińszczanina Bogusława Adamowicza i wielu, wielu innych.

Nad oprawą artystyczną pisma czuwał Ferdynand Ruszczyk. Poza okładką wykonał on wiele rysunków i winiet. Ozdobę tygodnika stanowiły również liczne zdjęcia, których autorami byli wybitni fotograficy. Zapisali się oni chlubnie w dziejach fotografii polskiej. Wśród nich należy wymienić przede wszystkim Jana Bułhaka, Stanisława Fleury i Stefana Zyberk-Platera.

Żywot „Tygodnika Wileńskiego” był niestety krótki, trwał zaledwie 5 miesięcy (od grudnia 1910 do kwietnia 1911). W tym okresie ukazało się kilkanaście numerów pisma, ostatni podwójny 15/16 nosi datę 10/23 kwietnia 1911 r.

„Tygodnik” redagowany był bardzo żywo, a tematyka poruszana na jego łamach była zadziwiająco szeroka, od publicystyki, historii, literatury, sztuki, po teatr i poezję. Pismo to dzisiaj trudno dostępne, jest bogatym źródłem do poznania życia mieszkańców Wilna i całego regionu, które w niełatwych warunkach politycznych mogło być tak bardzo urozmaicone i ciekawe.

Kilka numerów „Tygodnika Wileńskiego” miało charakter tematyczny, i tak nr. 3 (16/29 ze stycznia 1911) zawierał głównie artykuły dotyczące katedry wileńskiej, w tym jeden Ferdynanda Ruszczyka („o-K-o”) – pt. „Piękno naszej Katedry”. Nr 7 (13/26 z 2 lutego 1911) – w całości poświęcony był Józefowi Montwiłłowi (1850–1911) wybitnemu filantropowi wileńskiemu, którego pomnik ustawiony w Wilnie w 1932 w pobliżu kościoła Franciszkanów, przetrwał do dzisiaj.

Dok. na str. 6

Wielki Rocznik 4 (1996) 13



JABŁOŃSKA
DANUTA

Córka Aleksandra i Wiktorii z Gutowskich urodziła się 8 października 1925 w Warszawie w środowisku inteligentnym (ojciec – fizyk docent USB, matka – nauczycielka muzyki).

Do wybuchu wojny w 1939 kończy 1. klasę Gimnazjum im. Elżby Orzeszowej w Wilnie. Bierze udział w strajku szkolnym – proteście przeciwko zwolnieniu polskich nauczycieli przez litewskiego okupanta, a następnie (od 2. klasy) kontynuuje naukę w kompletach tajnego nauczania. Równocześnie – na skutek internowania ojca przez AC (Kolatowo, Kozielsk) – pomaga w utrzymaniu rodziny sprzedając gazety, pracując w kuchni kolejowej, w szpitalu.

Jesienią 1942, zaprzysiężona przez → Martę Skorko, rozpoczyna działalność konspiracyjną. Do jej obowiązków należy szyfrowanie, odszyfrowywanie i przechowywanie korespondencji – praca w kancelarii Szefa Sztabu → płk. Lubosława Krzeszkowskiego („Ludwik”).

Po ekspatriacji zatrzymuje się w Toruniu, gdzie podejmuje studia w zakresie fizyki na UMK. W 1950 uzyskuje tytuł magistra, w tymże roku wychodzi za mąż za Mieczysława Frąckowiaka, w 1957 broni pracę doktorską, w 1964 – habilitację, w 1972 otrzymuje tytuł prof. nadzwyczajnego, w 1978 – prof. zwyczajnego.

Po przeniesieniu się do Poznania pracuje w WSR jako kierownik katedry, a następnie przez 8 lat w Politech-

nice Poznańskiej na stanowisku dyrektora instytutu.

W ciągu 5 lat pracuje za granicą jako „wizytujący badacz i profesor” w: USA, Kanadzie, Japonii.

Jest autorką ponad 150 publikacji.

W 1995 przechodzi na emeryturę.

Wielokrotnie nagradzana przez Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego została m.in. odznaczona Medalem Komisji Narodowej, Krzyżem Oficerskim OOP i innymi.

Relacja Danuta Frąckowiak

Jan Malinowski



JEŻEWSKI JAN
(1904–1982),
pseud. „Żegota”

Syn Leonarda i Franciszki z d. Kępka urodził się 17 stycznia 1904 w Rykach (pow. Garwolin).

Po ukończeniu w 1922 Roczego Kursu Buchalteryjnego w Warszawie do 1925 pracuje jako pomocnik księgowego w Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Garwolinie i Prużanie.

Od 1 października 1925 do 30 marca 1927, powołany do czynnej służby wojskowej, najpierw pełni ją w I Oddziale Służby Intendentury, a następnie w Departamencie Intendentury oraz w Komisji Likwidacyjnej Głównego Urzędu Zapatrywania Armii. W okresie tym ma stopień kpr.

27 grudnia 1927 jako podoficer zawodowy wstępuje do 3 Dywizjonu Żandarmerii w Grodnie, skąd po roku zostaje przeniesiony do Plutonu Żandarmerii w Wilnie. Tu od 1935 do września 1939 pełni obowiązki szefa plutonu w stopniu wachmistrza.

Wpłynęła w 27 06 2002

Licz. 2679 /usk/

Wojna

Opisana na podstawie wspomnień i korespondencji rodzinnej

przez

Danutę Frąckowiak (z domu Jabłońska)



POMRUKI WOJNY - ROK 1937

W 1937 roku byłam w szóstej klasie szkoły podstawowej zwanej podówczas powszechną, choć nie była tak powszechna jakby być powinna. W moim przypadku była to szkoła wybitnie elitarna: Wandy z Posseltów Szachtmajerowej. Do starszych gimnazjalnych klas uczęszczały tam córki Marszałka Piłsudskiego.

W domu omawiane były dwie sprawy - naszego przeniesienia do Wilna i grożącej wojny.

O sprawie wagi państwowej, o możliwej wojnie mówiło się u nas w domu w 1937 roku jakby ukradkiem, przynajmniej przy nas, przy dzieciach. Mama mówiła do Taty: „Jeśli naprawdę ci Niemcy są tacy, jak mówisz, to co możemy zrobić?” „Tato: no cóż, będziemy się bić, wszyscy” i patrząc z pod oka na mnie: „nauczymy strzelać Danusię, prawda?”. Mówi się o wojnie z Niemcami, choć pozornie jest to jakaś odległa przyszłość. W szkole zbiera się na FON, tak jak dawniej na zeszyty dla dzieci ze szkół na Polesiu, a codziennie na bułki, dla naszych mniej ekskluzywnych kolegów z sąsiedniej, „publicznej”, szkoły. W domu starsi mówią o wojnie, gdy my odrabiamy lekcje lub śpimy. Czasem coś przenika do nas, ale Rodzicie nie chcą nam skracać dzieciństwa, które za chwilę i tak przerwie nam brutalnie historia. Czytuję wprawdzie gazety i czasopisma, ale raczej szukam informacji o polityce wewnętrznej; partiach politycznych. Prostu - kto ma rację szkoła czy dom? Szkoła obłędnie „Piłsudczykowska”, przeżyła ciężko śmierć Komendanta i jakby trochę popadła po niej w niepewność. Lubię tą szkołę i nie lubię na raz, wiem że „oni” są za rządem, a Tatusz nie. Tatusz czytuje „Gazetę Warszawską”, która wprawdzie była łaciata z powodu cenzury, a potem w ogóle musiała zmienić tytuł. Czy Ojciec jest „endekiem”? Tylu Rodzice mają przyjaciół żydowskiego pochodzenia. I Babcia każe mi pamiętać przez całe życie, że Matka Boska była Żydówką, żebym nigdy, ale to nigdy nie popadła w antysemityzm. Kto jest właściwie Żydem?

Napewno panowie w chałatach i jarmułkach, w kramach „za Żelazną Bramą”. Byłam tam kiedyś z Babcią, tą ukochaną Taty Matką. Bardzo się bałam, gdy niemal siłą, któryś z kupców usiłował mnie ubrać w płaszczyk, zachwalając przy tym, że bardzo by mi w nim było pięknie. Dziś podobnie, irracjonalnie boję się arabskich kupców w Jerozolimie. Nie, nie tak - wtedy naprawdę się panicznie bałam, a teraz jestem poprostu zakłopotana, jak się odczepić i nie kupić paczki kart czy różańców. Dzieci i ludzie prymitywni boją się nieznanego. Zwyczaj, sposobu zachowania, stroju. Babcia spokojnie podziękowała, że w „dziś nie kupimy tego płaszczyka, może innym razem”. Jej pogodna pogawędka uspokoiła i mnie i kupca. To był bezsprzecznie Żyd, u którego nie należało kupować wg „Gazety” i wg „Orlątka”, poznańskiego pisemka dla dzieci, które nam i memu kuzynowi Dudusiowi zaprenumerował Tatuś. Pisemko było nudno - głupawe. Wolałam znacznie Płomyczek i Płomyk, które prenumerowała z kolei Mama, bo trzeba je było czytać w szkole. Kto wśród znajomych był, a kto nie był Żydem nie umiałyśmy z siostrą odróżnić. W szkole, niektóre dziewczynki nie chodziły na religię, ale to było w poprzedniej szkole, w tej co było jakoś dyskretnie załatwiane, religia nie była zbyt religijna, raczej umownie historyczno-literacka, coś takiego jak potem nauka mitologii starożytnych. Właściwie nie wiem, czy były jakieś ortodoksyjne, tj. religijne „Mojżeszowo”, dziewczynki u Szchtmajerowej. Nie było tam problemu antysemityzmu, ale czy przypadkiem nie poprzez unikanie uczennic - Żydówek? Naprawdę nie wiem.

A więc na codzień antysemityzm właściwie nie istniał w naszym życiu. Był tylko w gazetach. Szczególnie w „Małym Dzienniku za 5 groszy”, który przez oszczędność kupowała Babcia zwalczająca antysemityzm i spokojnie kupująca u swych sąsiadów z Grzybowskiej ulicy, czy też z za Żelaznej Bramy. Co do tego dziennika zdania były wyjątkowo zgodne wśród podzielonej politycznie rodziny - zarówno mój chryeszny ojciec stryj Jurek - zawodowy

oficer artylerzysta konny - wielbiciel Komendanta, jak i stryj Brunek robiący błyskawiczną karierę w Marynarce Wojennej (najmłodszy komandor i najmłodszy ukochany syn Babci), a już oczywiście i najbardziej liberalny z braci - sędzia, stryj Felo (który, jak się w czasie wojny okazało, gdy Ciocia Ira likwidowała jego mieszkanie, był masonem) twierdzili zgodnie, podobnie jak i mój Ojciec, że to okropny prymityw. A temu okropnemu Dziennikowi patronował Ojciec Kolbe. Jeszcze nie święty. Przynajmniej oficjalnie. W szkole mówiono „my socjaliści”, i że „socjaliści chcą poprawy doli robotników”, ale robotnicy byli dla mnie podobną abstrakcją jak i Żydzi (ci nie chałatowi). Dobrze im życzyłam, ale nie bardzo wiedziałam w jaki sposób moi szkolni „socjaliści” mieli realizować swój cel. Córki wojskowych przyjeżdżały do szkoły samochodami, w najgorszym razie były odprowadzane przez ordynansów noszących ich tornistry. Siedziałam w jednej ławce z Irenką, miłą spokojną dziewczuszką o bardzo mocno splecionych pszenicznych warkoczykach, której Tatuś był tramwajarzem, takim prawdziwym motorniczym. Irka mówiła, że tramwaje za nią płać czesne. Stałyśmy na przystanku, we trzy, na Grójeckiej, bo Irka jeździła do domu tramwajem. Gdy nadjechał, trzecia z nas pokłoniła się w pas, „dziękuję ci tramwaju, że płacisz za naszą Irenkę”. Było mi równie głupio, jak i wcześniej, gdy w moje urodziny, żeby mi zrobić przyjemność przyszła po mnie do szkoły moja ukochana niania Hesia, która już u nas nie mieszkała, bo po wielu latach pracy w naszym domu i po skończeniu kursów krawieckich usamodzielniała się i przeżywała miłość do tajemniczego pana Aloszy z Hajnówki. I wtedy gdy zapominając o mojej szkolnej powadze zawisłam na szyi Helenki, któraś z dziewczynek spytała z wyraźną dezaprobatą czy to moja matka, a gdy zaprzeczyłam, odetchnęła z ulgą, mówiąc: „ a czy ty wiesz, że po Basię przyszedł kiedyś jej ojciec, taki zwykły kolejarz”. Widać, że szkoła była raczej prorządowa niż prorobotnicza. Przynajmniej na poziomie „powszechniaków”. Ja co prawda nie byłam pewna, czy jestem prorządowa, ale napewno

byłam hura - patriotyczna i uwielbiałam wojsko. Tak ślicznie stryjowie wyglądali w mundurach! Ostrogi Stryja Jurka brzęczały zachwycająco, a marynarski mundur Stryja Brunka był najpiękniejszym strojem na świecie. No może kimono Japoniek mogło z nim konkurować, ale bez wielkich szans. Od dzieciństwa marzyłam o Japonii. Od dzieciństwa, bo w wieku 10 lat uważałam się za osobę bardzo dorosłą, dzieciństwo było kiedyś, kiedy nie chodziłam do szkoły. Wtedy byłam raz przebrana za Japonkę na dzieciennym baliku. Stryj Brunek był w Japonii i przywiózł Mamie śliczny szlafrok, teraz wiem, że był to strój robiony dla marynarzy i podróżników wychowanych raczej na Madame Butterfly niż na prawdziwej sztuce japońskiej, ale wtedy ten szlafrok i cienka, aż przezroczysta filizanka były dla mnie kwintesencją japońszczyzny. W ogóle rodzina podróżowała. Stryj Feliks (nie Szczęsny, ale właśnie Feliks) raptem przerwał stateczne życie sędziego i podróżował po Południowej Ameryce. Badał możliwości emigracji z naszych przeludnionych wsi. Pamiętam jego zdjęcia z w prymitywnych łodziach na tle egzotycznego krajobrazu i dziwne instrumenty muzyczne, które przywiózł moim rodzicom. Mam, ostatnie chyba jego zdjęcie z przed wojny, a więc i ostatnie wogóle, na którym w sportowym skafandrze, na tle swojskich sosenek wygląda bardzo młodo i współcześnie. Taki był gdy mu w kilka miesięcy później, w kwietniu 40 roku, strzelono w tył głowy. Ale to było potem, gdy już była wojna. Tymczasem kochał się nieszczęśliwie w mężatce, która przyjaciółkom mówiła o nim, „mój sędzia”. Babcia bardzo na to narzekała „co on w niej widzi, w tej głuchej kotce?”. Czemu głuchej, nie mam pojęcia. A skąd to wiem? Poprostu nigdy nie podsłuchiwałam, ale zawsze coś niewłaściwego z rozmów dorosłych do mnie docierało i kodowało się mocno w pamięci. To chyba z powodu złego wzroku - taka kompensacja - przez słuch i pamięć. Tego nikt nie zauważał, bo z nikim nie dyskutowałam o tym, co nie było przeznaczone dla mych uszu. Bawiłam się spokojnie i nie starałam się słuchać. Wtedy, w czasie pomruków zbliżającej się katastrofy stryj Felo nie

tylko żył w najlepsze, ale podkpiwał sobie z obu siostrzenic, w sposób sobie właściwy, o ile wogóle nas zauważał. Marzyłam, że potrafię mu się odciąć w tym samym stylu, ale byłam bez szans. Okropnie nieśmiała w towarzystwie moich wspaniałych stryjów umiałam jedynie milczeć, co zresztą złościło Tatę, który czemuś chciał się chwalić moją bystrością, w którą chyba wierzył bo nad nią pracował dając mi do czytania przeróżne bardzo mądre książki. Książki „połykałam” z miłości do Ojca i do książek.

Wróć do drugiej - rodzinnej sprawy. Naszego przeniesienia do Wilna. Ojciec, wybitny już w tym czasie fizyk, znany ze swych prac w całym gronie światowych specjalistów z optyki molekularnej (za prace, które już ma na swym koncie w kilkadziesiąt lat później jest nominowany do Nobla) dąży do niezależności. Wybitny mecenas i organizator nauki, jego wieloletni szef i promotor prof. Stefan Pieńkowski źle znosi brak uległości ucznia, a i uczeń chciałby organizować „szkołę naukową” własną, a nie szefa. Nasuwa się możliwość: prof. Patkowski, kierujący jedną z katedr fizyki na USB proponuje Ojcu przejście do Wilna i obiecuje w krótkim czasie uzyskanie dla niego samodzielnej katedry. Prof. Patkowski przechodzi do pracy w jakimś ministerstwie w Warszawie. Katedry są oczywiście dożywotnie, więc z formalnego punktu widzenia nie ma żadnej gwarancji, ale prof. Patkowski jest znany z solidności, miły i uprzejmy. Szef warszawski jest przeciwny przeprowadzce. Ulokował już w Wilnie jednego ze swych uczniów (prof. Szczepana Szczeniowskiego), a teraz potrzebuje mego Ojca na miejscu, jest rektorem, reprezentuje, potrzebuje kogoś, kto by „ciągnął” prace naukowe młodszych kolegów. Ojciec jest od paru lat habilitowany, ale katedrę można dostać gdy któryś z profesorów umrze lub zrezygnuje. Na przekór potężnemu szefowi - Ojciec akceptuje wileńską propozycję. Myślę, że zasadniczo bardzo mu życzliwy prof. Stefan Pieńkowski bardziej realnie oceniał perspektywę wileńskiej katedry. Gdy krnąbrny uczeń nie usłuchał dobrych rad był pewno rozżalony, no i trochę zły. W tych

czasach prof. Pieńkowski był w naszym domu czymś w rodzaju bóstwa. Nasze losy: wpierw doktorat Ojca, potem jego zagraniczne stypendia i habilitacja zależały od niego. Trzeba przyznać, że ojciec nie był zbyt gorliwym wyznawcą, podkpiwał sobie z szefa (w Zakładzie panował ponoć „światły absolutyzm”, profesor biegał po nim „jak lew ryczący i szukał kogo by pożreć”, szef przetrzymywał jego prace gotowe do druku, itp.), ale zasadniczo bardzo cenił zdolności organizacyjne profesora i go bezpiecznie szanował. Za to Mama była ślepym wyznawcą „bóstwa” i bardzo się przejmowała gdy po habilitacji profesor z małżonką zaszczylicili nasze skromne progi. To już pamiętam dobrze. Doktoratu nie, bo byłam za mała. W wyniku tych skomplikowanych ustaleń dotyczących dalszego losu Ojca, przenieśliśmy się w kwietniu 1938 roku do Wilna. Akurat przed tym wykazaliśmy Litwinom naszą „potęgę”. Na korzyść zdrowego rozsądku mojej rodziny muszę zaliczyć brak tryumfalnego zapału w całej tej sprawie. Uwaga rodziny (i to całej, bez względu na poglądy polityczne) zwrócona była ciągle na poczynania naszego potężnego zachodniego sąsiada. I to z troską. Bo on już nieźle rozrabiał. Mimo to, życie toczyło się dalej - spakowaliśmy przy pomocy Hartwiga nasze manatki i żegnani na dworcu przez chmary Mamy wiernych uczennic wyjechaliśmy. Osiedliśmy na czas jakiś na Bakszcie, w mieszkaniu prof. Szczeniowskiego, który i tak ciągle kursował pomiędzy Wilnem i Warszawą, gdzie miał rodziców i wieloletnią, hańba kto o tym źle pomyśli, przyjaciółkę, pannę dr Irenę Bobrównę. Mama zajmowała się wynajęciem i urządzeniem mieszkania, Tato Uniwersytetem, a my z moją siostrą Halą wyjadałyśmy podarowane przez Mamy uczennice czekoladki i byłyśmy zbuntowane przeciwko przeprowadzce do Wilna i siedzeniu beczynnie w cudzym mieszkaniu. Było tam dużo „Pelikan Books”, ale nie znałam angielskiego. Były też bardzo mądre książki fizyczne. Nic do czytania dla mnie. Ale to się po paru dniach skończyło i te czekoladki i mieszkanie na Bakszcie. Naprawdę nie wiem dlaczego w ciągu tych paru dni nie zwiedzałyśmy miasta? To

pewno ten bunt i brak tramwaji. Pamiętam w Hali wyrzekaniach na Wilno ten ostatni brak jako bardzo zasadniczy. Dość, że to nieróbstwo się skończyło i zamieszkaliśmy na ulicy Wiwulskiego. Mieszkanie było dużo większe niż nasze warszawskie, ale jakieś prymitywniejsze. Piece, na gwałt przez Mamę modernizowana łazienka. W piecach palił dozorca. Ktoś tam pomagał przy sprzątaniu. Emilcia królowała w kuchni. Emilcia, to służąca przywieziona z Warszawy. To trochę śmieszne, w Wilnie było dużo łatwiej o pomoc w pracach domowych niż w Warszawie, ale Rodzice metodą wożenia drzewa do lasu przywieźli do Wilna naszą niepiśmienną kucharkę. Była ona od lat obiektem moich praktyk dydaktycznych, trzeba przyznać zupełnie bezskutecznych. Nauczyła się odwzorowywać swój podpis i więcej nie odczuwała potrzeby. Listy w razie konieczności pisał jej ktoś z nas. A i pisać nie bardzo miała do kogo. „Na książce” do nabożeństwa, własnej, wyznawała się całkiem bystrze. Innej lektury nie pożądała. Moje usiłowania kwitowała życzliwie lecz lekceważąco

Po przyjeździe do Wilna Hala poszła do szkoły (do gimnazjum Elizy Orzeszkowej), a o mojej edukacji przez parę tygodni zapomniano. Potem posłano mnie do „normalnej” szkoły powszechnej. Było tam bardzo dużo kiepsko ubranych dzieci, które dotykały mego zielonego „Szachtmajerowskiego” mundurka i pytały czy to z żydowskiej handlówki (podobno w Wilnie ta szkoła miała zielone mundurki). Nauczyciele egzaminowali mnie z zapalem i stwierdzali, że co umiem, to umiem, ale z kursem jestem opóźniona. Proponowali jakieś lekcje uzupełniające. Byłam w tym brudzie, wrzasku i podjazdowych usiłowaniach zdobycia dodatkowych zarobków zupełnie zgubiona. Tym bardziej, że opóźnienie wynikło nie z winy szkoły ani mojej, ale mego przydługiego pobytu w domu po przeprowadzce do Wilna. O moją formalną edukację Mamusia niezbyt dbała. I poprzednio do szkoły chodziłam dość nieregularnie. Posłała mnie wprawdzie do drugiej klasy małej prywatnej szkoły p. Obmińskiej, a

gdy dyrektorka stwierdziła, że się nudzę i że powinnam chodzić do trzeciej, zabrała mnie do domu, gdzie od czasu do czasu douczała mnie bardzo kochana p. Maryla Korsakowa. Następną przymiarka, w następnym roku szkolnym, to trzecia klasa u Szachtmajerowej ukończona niezbyt chlubnie, ale pozytywnie. Czwartą znów przerabiałam w domu, bo moja siostra ze względów zdrowotnych nie mogła chodzić do szkoły, więc i mnie uczyła ta sama nauczycielka w domu, a raczej w ogódku Instytutu Radowego, żeby było zdrowiej. W piątej miałam znów rok szkoły, a w szóstej przerwę od przeprowadzki. Ale teraz skończyły się żarty - powinnam zdać konkursowy egzamin do gimnazjum państwowego. Dużo czytałam to też miałam dość dużo nieuporządkowanych wiadomości. Robiłam błędy ortograficzne, bazgrałam, robiłam błędy rachunkowe w matematycznych zadaniach. W piątej i szóstej klasie byłam bardzo dobra z przyrody ożywionej i nieożywionej to jest ze wstępu do fizyki i chemii. Nauczycielka Pani Rudnicka chwaliła mnie przesadnie, mówiąc np. „a co o tym myśli nasz mały filozof?” - gdy nikt nie mógł wybrnąć z jakiegoś pytania. To było okropne, bo naprawdę byłam najniższa w klasie i do tego wyzwałało wrogość w etatowych prymuskach klasy. Miałam przebłyski inteligencji na historii (wynik lektur) i czytano czasem moje polskie wypracowania przed klasą (czego się ogromnie wstydziłam). Ale z polskiego wciąż miałam trójkę (za błędy i bazgroły) i z rachunków też (za omyłki rachunkowe). Jednym słowem byłam właściwie bardzo średnią uczennicą. U Szachtmajerowej ciągle badał mnie psycholog (pani psycholog). Dziewczynki rozpytywały się co ona ze mną robi. Wzruszałam ramionami - takie głupie rebusiki, układanki, jak dla maluchów. Dziś wiem, że istnieje dysgrafia itp. Wtedy jeszcze nie było mody na pobłażanie - póki się dzieciak nie nauczył ortograficznie pisać dostawał kiepskie stopnie. Ale w tej świetnej szkole już chyba coś wiedziano, że jestem jakaś „nietyпова”, ale mimo to na szczęście zmuszono mnie do przełamania „ortograficznych” trudności. A więc naprawdę, żeby zdać egzamin powinnam

usystematyzować swoje wiadomości. Za poradą swej kuzynki (a właściwie jej syna) Mama oddała mnie w opiekę zajmującego się „douczkami” małżeństwa pp Dubickich. Pan uczył matematyki i nauk przyrodniczych, Pani wszystkich przedmiotów humanistycznych. Większość uczniów stanowiły komplety zapóźnionych, dwa razy ode mnie wyższych chłopaków. Nie mam pojęcia ile to kosztowało moich rodziców, bo przebywałam w domu tych państwa wiele godzin - wręczali mi książkę do przeczytania (od - do), potem w wolnej chwili odpytywali i znów zadawali. Naogół uczyłam się w ogródku, raz czy dwa Pan kazał mi się popisywać odpowiedziami z przyrody przed kompletem chłopczysk, których moje występy wprowadziły czemuś w panikę (taki też chyba był cel wychowawczy tych pokazów). W sumie było to niepedagogiczne, ale bardzo pożyteczne. Zaczęłam bezbłędnie odróżniać przydawki i dopełnienia, recytować daty historyczne, wyjątki ortograficzne itp. arkana elementarnej wiedzy. Do tego nabrałam zaufania do swych możliwości. Zapewniło mi to sukces egzaminacyjny, zaćmiony jedną, ale za to bardzo charakterystyczną wpadką: omawiając recytowany wiersz - stwierdziłam, że diabeł nie chciał mieszkać z Panią Twardowską, bo była bardzo pobożna. Dopiero błyski rozbawienia w oczach nauczycielki naprowadziły mnie na inną interpretację, którą sformułowałam śmiejąc się szczerze. To, że się śmiałam pamiętam dobrze. A więc wreszcie nie bałam się szkoły.

Wakacje spędziliśmy u naszych zaprzyjaźnionych gazdów Gutów w Hycowym Potoku (dziś to oczywiście Zakopane!) i od jesieni zaczęłam chodzić do szkoły. Dalsze nieregularności w mej edukacji zawdzięczałam już nie moim Rodzicom, ale historii. Ta ostatnia nabierała tempa, poprostu bez umiaru. Uczyłam się znów raczej średnio. Nowa szkoła była sympatyczna, ale dostarczała nowych doświadczeń życiowych. Dziewczynki były z różnych środowisk, często naprawdę niezamożnych. Religii uczył prawdziwy ksiądz. Wprawdzie chodziłam w niedzielę do kościoła, gdzie widziałam księży, a raz nawet, przed

pierwszą komunią rozmawiałam z księdzem, który sprawdzał moje wiadomości. Zdałam tylko dzięki zaufaniu tego księdza-duszpasterza akademickiego w kościele św. Anny w Warszawie, do katechetki, która nas obie z siostrą przygotowywała, bo o ile pamiętam na zadane pytania nie odpowiedziałam licząc na erudycję Hali. Szokowało mnie w szkolnym prefekcie wszystko, włącznie ze sposobem wycierania nosa, zbyt mało jak dla mnie uduchowionym. Na dobitkę cieszyłam się u prefekta specjalnymi łaskami, aby mnie ośmielić pozwalał mi odpowiadać na siedząco i nie gromił za nie uczęszczanie na szkolne niedzielne msze. Wcale nie bałam się odpowiedzi, z religii dostawało się przeważnie piątki. Na gorsze stopnie należało zapracować wyjątkową niegrzecznością. Raziła mnie codzienność kapłaństwa. Nie byłam oswojona z kulisami spraw kultu. Ksiądz przy ołtarzu recytujący łacińskie teksty w blasku świec i dymie kadzideł, a potem jowialny zakatarzony grubas, któremu klasa włożyła na łeb bez pardonu. To był za duży przeskok. Stosunek do religii u nas w domu był życzliwy, ale ograniczał się do niedzielnych mszy z Tatą. Kościół musiał mieć dobrego organistę lub chór na poziomie, stąd Tacine opory przed szkolną mszą w kościele św. Jerzego na Łukiszkach, na której wyśpiewywałyśmy osobiście i ćwiczyłyśmy łacińskie odpowiedzi z mszalików. Poprzednio, w Warszawie uczyła mnie „dość umownie, religii jedna z sióstr Posseltówien (p. Wanda Szachtmajerowa była z domu Posseltówną i wszystkie jej siostry nas edukowały, każda z czego innego). Byłyśmy z siostrą w tym samym roku u I Komunii, ona o rok później niż w szkole, a ja rok wcześniej. Wobec ekskluzywnego przygotowania nas do I Komunii prywatnie przez renomowaną katechetkę warszawską p. Porejko również przy tej okazji uniknęłam kontaktu z kapłanem, z wyjątkiem tego nieszczęsnego egzaminu w kościele św. Anny. Do tego inne dziewczynki były dużo bardziej z codziennością świętości oswojone, a ja nie lubiłam przyznawać się do ignorancji. W tym pierwszym i ostatnim roku mego uczęszczania do gimnazjum im. Orzeszkowej dużo się działo w moim pozornie spokojnym

życiu. Aneksja Zaolzia nie wywołała entuzjazmu w naszym domu ,a raczej wręcz odwrotnie. Ale ciągle się coś działo „w polityce”. To też bardzo się bałam, że przegapię okazję zostania polską Joanną d’Arc. To, że nią zostanę i że ślicznie zginę zyskując sławę nie ulegało dla mnie wątpliwości. Tylko kiedy i jak zacząć tę wiekopomną działalność nie było takie pewne. Marzenia i obiektywny sąd o osóbcie poniżej półtora metra, w okularach na zbyt cienkim nosie i rozczochranych sztywnych, krótko obciętych włosach zderzały się brutalnie powodując rozterki duchowe. Wracając ze szkoły przez Bouffałową górkę (na której za tak mało lat miał umierać, wykrwawiając się postrzelony w bezsensownej akcji Jurek, powiernik moich patriotycznych egzaltacji) patrzyłam na świat, który wabił, ale wyprawa w pierwszą lepszą stronę zbyt przypominałaby przygody Janka Wędrowniczka. Do tego byłaby pewno niechlubnie przerwana przez dobrotliwego policjanta, jeszcze wówczas nie zwanego „granatowym”. To też chodziłam grzecznie do szkoły przyśpiewując w takt radia bojową piosenkę o Śmigłym. Ojciec dla wprawy strzelał z małego pistoletu do deski do prasowania. Dziś to mi się wydaje ogromnie dziwaczne, ale wtedy z podziwu oddychać nie mogłam. Marzyłam, że mnie też nauczy. Ale on wołał zmuszać mnie do gry na skrzypcach. A to mi się paskudnie nie udawało. Gdy nikt nie widział oglądałam mundur, pas z koalicijką, czapkę, no i szablę. Tę szablę, którą w popłochu Mama wyrzuciła, gdy pierwszy raz weszli Rosjanie. Na wojnę, tę prawdziwą ,Tatuś poszedł w polowym mundurze. Tamten, tak przeze mnie podziwiany też został potem zniszczony. W radiu było coraz więcej piosenek do maszerowania. Emilka, nasza kucharka opowiadała o głodzie, który był w czasie wojny, nie zwanej jeszcze pierwszą światową i o stosach trupów. Uczenie, z wysokości mojej gimnazjalnej pierwszoklasowej edukacji, pouczałam ją, że teraz to wszystko będzie zupełnie inaczej. No i potem było inaczej, choć ani trupów ani głodu nie brakło. Do Boga jakoś w tym czasie w sprawach kraju się nie udawałam. Choć byłam religijna. Wcześniej przeszłam przed

dziesiątym rokiem życia ostry kryzys religijny po przeczytaniu książki Jeansa pt. „Niebo”. Potem nastąpił okres egaltacji religijnej wywołanej dobrą katechezą przedkomunijną, kiedy ślubowałam, że będę wierzyć w Jezusa choćby nikt inny na świecie w niego nie wierzył. O trudnościach w wierze z p. Porejko (katechetką) oczywiście nie rozmawiałam. Miałam na przemian sny o treści religijnej i okresy pewności, że będę potępiona. Modliłam się tak dużo, że moja mądra Babcia Mania w czasie wspólnego pobytu wakacyjnego ograniczyła te praktyki: „zlituj się dziecko, ja stara się tyle nie modłę, zmów pacierz i dość”. Swoją drogą jak wcześniej wtedy kobiety uważały się za stare!

W tej pierwszej klasie gimnazjum zaczęłam gorączkować. Badano mnie długo i skomplikowanie. Jedni lekarze winili „migdałki”, drudzy płuca, a w końcu bardzo mądry profesor Bujak stwierdził, że to nerwowa gorączka. Pytał mnie co czytam ostatnio..Zgodnie z prawdą powiedziałam, że „Wesele” Wyspiańskiego. Rozmawiał długo z Tatusiem, a ja czekałam w innym pokoju. Tatus powiedział mi zaraz w drodze do domu, że bardzo się cieszy, że to tylko nerwowa gorączka, bo się bał gruźlicy. I że profesor mówił, żeby mnie tej diagnozy nie zdradzać, ale on uważa, że jestem rozsądna i że mi wszystko można mówić. Przez całą moją domniemaną chorobę Tatus bardzo się mną zajmował, prowadził po lekarzach i badaniach. Wzruszyło mnie bardzo, że mu tak zależy na moim zdrowiu. I troszeczkę czułam się ważniejsza niż zwykle. Jednak z niewielkim tylko żalem zrezygnowałam z pozycji chorej, będącej ośrodkiem zainteresowania rodziny i ustapiłam tę pozycję Hali, która jako wątlejsza zwyczajowo ją okupowała, gdyż przecież ratowanie Ojczyzny wymaga krzepy. A historia przyspieszała bez ustanku. Ukończyłam I klasę gimnazjum. Niezbyt błyszcząco, ale znośnie. Łapałam dwóje z francuskich dyktand, trójczyny z łaciny, a z resztą dobrze sobie radziłam, prawie bez wysiłku. Z tym francuskim to była znów dysgrafia i lekceważenie. Bo trochę umiałam mówić, więc nie uczyłam się prawie wcale, no i

łapałam dwóje z dyktand. Dom się jak zwykle się tym nie martwił. Za to z matematyki wreszcie wybrnęłam dobrze, skończyła się moja zhora słupków. Z geometrii i z początków algebry czułam się mocna, zwłaszcza od czasu Hali dyfterytu, gdy siedząc z musu w domu przerobiłam z Tatusiem przez pomyłkę książkę do końca. Z polskiego moje nieprzytomne czytelnictwo zaczęło przynosić jakieś profity. W wyniku miałam poczucie dobrze spełnionego obowiązku i z radością czekałam na wakacyjny wyjazd. Tato pytał „farmaków”, których było dużo, więc po złożeniu tych egzaminacyjnych pieniędzy z pożyczką od Emilci pojechaliśmy do Chałup na Hel.

Były to moje ostatnie w życiu wakacje, więc pamiętam je świetnie. Wpierw pojechaliśmy do Warszawy odwiedzić Babcię Manię i Ciocię Irę. Nikt oczywiście nie wiedział, że po raz ostatni widzimy Babcię, która zmarła w okupowanej Warszawie tęskniąc do synów, którzy gdzieś byli „na wojnie”. Zdążyła jeszcze wysłać memu Ojcu do Kozielska II ubranie stryja Fela, o którego katyńskim losie po pobycie w Kozielsku I na szczęście nie wiedziała. Razem z Irą (Taty siostrą) wysyłały paczki do Oflagu stryjkowi Jurkowi i miały nadzieję, że paczki przychodzące przez Portugalię świadczą o życiu stryja Brunka. Dobry Bóg zaoszczędził jej czytania list katyńskich i poniewierki Powstania. Umierała w bólach nowotworu, ale wśród życzliwych i serdecznych ludzi. Cierpliwa i pogodna do końca. Tymczasem letni pobyt u Babci był pogodny, choć było mi przykro, gdy wspominała, że wyjeżdżając do Wilna bardzo byliśmy zajęte kłatką z kanarkami i nie pożegnałyśmy się z nią porządnie. Rodzice odwiedzali jakichś przyjaciół, a my z Babcią byliśmy na grobie Dziadka na Powązkach. Pamiętam, że martwiła się, czy synowie, którzy są dla niej serdeczni, będą o jej grobie pamiętali. Myślałam o tej rozmowie zawsze, gdy do rodzinnego powązkowskiego grobu dokładaliśmy skrzyneczki z popiołami zmarłych na obczyźnie synów, lub trumny z ciałami „krajowych” potomków. Hala, ukochana jej „wnusia”, dba o ten rodzinny grobowiec

z taką typowo trochę pogańską polską pobożnością. Toteż jestem spokojna, że jest tak jak chciała. Tylko stryjka Fela brak, ale jest wspomniany na tablicy, że „zginął za Ojczyznę w 1940 roku”. Dużo to wcześniej napisaliśmy, niż nastąpiła moda na Katyń. Z list katyńskich wynika, że zginął 9 kwietnia 40 roku. Ale mam pisać o 1939 roku. Jest lato i jedziemy do Chałup. Jedziemy z Warszawy statkiem, przez Wolne Misto Gdańsk. Jestem pierwszy raz „za granicą”. Zatrzymujemy się na kilka godzin u Cioci Naty Berezowej w Gdyni. To jest u niej i jej męża - notariusza i muzyka - amatora. Ciocia Nata jest chyba cioteczną ciotką Taty, lekarzem - psychiatrą, piękną ciągle kobietą nie rezygnującą ze swej kobiecości. Pamiętam luksusowe mieszkanie, jakieś opowiadania o wyprawach na ryby i zwierzenia Cioci - przeznaczone nie do moich, a do maminych uszu o innych oprócz rybackich podbojach. Ciocia Nata odwiedzi nas w Chałupach, przyjeżdżając samochodem z jakimś nieznanym mi panem. W tych czasach, samochód to ciągle dla mnie ewenement. Tymczasem wszystko jest pogodne i przedwojenne. Nic nie wróży, że za kilka tygodni wujka Berezę Niemcy wezmą jako zakładnika, rozstrzelają i pochowają we wspólnej mogile w puszczy Darżlubskiej. Ciotka Nata zdecyduje, że mu tam lepiej z kolegami - leży więc tam sobie Stefan Bereza - notariusz, muzyk - kompozytor, wojak - jak wszyscy kresowiacy - wszechstronny. Wyjątkowo za to wyrozumiały mąż i podobno miły człowiek. Z tej wizyty, w pamięci została mi tylko ciotka, on był wyraźnie w jej cieniu. Gdy już z mężem i dziećmi jeździliśmy po Pomorzu, zatrzymaliśmy się przy tej zbiorowej mogile. Dziwnie mi było, że oni nic nie wiedzą o wujku Berezie, choć to i moja wina, bo nie opowiadałam o rodzinie. Zresztą moja bliższa rodzina nie interesowała się „prehistorią” mego życia, tym co było zanim oni nastali z natłokiem ważnych spraw, pieluch, zupek, szkolnych ocen oraz rosnących wraz z nimi kłopotów. W Chałupach zamieszkaliśmy u jednego z wielu Budziszów. Był to mały pensjonat. Gospodarz był rybakiem, żona gotowała dla gości. Było relatywnie tanio, ale chyba jednak nie bardzo tanio,

bo goście rekrutowali się z lepiej zarabiających, była śpiewaczka Werwińska z mężem Porajem (czy to nazwisko, czy pseudonim?), jakichś dwóch młodych reżyserów (nie pomnę czy teatralnych, czy filmowych, jeśli filmowych, to Boże mój, jakie to były filmy?) i dr Smoleński, rentgenolog z Torunia, z którym Rodzice przyjaźnili się również po wojnie w Toruniu. Tymczasem był tam pan doktor samochodem z żoną i córką Jadzią, która była teoretycznie w wieku mojej siostry Hali, ale dużo doroślejsza, aspirująca już do udziału w dorosłym towarzystwie. Miało to dla mnie niemiłe konsekwencje, bo Hala nie chciała ze mną i z sąsiadami (byli jacyś znajomi z Warszawy, czy nie Zula Wyganowska z młodszym bratem?) bawić się w tropy i inne podobne gry. Za to doktorostwo zabierali nas i rodziców na wycieczki, przewożąc „partiami” do miejsca przeznaczenia. Nie były to dalekie, ale ciekawe wyprawy. Doktor miał przewodnik i czytał z niego różne mądrości. Miał też kajak ze specjalnymi „kręconymi” wiosłami swej konstrukcji, którym pływałyśmy po Zatoce. Na Zatokę brał nas też łodzią rybacką Gospodarz. Woda była czysta, łódź płynęła wolno i rybak objeżdżał nastawiane sieci. Nigdy już nie widziałam potem takiej Zatoki. Czasem, gdy o zachodzie słońca jedzie się pustą szosą i patrzy z daleka, to Zatoka wygląda tak jak kiedyś. Wieczorem, całe towarzystwo siedziało przed domem. Tato opowiadał, jak podziwiał śpiew pani Werwińskiej, gdy grał w operze. Śpiewaczka nuciła jakieś fragmenty. My z Halą miałyśmy teoretycznie spać. Mimo to leżę i przysłuchuję się rozmowom pod oknem. Jest w nich jakiś niepokojący ton, flirt, żart, rozgrywki słowne. Świat młodych dorosłych, do którego nigdy nie dorosnę. Z dzieciństwa wskoczę już za chwilę w bardzo odpowiedzialną dorosłość, z której dziwnym zbiegiem okoliczności do końca życia nie uda mi się wyzwolić, Chyba dlatego, że przywyknę do tej mojej roli i jako trzydziestolatka będę się uważać za matronę polską, której żadne głupstwa się nie imają. Tymczasem towarzystwo żartuje i flirtuje. Reżyserzy emablują Werwińską, razem robią wyprawę do Opery Leśnej w Sopocie. Ona w

etoli z lisów. Nieco zgryźliwe uwagi innych pań, mniej otoczonych i wielbionych. Między innymi p. doktorowej Smoleńskiej, że jeden z panów reżyserów miał uczyć Jadziunię pływać, a teraz taki zajęty, że zapomniał. Myślę, że to dla Jadzi było lepiej, bo edukacja mogłaby być zbyt wszechstronna, mimo opieki Mamy. Pamiętam, że stoję i przysłuchuję się rozmowie starszych, bo czekam na Rodziców. Jestem w krótkich szortach, idziemy na plażę. I raptem jeden z panów do drugiego mówi: „patrz, jakie ładne nogi ma ta mała”. Tak jak o koniu na wyścigach. Słucham i dziwię się. To byłby komplement, gdyby mnie traktowali jako kobietę. Nikt mnie tak jeszcze nie traktuje. Nie liczę się. Ale dziwię się, bo uważam się za bardzo brzydkie dziecko. Czy to dobrze, że jakieś elementy nie są takie złe? Ważniejsze, że jest pogoda i będę się kąpać. Bardzo chcę nauczyć się pływać i jeździć na rowerze. Są fale, utrudniające pływanie, no i nie mam roweru. Tatusz denerwuje się, że może na niego czeka w Wilnie powołanie do wojska. Mamusia czuje się źle. Wspominała, że może będziemy miały siostrzyczkę lub braciszka. Pewnego dnia Mamusia sama wraca do Wilna. Potem wracamy z Tatusiem. Tatusz ma naprawdę powołanie do wojska. O powiększeniu rodziny nikt już nie wspomina. To wszystko jest zawile. Mamusia choruje. Umieszcza nas w Czarnym Borze u pp Turkowskich i potem do nas dojeżdża. Wynajmuje mieszkanie, rozpakowuje rzeczy. Nie ma jak przenieść się teraz do Warszawy. Tatusz jest w wojsku, ale tymczasem w Wilnie.

Z Jurkiem Turkowskim jesteśmy szalenie „bojowi”. Pałac ognisko, „palimy Berlin”. Jurek zazdrości mi umundurowanego Taty, a mnie urzeka troskliwość jego Ojca, który dużo z nami rozmawia i poważnie traktuje nasze wypowiedzi. Wiele korzystam w towarzystwie Rodziców Jurka i Danusi. Pani Turkowska wymagająca, choć bardzo sprawiedliwa nauczycielka matematyki, w domu jest osobą pogodną i dowcipną. Dziwi mnie, że nie wtrąca się, gdy z Jurkiem bawimy się w wojnę, ja bronie twierdzy, którą on zdobywa. Pani Turkowska siedzi spokojnie i coś sobie czyta, gdy szamoczemy się nad wykopem, z którego

chyba wywożono piasek. W końcu toczy się oboje w dół, pluję piasek razem z goryczą porażki. Jurek też się trzepie z piachu mówiąc, że nie było mu łatwo zwyciężyć. Wiem, że to przesada, jest ode mnie o głowę wyższy i dużo silniejszy. Jurek jest bardzo ambitny, wybitnie zdolny. Potrafi też być prawdziwym przyjacielem, jak wynika z wielu małych poświęceń czynionych w imię przyjaźni. Oboje przeżywamy patetyczną euforię i marzymy o czynach niezwykle bohaterskich. Tylko On się wykrwawi na tej idiotycznej Bouffałówce, a ja żyję i żyję tak długo, że mógłby być dziś moim wnukiem, nie tylko synem. Jurek chciał być fizykiem. Ja wtedy, przed wojną nie myślałam o takiej „karierze”, choćby dlatego, że jeszcze w szkole nie było fizyki. Potem gdy już byłam fizykiem myślałam czasem, że muszę „odrobić” i to co Jurek miał zrobić. To oczywisty nonsens. Tylu moich przyjaciół z dzieciństwa nie zdążyło dorosnąć, że za nich wszystkich my, którym było dane przeżyć, nie możemy i nie mogliśmy „odrobić”. Smutne, że oni umrą ponownie, gdy my umrzemy. Matki już nie żyją, rodzeństwo i przyjaciele wymierają. Zostaną jakieś spłowiałe amatorskie fotografie z Czarnego Boru czy innego letniska i grób na Rossie, o który pewno nikt nie będzie dbał, gdy zabraknie Danusi Jurka siostry. Podobnie zniknie i Kazik Kapliński, przyjaciel z przedszkola, odkopany po wojnie w 1945 roku przez siostrę Janinkę w zbiorowej powstańczej mogile. Janinka w ten dzień przyszła „wysapać się” do nas na Hożą i przyniosła znaną przy ciele fotografijkę z „kenkarty” czy innej legitymacji. Nie mogła jej pokazać chorej Matce, przed którą ukrywała śmierć brata. Och te polskie siostry i matki - tamtej epoki. Bo dziś chłopcy szukają „obcych bogów,” nikt nie chce siebie poświęcać dla Ojczyzny. A jeśli już troszeczkę dla Niej zaryzykował (np. był internowany) to nimb chwały mu się należy i intratna posadka za takie „męczeństwo”.

Zastanawiam się, co by ze mnie wyrosło gdybym była tak rozwijana umysłowo jak dzieci pp. Turkowskich? Pewno umiałabym więcej, uniknęłabym niektórych kłopotów, ale

czy nie straciłabym niezależności sądów i zapału odkrywcy? Z tego kawałka wakacji mam śliczne wspomnienia i dużą wdzięczność dla pp. Turkowskich, którzy darzyli mnie przyjaźnią, wtedy , w czasie wojny i również po wojnie. Ale o tym jeszcze będę pisać. Tymczasem zbliża się wrzesień.

WRZESIEŃ 1939

Mama wynajmuje mieszkanie na ulicy Zakretowej, dość prymitywne. Łazienkę organizuje w odgrodzonym kącie kuchni, jakimś cudem zdobywa wóz z kołmi i przewozi nasz dobytek ze składu Hartwiga do tego mieszkania. Dziś rozumiem, jaki to był piekielny wysiłek dla ciągle jeszcze chorej kobiety. Miała ten wysiłek przepłacić niedługo potem poważną chorobą serca. Tymczasem Mama traktuje nas ciągle jak dzieci, siedzimy w Czarnym Borze, póki tego wszystkiego nie załatwi. Gdy wracamy, Tato wpada od czasu do czasu do domu, jest bardzo zajęty i zmęczony. Zaczynam pracować w Białym Krzyżu z koleżankami ze szkoły. Zbieramy pieniądze na pomoc dla żołnierzy, organizujemy jakąś bibliotekę, pakujemy jakieś paczki. Miasto żyje normalnym życiem, pamiętam młodą elegancką parę wyrzekającą, że „znów jakaś zebranina” gdy prosimy o datek na Biały Krzyż. Pracuję z Halą Lewicką, która wtedy zdała właśnie do Orzeszkowej, młodsza ode mnie o rok, poważna, obowiązkowa dziewczynka. Do dziś się z nią i jej starszą siostrą Zosią przyjaźnię. Wtedy obie nastoletnie jesteśmy pełne wątpliwości co do starszej pani, nami „dowodzącej”, bo nosi ciemne okulary. Może jest ukrytym szpiegiem? Na szczęście nie dzielimy się z nikim naszymi podejrzeniami, bo nasza „anty szpiegowska psychoza” mogłaby wyrządzić Bogu ducha winnej kobiecie przykrość. Zbliża się 1 września. Kompania Tatusia wyrusza na front. Jestem dumna jak paw (i mądra jak ten ptak). Nie idę do Białego Krzyża, bo z Mamą i Halą odprowadzamy Tatusia

na dworzec. Dworzec jest dla cywili zamknięty, ale nas ktoś wpuszcza. Tatuś jest spokojny i poważny. Ktoś na peronie usiłuje ujeździć „pod wierzch” pocziwego chłopskiego siwka. Kompania siedzi już w wagonie i śpiewa jakieś białoruskie czy nawet rosyjskie tęskne pieśni. Kobiety za płotem (te niewpuszczone żony i matki żołnierzy) głośno zawodzą. Tatuś jest porucznikiem saperów. Jego dowódca - kapitan, wyciąga jakieś pieniądze i prosi Mamusię, żeby kupiła i dostarczyła czekoladki jego synkom. Mieszkają gdzieś na wsi. Mimo całej dumy, mam zaciśnięte gardło. Usiłuję zachwycać się siwkami i nie patrzeć na Mamusię, która bardzo dzielnie się uśmiecha i obiecuje załatwić te słodczyce dla dzieci kapitana. Dowództwo przypomina sobie o żołnierzach, coś tam innego proponują im do śpiewania, ktoś brutalnie odpędza zawodzące kobiety. Tatuś nas całuje i proponuje, żebyśmy już poszły. Najwyższy czas, bo gdy wracamy dorożką (ostatni luksus!) Mama ma „katar”, a samoloty nad nami swastyki. Nie jest to nalot na Wilno, lecą poniszczyc schowane w lesie samoloty, te które nigdy nie porwały się do boju. Po wrześniu, rozmawiając z p. Turkowskim, który nas pytał, co sądzimy, czemu była klęska, z olbrzymią pewnością twierdziłam, że to „zdrada”, bo te nasze samoloty zbombardowano. Pan Turkowski spokojnie tłumaczył różnicę sił, technikę. My w okropnym poczuciu klęski widzieliśmy tylko tę zdradę, podejrzewając o nią nawet nauczycielkę niemieckiego, która odwiedziła nas w Czarnym Borze. Z dworca wracam do Białego Krzyża, ale z wojną jest jakoś „nie tak”. Gdy rząd uciekł z Warszawy wpadam w histerię, padam z płaczem na moje dziecinne łóżeczko (z którego tak niedawno zdjęto siatkę!). O Tacie nie ma wiadomości. Ale nie to jest ważne. Polska! Mama ma dość moich wybryków. Poważnie mówi, co sobie pomyśla „prości ludzie” (ciągle jeszcze jest takie pojęcie!) jeśli ja wpadam w rozpacz. Przecież powinnam dawać przykład, dodawać otuchy i tłumaczyć, że na końcu, to jednak my zwyciężymy. Łykam łzy i tłumaczę szanse wygrania wojny dostępnemu mi łaćwo ludowi (Emilce), która niestety wie swoje i przewiduje różne okropności, przed tym

szczęśliwym być może końcem. Jak się „pozbiałam” z tym płakaniem, to na dłuższy czas nie umiałam już płakać. Nawet, gdy dowiedziałam się o śmierci Babci Mani i Stryja Fela. Ale to było dużo później, za niemieckiej okupacji. Jednym słowem coś się „zacięło” i zrobiłam się „anty-mazgajem”. A w szkole u Szachtmajerowej beczałam o byle co, ze strachu, że się rozpłaczę! W domu nie płakałam z błahych powodów, na ból fizyczny byłam dość odporna. Bałam się tłumy, nawet szkolnego. Ale to w dzieciństwie. Teraz raptem zrobiłam się dorosła i odpowiedzialna za patriotyczne „morale” Emilki. A tu wojna dalej się działa. Tatuś bił się pod wsią Wizną (słynna bitwa kampanii 1939r, w której udało się zatrzymać, niestety na niedługo, niemiecką dywizję pancerną). Potem był w Ossowcu. Wrócił do Wilna z Ossowca, z obandażowaną głową. Był ranny w czasie nalotu. Na wyraźny rozkaz swego dowódcy kapitana Jurkiewicza (?) (tego od czekolady dla dzieci z dworca), pojechał na opatrunek do szpitala i już nie mógł wrócić do twierdzy, bo Niemcy ją otoczyli. Przyjechał na chwilę do domu, w nocy, jakiś ogromnie poważny i zaraz zgłosił się do wojska po nowy przydział. Dostał kompanię, którą nazywał kompanią starsuszków. Z nią kazano mu fortyfikować Wilno, nie wiadomo przeciw komu. To było tylko kilka dni. Wpadał do domu na chwilę i znów gdzieś pędził. Nigdy przed tym nie był taki ponury, jak w ciągu tych paru dni. Raz, gdy był w domu przyszedł do niego syn sąsiadów (de Virion), chłopiec „licealny” i prosił, żeby go Tatuś zabrał ze sobą. Tłumaczył mądrze, że miał przysposobienie wojskowe. Tatuś odmówił mu twierdząc, że tej wojny starczy i dla niego, a teraz to nie ma sensu. Stałam obok i już nie śmiałam przypomnieć, że przecież ja też miałam walczyć, według przedwojennych pogawędek, ale teraz jeśli tego dużego i umiejącego strzelać chłopca Tatuś nie chce zabrać? Ojciec wyszedł z Wilna, ze swoją kompanią, gdy po ul. Mickiewicza jechały już radzieckie czołgi. Opowiadał potem, że był chyba ostatnim polskim oficerem w Wilnie. Widzieli te czołgi. W tym naszym kraju porucznicy z cenzusem muszą decydować samodzielnie w

sprawach, w których w innych krajach dostaje się poprostu rozkazy. Walczyć, czy nie walczyć? Polska nie była w stanie wojny z ZSRR. „Staruszkowie” nie mieli hełmów. Na czołgi bez przeciwpancernych działek? Ale dawne „przewagi” z roku 1920 i Krzyż Walecznych? No i wstręt do Bolszewików i zadawniona niechęć do Rosjan? Porucznik docent zdecydował, że przekroczą granicę neutralnej Litwy we wsi Zawiasy. Zsiadł z konia i piechotą prowadził swoich żołnierzy. Zmęczenie i obtarte nogi przytłumiły wahania. Doszli w zwartym szyku do granicy, gdzie jakiś młokos krzyczał, że organizuje partyzantkę przeciw Rosjanom. Ojciec stał niepewny, bo choć to był nonsens, ale typowo polski. Chłopak podbiegł do Ojca krzyżąc „za co Pan dostał ten krzyż? Litwini w tym całym zamieszaniu zamykali przejście graniczne. Ojca złapał za rękę znajomy lekarz z USB mówiąc „idziemy panie docencie” i przeszli na stronę litewską. O tym wszystkim dowiedziałam się dużo później, gdy ojciec zwolniony z Kołatowa był na jakiś czas w domu. Kołotowo (tak czemuś nazywaliśmy w domu miejscowość Kołatowo, w której Tatuś był internowany) było znośnym miejscem pobytu. Litwini traktowali internowanych oficerów przyzwoicie, a po przyłączeniu Wilna do Litwy chętnie zwalniali ich do domu. Ojciec dostał papierek z USB, że coś tam ma na Uniwersytecie likwidować i przyjechał do domu. Opowiadał o Ossowciu, że byli bezbronni, samoloty robiły co chciały, mieli jakieś nowe karabiny maszynowe, ale bez amunicji do nich pasującej. W domu przewijało się pełno ludzi, wszyscy politykowali, słuchali radia, wierzyli w Aliantów. Poza tym uczyli się angielskiego. Nikt, lub prawie nikt nie pracował. Mamusia zaczęła z panią Lewicką (matka mojej szkolnej koleżanki) produkować cukierki „krówki”, które myśmy roznosiły klientom. Tatuś był zagubiony w nowej sytuacji. Mamusia produkowała te krówki i sprzedawała co się dało, żeby było co jeść. Ale to wszystko nie było tak bardzo ponure, było wokół dużo życzliwych ludzi no i wierzyłam teraz nieugięcie w zwycięstwo. A Tatuś był w domu i to dużo więcej niż

normalnie. W międzyczasie wyleciałam ze szkoły za strajk, co opisałam dość szczegółowo we wspomnieniach z tajnego nauczania. Było biednie, ale jak zawsze rodzice wieczorem grali, Tatuś z rana ćwiczył na skrzypcach i często improwizował na fortepianie. Poprawiał też jakieś swoje naukowe rachunki. Dostał od kolegów z Niemiec propozycję, aby streszczać prace do „Abstraktów”, chcieli mu jakoś pomóc. Odpisał grzecznie, że nie może, bo nie ma dostępu do biblioteki, ale nam powiedział, że jest polskim oficerem, a Polska jest w stanie wojny z Niemcami. Mamusia nie protestowała, choć odważyła się powiedzieć, że to przecież jego przyjaciele i porządni ludzie. Tato twierdził, że to miło, że o nim pamiętają, ale o żadnej współpracy nie może być mowy. Nowe, rozpolitykowane życie towarzyskie wciągało mnie mocno. Bezczelnie wtrącałam się do rozmów starszych. Ale oni wciąż nie traktowali mnie poważnie. Tatuś nie uczył mnie, choć chyba miał czas. Dziś rozumiem, jak trudny to był dla niego okres. Zawieszenia pomiędzy życiem wojskowym i cywilnym.

OKUPACJA RADZIECKA

Gdy już znów weszli Rosjanie, bo ponoć Litwini o tym tylko marzyli, skończył się Tatusia urlop od wojny. W lipcu 1940 roku (gdy spałam „jak zabita”) przyszli policjanci litewscy, zrobili rewizję przewracając cały dom „do góry nogami” i aresztowali Tatusia. Mam mówiła „tam dzieci śpią” i nie weszli do naszego pokoju. Byłam wściekła, że mnie Hala, która nie spała, nie obudziła. Nie pożegnałam się z Tatusiem. Rano Mamusia szukała Taty. Szukały wszystkie żony i dzieci aresztowanych oficerów. Z naszych sąsiadów, pani Nina Downarowiczowa z synem Januszem. Nas Mama zostawiła w domu. Litwini odsyłali do Rosjan, Rosjanie mówili „ idźcie do Litwinów, przecież to oni ich aresztowali”. Tatus wyszedł w letnim ubraniu „jak stał”. W końcu było już wiadomo, że są wszyscy razem w jakiejś szkole czy innym „urzędowym” gmachu. Mamusi udało się coś niecoś mu dostarczyć, ale nie bardzo było wiadomo co trzeba dać i co z nimi dalej zrobić. Pewne było, że wywieziono aresztowanych oficerów. Wywieziono też tych, którzy zostali w Kołatowie, a więc było przypuszczenie, że poprostu ich gdzieś razem internowano. Po jakimś czasie dostałyśmy karteczkę pocztową wyrzuconą z wagonu czy komuś przekazaną. Mama się zupełnie załamała. Nie wierzyła uspakajającym hipotezom Taty kolegów. Ona знаła Bolszewików i przewidywała najgorsze. Nikt nie wiedział, jak bliska była prawdy. Było to już po zamordowaniu pierwszej grupy oficerów z Kozielska, na których miejsce zakwaterowano teraz wywiezionych z Litwy internowanych.

Trochę cudem zachowanych listów.

1) Kartka pocztowa jeszcze z podróży poprzez Litwę, słabo widoczny stempel pocztowy z 23.VIII. 40r.

Tato nie napisał daty, ale pisał jeszcze z terenu Litwy.

„Kochana Wituchno!

Posyłam Ci ten znak życia, kiedy wyśle następny trudno przewidzieć. Serdecznie dziękuję za rzeczy, przydadzą się w drodze. Wierzę, że dasz sobie radę, jeżeli będziesz uważała za wskazane, wróc z dziećmi do Matki. Niech Bóg Was wspomaga. Jeżeliście mieli kiedy z mojej strony jakie przykrości, wybaczcie. Pracy mojej nie dane mi było wykończyć, jest poprawiony maszynopis na biurku, może mógłby p. Szcz. przejrzeć i ewentualnie wysłać do Ameryki. Bardzo serdecznie Was całuję, trzymajcie się dzielnie, pozdrowienia dla wszystkich kolegów. Napisz do Mamusi, aby była spokojna. Jeszcze raz całuję bardzo serdecznie Olek.

P.S. Moja prośba do prof. M., aby był łaskaw zawieźć do Matki jeden komplet moich prac związanych sznurkiem.

Komentarz.:

p. Szcz. - profesor Szczepan Szczeniowski, prof. M - profesor Stanisław Małkowski, który najwyraźniej już planował powrót do Warszawy. Komplet prac związany sznurkiem, jeden jest teraz w bibliotece UMK, drugi u mnie. Oba dużo grubsze o prace, które Ojciec zrobił dzięki Hitlerowi (to jest wojnie niemiecko-radzieckiej, która uratowała mu życie). Z karty nie wynika data aresztowania. Tat twierdził, że to było w lipcu.. Karta jest zaadresowana na Curlonio g-ve 5, b.8, tj. na mieszkanie na Zakretowej.

Natępnie jest list dopiero z 6.XI.1940 r.

2) Kochana Wituchno i kochane moje córki!

Podaję Wam mój adres. Piszcie o sobie. Zawiadomcie Mamusię i znajomych fizyków i matematyków o moim adresie i proście, żeby pisali do mnie. Czy moja praca naukowa wysłana do druku? Z czego żyjecie? Całuję Was bardzo serdecznie Wasz mąż i ojciec Olo.

Jest to pierwszy list z Kozielska, oczywiście nie jest podana miejscowość, a tylko „skrzynka pocztowa”. Zostało dużo drogocennej kartki, miał być pewno krótki i prosty, aby napewno doszedł.

Następny list z zółkły i wymiętoszony jest dopiero z 16 stycznia 1941 roku.

3) Kochana Wituchno i kochane dzieci!

Nareszcie po upływie pół roku od pamiętnej chwili naszego rozstania się, otrzymałem od Was wiadomości. Pierwszą kartę (od prof. Małkowskiego) otrzymałem jeszcze przed Bożym Narodzeniem, od dzieci i p. Horodniczego otrzymałem 4 stycznia 1941 roku, od Ciebie 8 stycznia 1941 roku i od p. Antoniego 9 stycznia 1941 roku. Wszystkim serdecznie dziękuję za pamięć i zasyłam serdeczne pozdrowienia i życzenia świąteczne, a kol. Horodniczemu również i gratulacje z powodu przyjścia na świat drugiej córki. Dlaczego tak mało wiadomości przesyłacie o sobie? Jakie jest Wasze nowe mieszkanie, czy nie zimne? Proszę bardzo o wiadomości o Mamusi i o rodzinie! Poprzedni list (drugi) napisałem do Mamusi do Warszawy, od Ciebie nie miałem wówczas żadnej wiadomości, dlatego próbowałem tej właśnie drogi. Ciepła bielizna, którą mi przysłałaś niezwykle mi się przydaje, toteż stan mego zdrowia jest zadawalający. Bardzo mi pomagają koledzy. Mam już szalik, dwie spinki, krawat, getry, a nawet w ostatnim czasie dostałem na gwiazdkę proszek do zębów, chustki, karty pocztowe, ręcznik, nici (zwłaszcza ten ostatni prezent był dla mnie bardzo pożytecznym, moja bielizna i spodnie wymagają ciągłej reperacji). Na większe mrozy wkładam pożyczone mi palto pod mój płaszcz deszczowy. Najwięcej mi pomógł T. Czarnecki (fizyk, mąż byłej nauczycielki Hali), o żonie nie ma jeszcze żadnej wiadomości, może z p. Czarnecką macie jaką styczność, dajcie jej znać o mężu. Prof. Alexandrowicz zasyła wszystkim znajomym i

przyjaciołom pozdrowienia, nie pisze sam do Wilna, ponieważ pisuje do Warszawy. Cieszę się z ukazania się mojej pracy (może „śpiewu łabędziego”), nie wiem tylko, czy błąd w pierwotnym rękopisie został sprostowany. Za ewentualne przysłanie 2 odbitek byłbym niezmiernie wdzięczny. O ten błąd mi bardzo chodzi, czy któryś z kolegów nie mógłby porównać mego poprawionego rękopisu zostawionego na biurku z wydrukowaną pracą? Błąd ten trzeba sprostować w każdym razie? Paczki do nas przychodzą nawet z Warszawy, lecz o ile wiem nie wolno wysyłać paczek z Wileńszczyzny i z Litwy. Najprędzej tu dochodzą listy polecane, przyślij mi proszę Wasze fotografie (może jedną grupę rodzinną) listem poleconym, jeżeli przesyłanie paczek do nas będzie zezwolone, to najbardziej potrzebne mi są buty długie i odpowiednie spodnie i ewentualnie koszula, spinki i guziki, a na lato pantofle tenisowe (stare). W znaczki pocztowe, koperty i karty pocztowe jestem zaopatrzony na dobrych parę miesięcy. Przydałyby się książki: słownik angielsko-polski oraz Weizsaeckera „Fizyka jądra” (Kernphysik). Mam nadzieję, że Hała i Dana uczą się dobrze, wszak są już umysłowo rozwinięte. Całe szczęście, że mają dzielną Matkę, która jak widzę, daje sobie radę w najcięższych okolicznościach. Całuję Was bardzo serdecznie i opiece Boskiej polecam Olek.

Komentarze:

1. Henryk Horodniczy - Litwin, fizyk, który pracował z Ojcem nad rozszerzeniem linii widmowych, pamiętam dyskusje o konstrukcji „pieca”, który sobie zgoła nie fizycznie wyobrażałam. Ten Litwin to bardzo miły i przyjazny człowiek, potem wieloletni profesor litewskiego uniwersytetu w Wilnie. Kontynuował prace rozpoczęte z Ojcem. Jego żona okulistka pomagała, w czasie okupacji niemieckiej, Polakom ratując ich przed wywózką do Niemiec sztuczną jaglicą. W okresie całej wojny, byli oboje bardzo dla nas przyjaźni.

Ojciec korespondował z prof. Horodniczym również po wojnie, aż do ostatnich lat swego życia.

2. p. Antoni - p. Antoni Kmieć, kolega Ojca z orkiestry Opery, który znalazł się jako uchodźca w Wilnie i utrzymywał z nami przyjazne kontakty. Bardzo dobry, trochę nieśmiały. gdy przyszedł do nas na Zakretową po raz pierwszy jeszcze „przed Taty aresztowaniem, myślałam, że prosi o „wsparcie” i wysłałam z kromką chleba (to był cenny dar!), dopiero wtedy się skoncentrował i wyraźnie spytał o Tatę, który się z jego obecności bardzo ucieszył. Po aresztowaniu Tatusia „na prośbę Mamy, uczył mnie trochę na skrzypcach, ale byłam rekordowym beztalenciem. Mama w jakiejś chwili okupacji radzieckiej wpadła na pomysł, że będę zdawać do szkoły muzycznej. Cała noc nie spałam i ze strachu dostałam wysypki. Pomimo usiłowań p. Kmiecia, który był w komisji egzaminacyjnej tak okropnie fałszowałam (i na skrzypcach i śpiewając), że mnie nie przyjęli.

3. Mama była bardzo chora i wcale nie dzielna. Sprzedałyśmy tak dokładnie cały dobytek, że spałam na ławce ogrodowej, bo łóżek nie było, aż ktoś pożyczył stare łóżko. Mieszkanie „letniaczek” koło lasu Zakret było tak zimne, że rano woda w miednicy marzła. Czemu tam mieszkaliśmy napiszę potem. Wzruszająca dla mnie, jako naukowca, jest ta olbrzymia troska o właściwą publikację pracy. To była praca, którą Ojciec pisał (czy też przeredagowywał?) w czasie pobytu w domu pomiędzy Kołatowem, a wywiezieniem do Kozielska. Z listu wynika, że nie dostarczyłyśmy mu ciepłego ubrania i na zimę w Kozielsku miał letni płaszcz! Uczyć, uczyłyśmy się. Pisałam o tej szkole przy okazji wspomnień z tajnego nauczania.

Prof. Stanisław Małkowski -geolog, nasz lokator na Zakretowej „wraz z synem Zdlichem - fizykiem, niezwykle szlachetny i subtelny człowiek. Gdy po aresztowaniu Tatusia, w czasie choroby Mamusi byłam bardzo przygnębiona, brał mnie na spacer, na których opowiadał mi

różne mądre i ciekawe rzeczy. Był zdziwiony, że dość dużo wiedziałam z fizyki i myślał, że mi to Tatuś opowiadał. Prawdę mówiąc, Tatuś dawał mi do czytania książki popularno-naukowe, ale również czasem mi coś tłumaczył, nie tak dydaktycznie jak prof. Małkowski, ale to i tak było bardzo dla mnie ważne. Dobroć prof. Małkowskiego była mi bardzo potrzebna, wtedy zdawało mi się, że to przyjaźń. Teraz wiem, że prof. Małkowski bardzo lubił młodzież i był niezwykle dobry. Dla wszystkich, a więc i dla mnie.

Następny list był z 18 stycznia 1941 roku:

4) Kochana Wituchno!

Onegdaj otrzymałem jeszcze dwie Wasze karty (z 24 grudnia 1940 roku oraz bez daty po rosyjsku). Razem siedem kart. Nie masz pojęcia ile radości sprawia mi każda wiadomość od Was. Odpisuję dopiero teraz, bo poprzedni list wysłałem do Mamusi. Teraz już będę pisywał tylko do Was (mniej więcej co miesiąc). Czuję, że nie jesteś pewna, czy listy dochodzą, otóż jak się zdaje dochodzą wszystkie, najprędzej jednak listy polecane i karty. Wyobrażam sobie, jak strasznie musisz być zmęczona Twoją pracą zarobkową i domową. Jakie to jednak szczęście, że masz fach muzyczny w rękę. Czy też ja będę jeszcze kiedy w stanie zarobić cośkolwiek skrzypcami?! Mrozy mieliśmy do -40°C . Ale powiały wiatry z południa, mamy więc odwilż. Przesyłki z ciepłymi rzeczami nie przysyłaj, bo na tę zimę już chyba się nie przyda. Moje ubranie i bielizna do przyszłej zimy chyba nie dotrwają. Wszystkim, którzy o mnie nie zapomnieli serdecznie Bóg zapłać za karty i przeprosiny za nieodpisywanie. Zasyłam Wam urodzinowe i imieninowe życzenia, aby Bóg Wam udzielił sił do przetrwania. Na zakończenie prośba od księdza Czesława Kulikowskiego do p. Kafarskich (Dominikańska 4, tam gdzie była księgarnia) o depezę o jego matce, adres księdza taki jak mój. Jeżeli będą

możliwości wysłania paczki, to byłbym wdzięczny za przysłanie atramentu, kopert i papieru, pióro już mam. Tymczasem czekam na list polecony zawierający fotografię (może tę z Zakopanego przy domu Gutów). Serdecznie Was całuję wasz Olek.

Następny pisany w dzień imienin: 26 lutego 1941 roku.

5) Kochana Wituchni i kochane Dzieci!

Przesyłam Wam trzeci „znak życia”. Po wysłaniu poprzedniego listu otrzymałem jeszcze trzy karty: kartę zbiorową (z 24.XII.40 r.) oraz karty od kol. Wacława T. (Turczyńskiego) i W. Staszewskiego. Serdeczne podziękowania za pamięć i serdeczne pozdrowienia przesyłam im wszystkim. Wituchno kochana, dbaj o zdrowie, nie przemęczaj się, bo tylko na Tobie spoczywa cała przyszłość naszych córek. Wszystkie decyzje Twoje muszą być niezależne od mojej sytuacji. O mnie się nie martwcie. Zdrowie mi dopisuje, głodny nie jestem. Dużo mam kłopotu z moją bielizną i ubraniem. Jeżeli będzie możliwość przesłania mi długich butów i mego kołotowskiego ubrania i trochę bielizny, to mi przyślij, jeżeli nie będzie można, to jakoś się obejść. Ponawiam prośbę o przysłanie Waszej fotografii listem poleconym. Poza listami poleconymi stosunkowo lepiej i pręcej dochodzą karty pocztowe (otrzymałem ogółem 10 kart). Na zajęcia moje składa się reperacja ubrania i bielizny, cerowanie skarpetek nićmi z rozprutej pary skarpetek i różne inne zajęcia. Dużą pociechę mam z czytania książek, które zdążyłem zabrać ze sobą, oraz angielskich miesięczników, ofiarowanych niegdyś przez prof. Staszewskiego. Ze względu na oszczędność oczu, czytam najwięcej przy świetle dziennym. Teraz już, chwała Bogu, dzień jest dłuższy, ale kiedy słońce zachodziło już jakieś 8 minut po czwartej, a w dzień wznosiło się najwyżej na $12,5^{\circ}$ ponad horyzontem, było z czytaniem słabo. Bardzo mnie w dalszym ciągu interesuje sprawa mojej pracy, która wyszła w Holandii

z druku, czy poprawka tekstu jest wprowadzona? Nie chciałbym, aby w mojej ostatniej pracy coś było nie zupełnie w porządku. Wszak po mnie pozostaniecie tylko Wy i moje prace. Mam wątpliwości, czy moje prace, zostaną kiedykolwiek należycie ocenione przez rodaków, ale mimo to, chciałbym, aby były w porządku. Proszę koniecznie o wiadomości o matce i rodzeństwie oraz o inne wiadomości rodzinne. Hala i Dana z pewnością uczą się chętnie fizyki i robią duże postępy. Czy Hala gra na fortepianie? Czy są jakieś wiadomości o fizykach warszawskich i o Krasińskim? Cieszę się, że się Wami wszyscy opiekują, łatwiej Wam będzie przetrwać. W poprzednim liście prosiłem o mój słownik angielsko-polski i Weizsaeckera „Fizykę Jądra Atomowego”. Za książki angielskie (na wieczne nieoddanie!) bylibyśmy wdzięczni. Bardzo serdeczne ucałowania (znajomym pozdrowienia) zasyła Olek.

Komentarz:

1. Byli jednak okropnie głodni. Ojciec po wojnie opowiadał, jak z przerażeniem zaobserwował kłótnię o kartofel w zupie pomiędzy bodaj profesorem i docentem, i że początkowo usiłował się gimnastykować, a nawet pływać w jakiejś sadzawce, a potem oszczędzał siły leżąc na pryczy.
2. Wszyscy uczyli się angielskiego.
3. Te dane o słońcu, to odpowiedź na list dr Wacława Turczyńskiego, który w ten sposób „wyindukował” informacje o położeniu geograficznym obozu (zob. teksty kart i listów do Kozielska).
4. Mamusia czas jakiś grała w restauracji, w której był też komis mebli, na pianinie, będącym w sprzedaży. Za to miała obiady dla siebie i dla nas. Rzecz skończyła się „burzliwie” - właścicielka instrumentu zaprotestowała gwałtownie przeciw jego „niszczeniu”.

Pamiętam tę awanturę bardzo dobrze. Mamusia na polecenie „pracodawców” grała jakieś „rozrywkowe-walczykowe” kawałki. Ta pani, w futrze, upierścieniona, nawrzeszczała nie na właścicielkę komisju-restauracji, a na przerażoną Mamę, która nie orientowała się zgoła w przynależności własnościowej instrumentu. Było już po Mamusi ciężkiej chorobie, zapaści, po której na długie lata nie wróciła ani do fizycznej ani psychicznej formy. Pamiętam jak pewnego dnia, już po Tatusia aresztowaniu, ale jeszcze na Zakretowej, w tym na gwałt wynajętym mieszkaniu, Mamusia upadła nieprzytomna, jak ją z Halą jakoś dowlokliśmy do łóżka i jak posłałam Halę po blisko mieszkającego profesora anatomii, wspaniałego człowieka, prof. dr Witolda Sylwanowicza. Profesor przez całą drogę do nas zapewniał Halę, że zrobi taki zastrzyk, że Mamusia ożyje, choćby już umarła. Hala mnie to powtórzyła, gdy badał Mamusię. Widziałam, że mu się ręce trzęsą, i że jest zdenerwowany. Po tym badaniu i jakiejś próbie pomocy Profesor posłał Halę po jakiegoś swego kolegę, który zajmował się żywymi pacjentami (a nie jak On w prosektorium). Potem obaj robili jakieś zastrzyki, kazali nam grzać wodę i okładali Mamusię ciepłymi termoforami. Dom zrobił się pełen ludzi - przyjaciół, którzy pytali ciągle o zdrowie Mamusi, wchodzili, wychodzili, jakby już było „po wszystkim”. Posłałam Halę po mamę mojej koleżanki Danki panią Lewicką. Gdy przyszła, zrobiła zaraz ład, usunęła przyjaciół z pokoju, w którym leżała Mamusia, naradziła się z lekarzami, wydawała nam polecenia. Zaraz poczułam się różnie. Aż wreszcie Mamusia odzyskała przytomność, ale była bardzo słaba. Myślę, że ta choroba to nałożenie się okropnych przeżyć początku wojny, aresztowania Tatusia (Mama w młodości uciekła, spuszczać się na linie z okna przed aresztowaniem w rewolucyjnym Charkowie i nie miała złudzeń co do intencji tych, którzy Tatę wywieźli) oraz początku tak zwanego „okresu przejściowego” obniżającego odporność nerwową. Ojciec był wielką miłością Mamy. Zdawała sobie sprawę, że jest w bardzo ryzykownej

sytuacji, wpieryw pisała listy do kolegów Ojca, do USA, a nawet do prezesa ANZSSR prof. Wawiłova, który znał i cenił Ojca i jego prace (był gościem w Warszawie, gdzie dyskutował z Tata). Amerykanie posyłali do Ojca kartki z pozdrowieniami. Prof. Wawiłow, jeśli w ogóle dostał Mamy list, w co wątpię, to i tak nic nie mógł pomóc, jeśli nie mógł uratować z obozu swego brata, wybitnego genetyka, cóż mógł i co by chciał zrobić dla kolegi fizyka z kraju, który znów dzięki paktowi Robbentrop-Mołotov znikł właśnie z mapy? Gdy to wszystko nic nie pomogło, przyszło załamanie. Choroba serca i zupełna bierność i niechęć do życia. Tego dnia, gdy Mama zachorowała, po raz pierwszy poczułam się „głową domu” w zastępstwie Ojca. Myślę, że byłam nieźle nieznośna w tej roli. Choć czasem „operatywna”. Nie pamiętam, gdzie był w czasie tej choroby Mamusi, prof. Małkowski, chyba już w Warszawie gdzie była jego żona i młodszy syn Kazik. Zdzich Małkowski pracował gdzieś na wsi. Wiem, że Profesor był potem („za Niemców”) znowu w Wilnie, gdy sprzedawałam gazety, bo pożyczył mi torbę na pieniądze. Gdzieś ją zadziałam i było mi bardzo przykro, gdy mi powiedział, że była pamiątkowa. Ale to było dużo później. Prof. Małkowski przyjechał wtedy z Warszawy i powiedział, że Babcia Mania (Matka Taty) nie żyje. To granie w restauracji było nad siły Mamy, a ta awantura zupełnie ją zniechęciła. Potem jeszcze od czasu do czasu próbowała coś działać, ale prędko pasowała i wracała do sprzedawania naszego niebogatego dobytku. W jednym z listów są pozdrowienia dla „naszych, byłych sublokatorów”, tj. dla prof. Małkowskiego i jego syna Zdzicha, którzy jakiś czas mieszkali wraz z nami na Zakretowej. Dwukrotnie zmieniliśmy mieszkanie po aresztowaniu Taty. Wyniosłyśmy się z naszego mieszkania na Zakretowej, gdy chciano zakwaterować tam jakichś radzieckich wojskowych. Mamusia w popłochu wyniosła się wtedy do pp Lewickich, którzy mieli zadziwiająco dobre serce i orzekli, że się ściany ich mieszkania „rozsuną”, aby naszą trójkę dokwaterować. Spałyśmy

we trzy z Danusią L., na małżeńskim łożu pp Lewickich, gdzie się oni upchnęli, naprawdę nie pamiętam. Mieszkanie nie było zbyt duże i nie było dostosowane do kwaterowania tylu nadliczbowych osób. Resztki naszych mebli Mama sprzedała. Od pp Lewickich wyniosłyśmy się pod las Zakret do letniaczka na ul. Letnią. W ogóle od czasu choroby, Mamusia poprostu sprzedawała resztę naszego dobytku i czekała na koniec wojny. O tych naszych perypetiach napiszę potem.

Teraz następny list z dnia 23 marca 1941 roku.

6) Kochana Wituchno i kochane Dzieci!

Piszę do was czwarty

(„piąty” w pierw było napisane na tym ten „czwarty” i przerobiony, w naszej numeracji 6) bo była ta „karta z drogi” nielegalnie wysłana, która przyszła po miesiącu, jak wynika z listu prof. Staszewskiego)

list. Wczoraj otrzymałem (po dwumiesięcznej przerwie) kartę do Was z 27 lutego 1941 roku. Od Mamusi i Iry otrzymałem dwie karty. Serdecznie Wam, Mamusi, Irze, Jurkowi i Dudusiowi dziękuję za życzenia i pozdrowienia. Nie piszę bezpośrednio do Mamusi i do Jurka, bo możliwości są ograniczone. Dziękuję serdecznie za paczki, otrzymałem w zupełnym porządku. Obecnie mam zapas znaczków i kart pocztowych na cały rok. Pieniądzy jeszcze nie otrzymałem, ale nie wątpię, że wkrótce nadejdą. Nie trać na mnie pieniędzy, bo jak jestem przekonany, u Was tam się chyba nie przelewa, ja zaś sobie muszę jakoś radzić. Jak się dowiaduję, wolno z Wilna przysyłać książki pod opaską poleconą (w nawiasie po rosyjsku „zakazanaja banderol”), więc jeżeli będziesz mogła i miała za co, przyslij mi mój słownik angielsko-polski (Holtza) i fizykę jądra atomowego. Buty i spodnie do butów przydałyby się,

bo spodnie i moje półbuty już długo nie pociągną. Ale konieczności nie ma. Bardzobym chciał mieć fotografie, o które prosiłem w poprzednich listach, można przesłać w liście poleconym. Obecnie koszul i ręczników mam pod dostatkiem. Przy nadchodzących świętach zasyłam najserdeczniejsze „Wesołego Alleluja” dla Was, dla Mamusi i całej Rodziny, dla naszych byłych sublokatorów i wszystkich przyjaciół i znajomych. Również i Mamie i Michałostwu składam najlepsze życzenia. Bardzo się cieszę, że moja ostatnia praca wzbudziła zainteresowanie, chociaż okoliczności zewnętrzne są raczej niesprzyjające. Ale, niestety, dotychczas nie wiem, czy moje sprostowanie zostało uwzględnione i błąd sprostowany. Czy są w Wilnie odbitki mojej pracy? Nie mogę się porozumieć ani z Fokkerem (?) (redaktorem czasopisma „Physica”) ani z Opęchowskim, jego asystentem. Naciśnij na Szczepana albo na Heniczkę, niech tę sprawę załatwią, bo ja niestety nie mogę. Życzliwość Zygmundów i Jurka Spławy jest wzruszająca, jestem im niezmiernie wdzięczny. Prześlij im, jak również Swingsowi, Mierzwie i Struvenu serdeczne pozdrowienia.

W obecnych ciężkich czasach nie licz na nikogo, a tylko na własne siły, oszczędzaj zdrowie i siły. Nie wiadomo ile jeszcze wody w Wiśle upłynie, zanim ja będę mógł wziąć udział w pracy nad utrzymaniem rodziny. W każdym razie nie będzie to w roku bieżącym. Zdrowie moje staram się zachować, nie chorowałem dotychczas nawet na grypę, zęby trzymają się mocno (dostałem w prezencie trochę cebuli i czosnku, co ma chronić zęby). Zdrowie psychiczne staram się utrzymać studiowaniem fizyki i czytaniem książek angielskich. Myślę nawet trochę o rozwinięciu mojej ostatniej pracy, ale bez pomocy książek będzie to zdaje się, porywaniem z motyką na słońce. Książd Kulikowski depeszę otrzymał, wyraża Ci podziękowanie za załatwienie jego prośby. Czarnecki już ma wiadomość od żony.

Przypuszczam, że prof. Alexandrowicz byłby wdzięczny przyjaciołom Wileńskim za parę słów (karty najlepiej dochodzą!). Widuje się z nim od czasu do czasu (adres jak mój!). Co

porabia p. Szczepan? Henieczka podobno pracuje w fabryce? Czy i Turczyński ma zajęcie? Za każdą wiadomość będę bardzo wdzięczny. Poproś aby się na mnie nie gniewali, że pisuję tylko do Was i jeszcze od czasu do czasu zrobili mi przyjemność kartką. Jak się wydaje, Mamusia mego listu nie otrzymała (pisałem w grudniu). Czy Patkowski, Pieńkowski i Kapuściński znają mój adres?. Jeszcze raz proszę o przysłanie mi odbitek mojej ostatniej pracy i foto. Proś Mamusię i Irę o dalsze karty. Moc serdecznych ucałowań zasylał Wasz Olek.

Ostatni list z Kozielska z dnia 30 kwietnia 1941 roku.

7) Kochana Wituchno!

Po wysłaniu ostatniego listu otrzymałem jeszcze dwie karty z Wilna (z 12 lutego i z 19 lutego - zbiorową) i jedną od prof. Zygmunta. Listu nie otrzymałem dotychczas ani jednego. Otrzymałem za to pieniądze i cztery paczki oraz jedną paczkę z Warszawy od Mamusi. Paczkę tę opłaciłem z przysłanych przez Ciebie pieniędzy (koszta - 10 rubli 80 kopiejek). Wszystkim za karty, pieniądze i paczki serdecznie dziękuję. Jestem obecnie zaopatrzone w ubrania i bieliznę na kilka lat. Długie buty i spodnie do butów nadzwyczajnie się przydają, mam suche nogi i jest mi ciepło. Mamusia przysłała mi eleganckie nowe cywilne ubranie (przypuszczalnie Jurka), parę skarpetek i dwie chustki, z których jedna z inicjałami Fela. Jem obecnie czosnek i dodaję do zupy paprykę. Martwi mnie bardzo, że w obecnych tak ciężkich czasach tyle na mnie wydajecie pieniędzy. Proszę Cię bardzo, i poproś w moim imieniu Mamusię, abyście broń Boże nie wydawali pieniędzy na paczki i nie wysyłali do mnie pieniędzy! Znaczki pocztowe mam, na inne drobne wydatki pieniędzy mi starczy na długo, a Wam i Mamusi jest z pewnością bardzo ciężko. Nawet i bez książek, o które prosiłem mogę się obejść jeszcze dłuższy czas. Przepraszam Mamusię i prof. Zygmunta, że nie odpisuję im

osobiście. Wiadomość o mojej pracy bardzo mnie ucieszyła. Pracuję trochę nad rozwinięciem mojej pracy i otrzymałem nawet pewne wyniki, ostateczne opracowanie tych wyników trzeba odłożyć do chwili, w której będę mógł korzystać z biblioteki fizycznej.

Mam zapas mydła na pół roku! Może Mamusia spróbuje dowiedzieć się o nowym adresie Fela przez Polski Czerwony Krzyż w Warszawie.

Ostatnio zacząłem po trochu grywać na skrzypcach zbudowanych za pomocą scyzoryka i kawałeczka szkła; smyczek z niemi zamiast włosia końskiego! Grałem nawet z fortepianem (Słowiański Taniec) i solo Ciaconę Bacha. Zwłaszcza ta ostatnia bardzo się kolegom podobała. Bardzo Cie przepraszam, że w liście zwracam się do Ciebie z różnymi prośbami od kolegów, dziś znów dwie: ks. Józef Bednarczyk prosi o podręcznik Łempickiego (albo podobny) języka niemieckiego dla klasy 3 gimnazjum (może prof. Staszewski w tej sprawie pomoże), adres jak mój oraz p. Adolf Błoński prosi o zawiadomienie p. Brzezińskiej Ireny, artystki Teatru Polskiego (Wileńska 38) o jego adresie i prosi ją o przysłanie mu karty pocztowej z wiadomościami o powodzeniu w jej działalności artystycznej.

Jak można sądzić, najlepiej dochodzą tu wyraźnie pisane karty pocztowe, piszcie częściej karty! Same rozumiecie jaka to dla mnie przyjemność i pociecha otrzymanie chociażby najkrótszej wiadomości! Smutek mnie czasem nawiedza, ale z pomocą fizyki, czytania książek angielskich i rzępolenia na skrzypcach odpędzam go jak mogę. Hali za pulsetki serdecznie dziękuję. Fajkę pałę z prawdziwą przyjemnością, a manierka jest tym czego mi najbardziej brakowało. Mam obecnie tyle rzeczy, że nie będę w stanie udźwignąć! Wszystkim za dowody pamięci i słowa otuchy serdecznie dziękuję. Ciebie, Halę i Danę bardzo mocno całuję i proszę o pośrednictwo w przesłaniu podziękowania za paczkę Mamusi oraz ucałowanie rączek Mamusi i Mamie, Irze, Dudusiowi, Michałostwu (i wszystkim innym krewnym) zasyłam ucałowania Wasz Olek.

Komentarz:

Brat Feliks - sędzia, u którego podpis Ojciec znalazł nad jedną z prycz w Kozielsku, już nie żyje (Katyń). Ubranie było Fela, wszystkie rzeczy obu braci Jurka i Fela po likwidacji ich mieszkań znalazły się u Babci i Cioci Iry na Grzybowskiej, gdzie spłonęły w czasie powstania. „Duduś”, to syn siostry Taty Ireny - Andrzej. Wspominał po wojnie, że ciotka nie dała mu nic z ubrań wujów, chowając je na ich powrót. Wyjątkiem było to ubranie przesłane Tacie do Kozielska. „Duduś” (Andrzej Dłużniakiewicz - powstaniec), po wojnie w Anglii. Ciotka odznaczona Krzyżem Walecznych za Powstanie, po wojnie w Sopocie.

Mama - Matka mojej Mamy; Mamusia - Mama Taty, Michał (Gutowski) - brat Mamy, żona Michała - Zofia Gutowska - oboje przeżyli wojnę. Ten list świadczy o pewnym „zagospodarowaniu się” w obozowych warunkach. Jestem pewna, że Ojciec pisał dalsze listy, aż do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, ale nic więcej do nas nie dotarło. Korespondencja szła dość opornie. Ojciec podejrzewał, że do Niego listy przychodzą gorzej niż do innych, bo brany na przesłuchania (NKWD) niezmiennie odpowiadał swoim nieposzlakowanym rosyjskim: „Jestem internowanym oficerem i zgodnie z konwencją genewską nikt nie ma mnie prawa przesłuchiwać”. Inni próbowali coś odpowiadać nic ważnego nie mówiąc (szukano „dwójkarzy”, tj. wywiadu wojskowego i usiłowano wyszukać sympatyków radzieckiego ustroju). Tych innych kolegów ciągle wzywano i wypytywano, Ojcu po paru próbach dano spokój. Ojciec bardzo ładnie mówił po rosyjsku (słuch absolutny pomagał mu odtworzyć właściwą wymowę). Opowiadał mi, że gdy wstąpił w Charkowie do gimnazjum nauczyciel rosyjskiego alfabetycznie wywoływał uczniów prosząc ich o przeczytanie paru zdań. Wszyscy mieli ukraińską wymowę. Dopiero gdy przeczytał Tato, nauczyciel zachwyił się i spytał skąd on pochodzi, na co krnąbrny dziesięciolatek

nieposzlakowaną ruszczyzną, stwierdził „jestem Polakiem, rosyjski to dla mnie obcy język”. Ten brak ukraińskiego akcentu był tym dziwniejszy, że Ojciec urodził się na Ukrainie i z nianią, formalami itp. mówił od dzieciństwa po ukraińsku (wtedy się ten język tak nie nazywał). Śpiewali też z rodzeństwem różne „dumki”, powtarzali przysłowia. Po polsku też Ojciec nie miał „kresowego” akcentu. Bardzo, czasem nawet przesadnie, dbał o prawidłowość polszczyzny. Tylko gdy mówił przez telefon można było wyłowić trochę „miększe” harmoniczne tony charakterystyczne dla kresowiaków. Gdy już wróciłam do Ojca dzieciństwa i gimnazjalnych wspomnień to jeszcze jedno wspomnienie z relacji Stryja Jurka. Chłopcy kolejno wstępowali do rosyjskiego gimnazjum w Charkowie „gdzie mieszkali na stacji. Przed tą wyprawą każdy dostawał od Ojca medalik z Częstochowską z przestrogą „pamiętaj, że jesteś Polakiem”. Jeden z tych historycznych medalików (własność Stryja Jurka) przetrwał wszystkie wojny i jest u mnie.

To był ostatni list z Kozielska. Potem wybuchła wojna, która uratowała Ojcu życie. Ojciec przechował nasze kartki i kartki przyjaciół. Nasze kartki adresowane na urząd pocztowy w Moskwie, skrzynka pocztowa 11/C-41 są wysyłane już z zaułka Letniego. Brak na wielu dat.

Stempel: 12.II.41

Kochany Olku!

Otrzymałyśmy od Ciebie tylko jedną wiadomość, pisała Ira, że dostali od Ciebie list. Bardzo się ucieszyłam, że była już druga od Ciebie wiadomość. Jesteśmy zdrowe, nami bardzo

troskliwie opiekują się Twoi koledzy. O nas bądź zupełnie spokojny, pilnuj swego zdrowia. Wyczekujemy wieści od Ciebie. Całujemy bardzo gorąco Twoja Wituchna, Dana i Hala.

6.XII.40

Kochany Olku!

Dziękuję za wiadomość. Jesteśmy zdrowe. Wszyscy nami się opiekują, więc o nas bądź spokojny. Córy nasze uczą się w szkole, radzą sobie dobrze. Praca Twoja naukowa już została ogłoszona. Dbaj kochanie o swoje zdrowie. Napisz koniecznie czy można przysłać paczkę i czego Ci najbardziej brakuje. Całujemy bardzo mocno Wituchna i córy.

Po rosyjsku karteczka z naszym adresem i zapytaniem, czy można przysłać paczkę.

24.XII.40

Kochany Olku!

Wczoraj wysłaliśmy zbiorową kartę, dziś jesteśmy myślą i sercem z Tobą, smutno nam bardzo, ale wierzymy, że wytrwamy, jest z nami p. Kmiec. Zjedliśmy skromną wilię, śpiewaliśmy kolędy. Ja trochę pracuję, gram przez 4-5 godzin w stołówce nowo założonej, mamy za to trzy obiady, co nie zjemy to bierzemy do domu, męczy mnie chodzenie, bo jest to

koło kościoła św. Anny, a mieszkamy przy Zakrecie, mamy dwa pokoiki z kuchenką (letnie mieszkanie), piece zrobione, czyli naprawione, po raz trzeci przeprowadziłyśmy się. Tutaj może dłużej zostaniemy, bo bez wygod. Całuję Cię kochanie mocno Twoja Wituchna, Hala i Dana. Przy okazji i ja ślę pozdrowienia A. Kmieć.

24.XII.40

Kochany Olku!

Przesyłamy Ci jeszcze raz dużo serdecznych i gorących życzeń. Pisujemy do Ciebie często, list z opłatkiem wysłany już dawno, czy otrzymałeś? Całuję Cię serdecznie kochająca Wituchna, Hala i Dana. Najlepsze pozdrowienia i uściśnięcia przesyła St. Małkowski. Wielce Szownemu Panu Aleksandrowi przesyłamy serdeczne pozdrowienia aby się nasze marzenia spełniły w Nowym Roku, jesteśmy tu na Letniej, dziewczynki duże już strasznie i w ogóle uroczko tu i przytulnie, tylko Pana okropnie brak. Irena Niewodniczańska.

Kochany Olku, wobec nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku przesyłam Ci najserdeczniejsze życzenia. Nie ulega wątpliwości, że w 1941 roku już będziemy razem w bardzo pomyślnych warunkach. Myślamy teraz jesteśmy z Tobą. Ściskam Cię serdecznie, Twój Henryk Niewodniczański.

Najserdeczniejsze i najlepsze życzenia przesyła S. Szczeniowski, W. Turczyński.

7.XII.40 r.

Kochany Tatusiu!

Bardzo ucieszyliśmy się wszyscy z wiadomości od Tatusia. Mamusia czuje się dobrze. Praca wyszła. Mieszkamy teraz na ulicy Letniej. Okna naszego mieszkania wychodzą na Zakret. Studnię mamy blisko na podwórku. Chodzimy do szkoły. Młodsze klasy naszego gimnazjum mieszczą się w gmachu byłego gimnazjum Benedyktynek, starsze w dawnym liceum Śniadeckich. Całuję Tatusia bardzo serdecznie Dana.

Kochany Tatusiu!

My jesteśmy zdrowe. Pogoda jest ładna, mały mróz a śniegu dużo. Obiecano nam na wiosnę parę grządek w ogródku, będziemy mogły posiać kwiaty i warzywa. Szkoły są koedukacyjne, nasza jest na Bakszcie. Chodzę do IXB klasy. Całuję bardzo mocno Hala.

Wilno 22.XII.1940 r.

Kochany Panie Docencie!

Z powodu zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia przesyłam najserdeczniejsze Zyczenia. Życzę panu docentowi, by w roku 1941 stanął na ziemi ojczystej wśród swoich. Ja w dalszym ciągu uczę się języków i sporo czytam, jednak z powodu słabego wzroku mogę to robić tylko w dzień, który jest teraz krótki, słońce zachodzi już o godzinie 16.45 wznosząc się w południe o 12 stopni. Mieliśmy pewien czas mrozy, które obecnie ustały. Od czasu do czasu odwiedzam Rodzinę Pana Docenta. Koniec lata i jesień spędziłem na wsi, co poszło dla mnie na zdrowie. Tam również spędzę święta. Przesyłam serdeczne pozdrowienia Wacław T. (Turczyński).

Karta od prof. Wacława Staszewskiego: Wilno 10.XII.1940 r., św. Anny 11m3.

Kochany Panie Aleksandrze!

Nie potrzebuję się rozwodzić, jak się uradowaliśmy otrzymawszy przed kilku dniami list pański, pierwszy od wyjazdu z Kowna (z Kowna otrzymaliśmy kartkę w miesiąc po nadaniu). Nie jesteśmy z niej bardzo mądrzy, gdyż nie mamy współrzędnych geograficznych, których jesteśmy oczywiście ciekawi, ale cieszymy się widząc własnoręczne pismo. Pani Wiktoria chciałaby koniecznie wiedzieć, czy Pan nie zapomniał zabrać ze sobą tej paczki, którą zdążyła Panu wręczyć jeszcze w Wilnie. Rodzina Pańska zamieszkała obecnie w dwóch milutkich pokoikach na Zakrecie, zaulek Letni 6, gdzie chcieliby wkrótce i Ojca zobaczyć. Pani Wiktoria, jak zawsze, dzielna i energiczna dba o córki, żeby rosły i rozwijały się, jakby ziemia kręciła się bez wstrząsów. Wojujemy o to, żeby się więcej nieco sama oszczędzała, ale że tu nasze słowa nie wiele mogą zdziałać, więc dobrze by było, żeby pan użył trochę patriae potentatis. Dziewczęta dobrze się uczą, ale że natrafiły nie na najlepsze siły w zakresie Pańskiej specjalności, więc ta nauka trochę kulała. Chcąc temu zaradzić odbywam z nimi co tydzień konferencyjki, na których się doksztalcamy, aby Tacie, gdy wróci zrobić przyjemność. Zawsze z wielką chęcią idę na te pogaduszki. Od września jestem wolny, niemal jak ptak. Radzę sobie dość dobrze i korzystam trochę z czasu, aby się w niektórych dziedzinach doksztalać. Szczepan miał już dwie propozycje do Lwowa, na które już wyraził swą zgodę jak dotychczas bez rezultatu. Doc. Zaemba pojechał niedawno na „Zawiedujuszczewo Katedroj” do Stalinabadu. Profesorowie Wydziału mat.-przyr. Wiśniewski, Bekier (?), Dembowski, Dzewulski, doc. Iwanowska, Rudnicki, nadto Czeżowski, a może jeszcze jacyś, są nauczycielami w szkołach średnich, przepelnionych, w

liczbie 14 czy 15, czynnych rano, po południu. Quantitas niezwykła! Oko i Otrębski mają wykłady zleczone na uniwersytecie. Wielu asystentów uczy w szkołach średnich. Jeślibym mógł być Panu w czymś pomocny, proszę pisać bez skrępowania. Łączę serdeczne pozdrowienia i mocny uścisk dłoni. W. Staszewski. Serdeczne pozdrowienia dla profesora Alexandrowicza.

Kartki od Babci Mani - ojca Matki.

Synu Ukochany!

Przysłała Wituchna adres, pod którym można do Ciebie pisać, a więc korzystam i ślę najlepsze życzenia, ucałowania, żeby Bóg Wam udzielił i nadał sił i zdrowia. O Felu i Brunku nic nie wiem. Przykro, że pieniędzy ani Wituchna, ani z Warszawy, ani Jurek z Oflagu nie może przesłać, nie przyjmują. Zdrowie moje kiepskie, choroba, która do śmierci nie prowadzi, ale daje się we znaki, ischias czy altretyzm, ale w takim stopniu, że miesiącami nie wychodzę z domu, a w mieszkaniu tylko za krzeselkiem się posuwam. Całuję bardzo mocno. Opiece Boskiej polecam Matka.

11.II.1941 r.

Synu ukochany!

W końcu miesiąca dzień Twojego Patrona. Zasyłamy Ci wszyscy serdeczne życzenia sił i zdrowia do przetrwania tej zawieruchy i do zobaczenia swoich najbliższych. Ja czuję się trochę lepiej, byłam na 10 naświetlaniach w szpitalu u Dzieciątka Jezus. Obecnie przerwa 6 tygodni w domu, a później znów 10 lamp. Nie wiem czy to mnie postawi na nogi. Całuję Cię i Bogu polecam kochająca Matka.

Dopisek: Drogi Olu, i od nas z Andrzejem przyjmij najlepsze życzenia zdrowia i sił fizycznych i moralnych. Jurek przesyła pozdrowienia, prosi abyś napisał, o ile to możliwe, do niego.

Całujemy serdecznie Ira.

(Babcia Mania zmarła na raka 12 lipca 1941 r.).

Zbiorowa kartka imieninowa z Wilna.

Zebraliśmy się dzisiaj w mieszkaniu Państwa, aby razem pomyśleć i pomówić o Drogim Panu i przesłać wspólne życzenia. Proszę być dobrej myśli. Musimy być bardzo cierpliwi i cieszyć się myślą, że po srogiej tegorocznej zimie musi nadejść wiosna.! najlepsze życzenia St.Małkowski.

Zaszyłam najserdeczniejsze życzenia imieninowe, życząc wtrwać w zdrowiu i jak najprędzej zobaczyć się ze swoją rodziną Ania i Charytonowie.

Proszę przyjąć i ode mnie powinszowania Imieninowe oraz życzenia wszystkiego najlepszego w życiu, życzę aby prędzej już spotkać Cię W. Charytonow.

Kochany Olku, przed chwilą otrzymałyśmy Twój drugi list. Radość nie do opisania. Piszemy często do Ciebie, dziś ślemy Ci życzenia imieninowe, jutro wysyłam list z fotografią. Całuję Cię gorąco Twoja Wituchna. Całujemy Tatusia Dana i Hala.

Dalsze listy do Kozielska.

Wszystkie te listy Mamusi, Rodziny i Przyjaciół objechawszy wokół niemal całą ziemię, wróciły z Tata w 1945 roku do kraju .

Jeszcze kartka z 27.II.1941 r.

Dziś są Twoje imieniny, ciągle jesteśmy myślą z Tobą, całujemy Cie czule życząc zdrowia i wytrwałości. Miałam list od p. Zyg. (prof. A. Zygmund - matematyk, wyjechał w początku wojny z rodziną do USA) pisze, że Jurek Sława myśli o Tobie, pisał do Struve i Swingsa (bo o to prosiłam) wszyscy troszczą się i interesują się pracą naukową Twoją. Od p. Kafarskich smutna informacja, matka księdza nie żyje, o tym mają sami napisać, adres zostawiłam. Już Ci pisałam, że p. Czarnecka zdrowa, pracuje, radzi sobie dobrze, list od męża miała, pisuje często. Posłałam Ci 10 rubli na znaczki, za parę dni znów wyślę (potem informacje o paczkach, jakichś z zawartością nader skromną). Oczekujemy trzeciego listu.

16.IV.1941 r. (na wszystkich listach są Taty andotacje o dacie otrzymania, ten doszedł 29.V.1941 r.)

Kochany Olku, przesyłam Ci najweselszą lekturę, za jakieś parę dni jeszcze wyślę, chciałabym wiedzieć czy już doszły paczki i co otrzymałeś. Jesteśmy zdrowe, od Mamusi mamy wiadomości, niestety nic na święta nie mogłam wysłać do Mamusi, bo mam trudności ze sprzedażą biurka, trudno o amatora. Dostałam jeszcze lekcje muzyki więc starcza nam. U nas jeszcze dość chłodno, śnieg jeszcze leży, a powinno być już ciepło. Na drugiej połowie tego papieru odpisz nam długi list, tak bardzo jesteśmy spragnione tych wiadomości. Święta przeszły, ciągle myślą byłysmy razem z Tobą. Chodzę na lekcje ang. do Szczepana, już dużo rozumiem, ale mówienie z trudem mi idzie. Od Krasińskiego pewno już masz wiadomości, tak nam przyjemnie, że i onas pamięta i od czasu do czasu pisuje. Z Mamusią Muszki widujemy się często. Muszka znów odnowiła lekcje muzyki, czy mógłbyś w swoim liście chociaż tylko pozdrowienia od Pana D. przesłać do Pani D. i w jego liście od Ciebie dla mnie, bo tak miałabym trochę częściej wiadomości niż co 6-7 tygodni.. Teraz nagromadziło się u

mnie dużo roboty, dzieci tak wyciągnęły się, tak ze wszystkiego wyrosły, że muszę jakoś to sztukować. Tak bym chciała dostarczyć Ci trochę więcej czosnku i jakiś innych lekarstw, może i paprykę przysłać? Pamiętaj, Olku Kochany, dbaj o swoje zdrowie i nerwy, oszczędzaj się, a wytrwamy napewno. Całuję Cię dużo razy i Bogu polecam Twoja Wituchna.

<opuszczam w następnych mamy kartkach wstępy i zakończenia>

Komentarz:

Muszka Downarowiczówna, córka Edwarda (oficera WP, który był razem z Tatusiem aresztowany i był w Kozielsku) i Niny (romanistki, Mamy przyjaciółki). Pomysł o przesyłaniu informacji miał zwiększyć częstotliwość wiadomości.

19.IV.1941 r.

Dziękujemy Ci bardzo serdecznie za czwarty list. Błąd w Twojej pracy został poprawiony, a więc praca wyszła w porządku. Książki wysyłam, jedną już wysłałam od prof. St.

(od prof. Staszewskiego-Pickwick Club z serii „Pocket Classics” wędrował z Ojcem przez całą wojnę, umęczony tułaczka i „wyczytany” jest w mojej bibliotece).

Słownik też będziesz miał. Myślę, że buty i spodnie już doszły, chcę Ci przesłać płaszcz. Piszemy do Ciebie bardzo często, więc chyba na raz dostaniesz wszystkie listy. Fot. wysłałam

(reszta dopisana innym charakterem pisma została brutalnie wytarta, na rożku widać podpis W. Staszewski. Co tam Profesor napisał zdroźnego? Wyniki badań „geograficznych” obozu?).

24.IV.

Co otrzymałeś w paczkach? - wysłałam 6 paczek i książki. W ostatniej było palto kołotowskie (wojskowy płaszcz), fajka, talerz, czosnek, papryka i cebula. Adres prof. Alexandrowicza

dałam prof. Wróblewskiej, obiecała napisać. Twój adres wszyscy koledzy i znajomi mają, nie wiem czy napisali. Do Szczepana idę z kartą to wtedy wiem, że napisał, on jest bardzo ciężki do pisania. Heniczka zdaje się dotąd nie znalazł czasu, jest zajęty. Nie masz pojęcia jak dużo doznajemy pomocy, troskliwości i opieki od Ani i Halinki, chodzę do nich codziennie na parę godzin pomóc w gospodarstwie, prosili bardzo serdecznie pozdrowić Ciebie. Na granie znów nie mam czasu, dzień jest szczelnie wypełniony pracą

3.V.41

Kochanie Moje!

Tak się cieszę, że paltro udało się wysłać do Ciebie. Czy czosnek i cebula nie popsęły się w drodze? Napisz co jeszcze mam przysłać. Czy masz możliwość kupienia potrzebnych Ci rzeczy i jedzenia? Tak rzadko możesz pisać, że proszę bardzo o wypisanie całego spisu rzeczy Ci potrzebnych, a ja stopniowo postaram się załatwić wszystko. O nas bądź spokojny, twoja...

Dalej w zbiorze są kartki z USA od prof. Zygmunta, jego Żony. Widać, że nie bardzo rozumieją sytuację: „Bardzo by nam było miło otrzymać od Pana choć krótką wiadomość”. Informacje, że ukazała się Taty praca w Physica, i że wyszła autobiograficzna książka prof. Infelda, i że nic nie można z USA przesłać, a „Krysia i Hania” zdrowe i uczą się (Tatus poprawił nasze imiona z naukową dokładnością). Myślę, że dostawanie w Kozielsku takich amerykańskich kart było niezwykłą, choć w tym czasie może i ryzykowną atrakcją. Zabawna jest karta Taty współpracownika z USB, Henryka Horodniczego, Litwina, który pracował dalej na Litewskim Uniwersytecie.

Vilnius, 1940.XII.10

Szanowny i Drogi Towarzyszu Docencie, cieszymy się bardzo, że nareszcie nadeszła wiadomość od Towarzysza. Piszę parę słów o sobie i o Zakładzie. Ja i cała rodzina jesteśmy zdrowi, mamy drugą córkę, dziś kończy już ona drugi dzień. W Zakładzie mam dużo roboty w pracowni I, a na I roku mamy 550 studentów i wszyscy już pracują na pierwszym roku, tak że mamy 7 grup ćwiczeniowych (nie licząc 2 grup 2-go roku, w których ja już nie biorę udziału). O dalszej pracy nad szerokością linii narazie tylko rozmyślam. Praca p. Doc. w *Physica* ukazała się jako 7.541.1940 w numerze 6 (June). Obok jest praca Opęchowskiego. Czasopismo to zdaje się ukazywać bez przerwy, mamy już numer 8. W Zakładzie oprócz mnie pracują na etatowych stanowiskach: Garnysz, Malejko, Kaluga, Herszman. Przesyłam serdeczne pozdrowienia H.H.

Śmieszność - to ten „towarzysz docent”, ale z pewnością tylko, żeby adresatowi nie zaszkodzić. Symptomatyczne zdumienie, że w Holandii ukazują się naukowe czasopisma. U nas wojna i okupacja, to „koniec świata” i zupełne przerwanie normalnego życia. Tam wychodzi „*Physica*”, jakby nigdy nic! Błażej Kaluga - laborant I Pracowni Fizycznej w Wilnie, a potem w Toruniu. Profesor Horodniczy i jego żona - okulistka, szlachetni ludzie, którzy nie tylko nie bali się narazić swej litewskości na szwank przez podtrzymywanie dawnych przyjaźni, ale czynnie pomagali ratować np. przed wywózką do Niemiec (Pani H. „preparowała” mojej siostrze sztuczną jaglicę, aby ją ochronić od wywózki).

Karta od najserdeczniejszego przyjaciela Władysława Krasieńskiego, nauczyciela matematyki, z którym Ojciec w Warszawie przez wiele lat grywał kwartety:

4.V.1941

Szanowny Panie Aleksandrze,

ostatni raz pisałem do Pana w marcu br. po wizycie u Matki Pana gdzie otrzymałem adres. Piszę kartę tym razem, może ta będzie szczęśliwsza i dotrze do Pana. Wczoraj miałem list od p. Wiktorii. Treść listu podniosła mnie na duchu, bo p. W pracuje trochę zarobkowo, ćwiczy też na fortepianie, a panienki są zdrowe i spisują się dzielnie.

(Dalej o tej pracy, o którą się Tato niepokoił).

U nas po staremu, to znaczy żyjemy jakoś, pracujemy skromnie, włosów i zębów coraz mniej, lat za to to coraz więcej. Ozdobą życia są kwartety i książki. Już drugi raz kończymy przegrywać wszystkie kwartety Haydna. Mozarta i Bethovena grywamy sporadycznie, ale się mamy zabrać do nich niebawem (czy to nie aby aluzja polityczna? u.w.) Zima wciąż u nas trwa w tym roku, aż już życie do reszty brzydnie. Dziś kwartet: powiem kolegom, aby każdy napisał do Pana. .Dziś też piszę do p. W. Wszyscy przesyłamy Panu pozdrowienia i życzymy przetrwania tej zawieruchy dziejowej. Cześć! Wł.K.

12.V.1941

Kochany Panie Aleksandrze!

Miałem wiadomość od p. Wiktorii, że już miała od Pana trzy listy. ja niestety już z górą od roku ani jednego. W ostatnim liście zapomniałem zapytać czy zabrał pan skrzypce, choć by małego Prusaka, bo jeśli nie, to z techniką będzie gorzej, a mam contra spem nadzieję, że jeszcze kiedyś kwartet zagramy. Wiosna w tym roku okropna, wciąż zimno, chodzimy w futrach, a w mieszkaniach jak w psiarni, nawet grzać nie można. Tygodnie jednak mijają szybko jeden za drugim, a człek nawet nie spostrzega, że żyje w ciągłej trosce o sprawy elementarne. Ucieszyła mnie wiadomość, że praca Pana z fizyki została wydrukowana i jest w uniwersytecie wileńskim. Dobrze, że w tych ciężkich czasach zdołał Pan dorzucić własną cegiełkę do jedynie niezawodnego gmachu nauki. Ciekawym, czy Pan co otrzymał z naszych

kart, bo pisują do Pana i inni członkowie kwartetu. Przesyłam pozdrowienia i życzę dobrego zdrowia Wł. Krasieński.

Komentarz:

Pruszek, to zaprzyjaźniony warszawski świetny lutnik, Tato miał jego roboty skrzypce, poza starymi włoskimi, a ja „połówkę”, na której bez sukcesów ćwiczyłam do Taty aresztowania. Optymizm, że można było wziąć skrzypce wynika z ostrożnej cenzurowanej korespondencji pomiędzy okupowanym przez ZSSR Wilnem, a okupowana przez Niemców Warszawą. O aresztowaniu i wywózce pisało się jako o „wyjeździe wraz z kolegami z Kołotowa”, itp.

Natępna „zabytkowa” kartka od p. Antoniego Kmiecia, kolegi Taty z czasów grania w Operze. Był uchodźcą z Warszawy. Po Taty wywiezieniu douczał mnie na skrzypcach i usiłował mnie przepchnąć przez egzamin do szkoły muzycznej co było wobec mego antytalentu zadaniem ponad nie tylko jego, ale i wszystkich innych entuzjastów tego Maminego pomysłu, siły. To było, gdy mieszkaliśmy u pp Lewickich, a karta jest już z czasów Zaułka Leśnego. Karta jest z unikaniem słowa Pan, a może w orkiestrze koledzy mówili sobie „per wy”?

Jest adresowana przez Mamę, która wszystkim gościom wtykała takie karty z prośbą o pisanie.

Jest pisana 13.XII.1940 roku (Tatuś otrzymał ją 9.I.41). „Bardzo się cieszę, że nareszcie mam wiadomość o Was. Rodzina Wasza zdrowa no i proszę sobie wyobrazić jaka to była radość po otrzymaniu Waszego listu. Ja obecnie pracuję w nowo założonej Filharmonii. Pracy narazie dużo, ale to nic. Płacą, a to najważniejsze. Ściskam Was życząc wszystkiego, a przede wszystkim zdrowia. Antoni Kmieć.

List od Matki (Babci Mani- Marii Jabłońskiej) 9.V.41 (otrzymany 23.VI.41).

Synu Ukochany!

Pisała Wicia, że miała listy od Ciebie, że czujesz się stosunkowo nieźle. Żeby Cię Bóg Najwyższy zachował w dobrym zdrowiu do końca tej zawieruchy. Od Fela i Brunka w dalszym ciągu nic. Jurek dość często pisuje, przysyła swój żołd, a część Stefie (?), która wysyła mu paczki żywnościowe i nam czasami. Stamtąd łatwiej i taniej. U nas nic dostać nie można, chyba z pod poły za bajońskie sumy. O sobie niestety nic pomyślnego nie mogę donieść, piąty miesiąc w łóżku, o chodzeniu nie ma mowy i bóle okropne pomimo 37 lamp roent. wziętych w szpitalu Dzieciątka Jezus. Na Boga i słońce nadzieja. Wiosna okropna, chłody niebywałe. Piszę w łóżku. Całuję bardzo Matka.

(Syn Feliks, już leży w Katyniu, Brunon we flocie w Anglii, a jego żona Myszka utknęła we Francji. Jurek siedzi w Oflagu i jak zawsze dba o Matkę dzieląc między nią i swe spartańskie potrzeby groszowy żołd. Kim była Stefa aprowizująca Babcię i Stryja, nie wiem. Pewno jakaś osadzona na wsi kuzynka).

Dopisek od siostry Ireny:

Drogi Olu, serdecznie Cię całuję i pozdrawiam. Napisz koniecznie, co Ci wysłać, choć niewiele wolno z naprawdę pożytecznych rzeczy. Może coś się uda. Miałyśmy wiadomość o Tobie od Wici. Czy nic nie wiesz o Felu?

List Babci do Mamy (bez daty, ale wcześniejszy niż ten do Taty):

Droga Wituchno co za radość! Skorzystałam zaraz z adresu, ale gdzie, nie wiadomo. O F. i Br. nic nie wiem. List długi z świątecznymi życzeniami i opłatkiem wysłałyśmy. Taka przykrość, że pieniędzy ani z Warszawy ani z Oflagu nie chcą przyjąć. Pewnie cierpicie niedostatek, a my bezsilni pomóc nie możemy. Czuję się bardzo źle, ledwie łażę. Myślę po NR udać się na 10-12 dni do szpitala na diatermię. Irze bardzo ciężko poza swoimi interesami robić zakupy do domu. Cudowne grzybki Wasze będą odgrywały dominującą rolę w naszej wspaniałej wigilii. Nic dostać nie można. Całuję Was b. serdecznie, Bogu polecam kochającą M. Jabłońska.

A jak to wygląda w moim wspomnieniach? To jest okres litewsko-radziecki. Mama po Taty arestowaniu traci resztę energii. Wpierw gra okropne walczyki w jadłodajni będącej równocześnie komisem meblowym. Gdy wynika awantura, pianino jest złożone w komis, a nie do użytku (pamiętam wrzeszczącą upierścienioną damę i zgnębną milczącą Mamusię) traci tą pracę, za którą miałyśmy wszystkie trzy obiady i ogranicza się do sprzedaży naszego skromnego dobytku. Emilka już od dawna jest u p. Downarowiczówny, potem u jakichś Rosjan i tracimy z nią kontakt. Usiłują nam dokwaterować radzieckich wojskowych. Mama w popłochu wynosi się razem z nami sprzedając resztę mebli. Trwa przyjaźń z pp Lewickimi. Danusia, ich córka jest moją koleżanką ze szkoły, strajku i wylecenia po strajku ze szkoły. Mamusia i p. Lewicka preparują, jeszcze na naszym starym mieszkaniu „krówki”, które usiłują sprzedawać, ale to nie idzie. W czasie Mamusi nagłej choroby p. Lewicka jest naszą psychiczną ostoją. W wyniku tego kwaterunkowego popłochu pp Lewiccy proponują nam wniesienie się do ich mieszkania. Małe, bardzo starannie umeblowane pokoje w amfiladzie (salonik i sypialnia, czy też salonik, jadalnia i sypialnia), kuchnia i pokój jedyny niezależny, dawniej syna, który zdał na Warszawską Politechnikę i jest w tym wojennym czasie w

Warszawie. Pan Lewicki jest bardzo spokojnym i miłym człowiekiem. Jego żona jest spontaniczna, serdeczna i rządząca nim bez pardonu. Bardzo gospodarna i patriotyczna. W porywie serdeczności kwateruje nas, tj. trzy dziewczynki i Mamusię w sypialni (pamiętam małżeńskie łóżo, na którym spałyśmy we trzy, Danusia L., Hala i ja). Mamusia spała chyba na jakimś polowym łóżku, a pp Lewiccy w pokoju syna Leszka. Powstaje szkoła („radziecka”) z polskim językiem wykładowym, do której zdajemy jako eksternistki, my z Danką do VII klasy, Hala do IX. To opisałam w moich „kompletowych” wspomnieniach. Hala i Danusia L. są bardzo pobożne. Ja mam okropne trudności, ciągle skrupuły, że się źle spowiadam, „poprawiam” ciągle spowiedzi jestem przekonana, że źle to robię. A po drugie, konflikt pomiędzy, tym razem biologią z teorią ewolucji i religią w kościele zwalczającą czemuś Darwina. Do tego oblewam egzamin do szkoły muzycznej i czuję, że nie spełniam Mamy oczekiwań. Myślę, że tęsknię nie tylko do Tatusia ale i do prof. Małkowskiego, który wyjechał do Warszawy. Prof. Małkowski, człowiek niezwyklej delikatności i dobroci, miał do mnie cierpliwość, rozmawiał ze mną i traktował moje kłopoty z dorastaniem i tęsknotą za Ojcem poważnie. Źle znoszę skoszarowanie. Hala i Danusia przyjaźnią się, Hala jest łatwiejsza do przyjaźnienia się, bardziej towarzyska.. Dziewczynki gadają i śmieją się wieczorem leżąc na naszym wspólnym legowisku, potem trudno mi zasnąć, a nie chcę ich budzić, leżę i myślę. Nie są to myśli pogodne. Ciągle moja kariera Joanny d’Arc nie ruszyła z miejsca. Dodaję do pacierza najszczerzą prośbę „i daj mi umrzeć za ojczyzną”, jedyną szczerą, mimo wątpliwości w wierze, modlitwę. A tu nikt nie czyha na moje nędzne życie! Jestem przekonana, że nie nadaje się do niczego. W szkole uczę się średnio. Pod ławką czytam Żeromskiego, którym właśnie się entuzjazmuję i o dziwo Nowaczyńskiego („Fryderyk Wielki” mnie zachwyił, wypisałam w bibliotece Zana, inne jego książki i jako że tego nikt nie czytał obdzielano mnie Nowaczyńskim w obfitości). Czy to nie śmieszne, że w radzieckiej

szkole czytam utopijnego, z lekka socjalistycznego, „nawiedzonego” patriotycznie Żeromskiego na przemian z „Endekiem” Nowaczyńskim? Do tego są w tej lekturze elementy „niewłaściwe” dla „młodych panienek”. Jestem paskudnie sama pomimo, że znów w szkole. W szkole „walczę” z „panem od Konstytucji” (stalinowskiej). Zaczynają si wywózki. Irka Dębicka usiłuje mnie zwerbować do pozaszkolnego uczenia się „prawdziwej historii”. Mam pójść do domu do jednej z dziewczynek (Marysi Leśniakówny) i ją do tego też namówić. Jestem bardzo nieśmiała i nie nadaje się na konspiratora - agitatora. Wpierw zwlekam z wykonaniem tej patriotycznej misji, a potem, pamiętam, że paskudnie zdenerwowana chodzę po jakiejś uliczce z małymi domkami i usiłuję się dopytać o Marysię. A Marysię już wywieźli bardzo daleko. W ogóle moje usiłowania są wyraźnie niemrawe. Pamiętam jak z kolei (nie pomnę przez kogo zwerbowana) jestem z Izą Syczewską u księdza Hlebowicza . Jakies mądre patriotyczne gadki i raptem obie z Izą mówimy, że my już pójdziemy. Nie jestem pewna, czy to był koniec tego zebrania, czy też opuściłyśmy meritum sprawy. Może ta akcja „historyczna” miała jakiś związek z tym zebraniem i z ks. Hlebowiczem i? Ale obie te akcje działały się z pewnością już po naszym zamieszkaniu pod lasem „na Zakrecie”. Jak do tego doszło? Stosunki zaczęły byc męczące. Nie chcę wchodzić w szczegóły. Państwo Lewiccy w krytycznych momentach (choroba Mamy, popłoch tego dokwaterowania wojskowych) okazali nam wiele serca. Przy pomocy swej siostry Ani mieszkającej z córką i jej rodziną w okolicach lasu Zakretu Mamusia znalazła w letniaczku przy lesie mieszkancko. które było zajmowane przez bardzo starego, chorego i zdziwaczałego, ale miłego sędziego. Miał on takie dwa mieszkancko, sam ze swymi psami i dochodzącą służącą. Odstąpił nam jedno, pod warunkiem, że jego książki i czasopisma w nim zostaną.

Pamiętam wielkie biurko z zasuwaną osłoną z małych deseczek oraz stosy czasopism, między innymi „Chimery” z secesyjnymi obwolutami, które czytałam od czasu do czasu. Nie

miałyśmy mebli, coś tam udało się pożyczyć od Halinki (Mamy siostrzenicy, która była prawie jej rówieśnicą), bo jakieś meble stały w ich oficynie, w której kiedyś pomieszkiwała od czasu do czasu moja Babcia Luda, wędrująca na starość pomiędzy córkami, a w czasie wojny akurat rezydująca w Warszawie. Ale dla mnie jakoś tego nie starczyło i jakiś czas spałam na ławce wniesionej z werandy. Z tej werandy wchodziło się do dość dużego i ciemnego pokoju w którym był blaszany piec ogrzewający całe mieszkanie i drzwi do kuchni i do małego wesołego pokoiku z oknem na ogródek. Z kuchni było wyjście na drugą stronę domku, do ogródka. Do mieszkania należała jeszcze mała piwniczka. Cztery takie mieszkanie tworzyły cały baraczek. Dwa baraczki całość, ze wspólnym podwórkiem, zespołem „domków z serduszkami” zlokalizowanych na szczęście dość daleko od domków i studnią, taką „klasyczną” z korbą, koło której w zimie było okropnie ślizko i trzeba było uważać, żeby ani wiadra nie utopić, ani samu do niej nie wpaść. Pamiętam, jak potem, po akcji „Ostra Brama” i wejściu znów radzieckich wojsk z tej studni wyciągnęli nasi sąsiedzi wpierw cały szereg płaszczy niemieckich, a potem zwłoki jakiejś nieznannej kobiety, którą pochowano na pobliskim cmentarzu. No i cóż, wyczerpaliśmy wodę „do czysta” i studnię dalej używaliśmy. Ale tymczasem jeszcze jest pierwsza radziecka okupacja i zamieszkałyśmy pod Zakretem dzięki dobremu sercu sędziego. I to jest to mieszkanie, o którym Mama pisze, że wygodnie nie ma. Prawdę mówiąc miało pewne wady „techniczne”, przede wszystkim jako budowane na lotnisko nie dawało się w zimie dogrzeć, ale było nasze i byliśmy u siebie. I nikt nam kazań nie prawił. Mama miała często zapaści, traciła przytomność. Często leżała w łóżku. Wiedziałyśmy, że choruje na serce. Gdy wracałam do domu, a jej nie zastałam, zawsze ze ściśniętym sercem szukałam gdzie się podziała. Bałam się, że gdzieś upadła i leży nieprzytomna bez pomocy i opieki. Zwykle była u kogoś z sąsiadów lub u swej rodziny, to jest u siostry Ani. Był to taki rodzinny klan, córka coci Ani Halinka z mężem

Włodzimierzem, technikiem budowlanym, Rosjaninem, który jak zwykle „budowlaniec” nie stronił od butelki, ale był dobrym mężem i ojcem dwóch chłopców, z których starszy był moim rówieśnikiem, a młodszy był chyba z rok ode mnie młodszy. Przez jakiś czas stosunki pomiędzy Mamą i tym rodzinnym klanem były bardzo serdeczne. Ciocia Ania usiłowała nam pomagać jedzeniowo, Mamusia pomagała jej prowadzić gospodarstwo całego klanu. Czasem my byłyśmy angażowane do sprzątanía. Ciocia Ania była bardzo serdeczna, również i dla nas, ale finansowo była zależna od Włodzimierza, który jedynie pracował i dobrze zarabiał. Tę sytuację uważałam za niezgrabną, tym bardziej, że odbywały się tam przyjęcia, a Mamy nastroje oscylowały pomiędzy depresją, a rozbawieniem, którego bardziej się bałam niż depresji. Aż Włodzimierz coś powiedział o tej charytatywnej akcji Cioci Ani i stosunki uległy ochłodzeniu. Były to zresztą przez cały wileński czas takie oscylacje, zbliżenia i oddalenia. Swoją drogą skąd i dlaczego ja tyle wiedziałam o różnych sprawach rodzinnych, o których moja starsza siostra nie miała pojęcia? I w jaki sposób udawało mi się przed nikim nie zdradzić, że się orientuję w różnych sytuacjach dużo bardziej niż na to wyglądam? Chodziłam do szkoły radzieckiej, moje winy strajkowe zostały mi darowane, bo dotyczyły Litwy kapitalistycznej. Ta szkoła, to mimo rekordowej wprost biedy, marznącej w miednicy wody, jedzenia w kółko prażuchy (żytnia mąka gotowana na wodzie) i kartofli, to strzęp odzyskanego dzieciństwa. Moja siostra Hala buntuje się, gdy mówię o nędzy, przypomina że miałyśmy zawsze beczkę kiszonej kapusty, kartofle na zimę itp. luksusy. I że Mama robiła co mogła, żebyśmy nie były głodne. To prawda, sprzedawała resztki naszego już bardzo ubożego dobytku. Przegnałam raz Żyda handlarza, któremu usiłowała sprzedać Taty jesionkę. To nie chodziło o płaszcz, tylko o utratę nadziei na to, że mu ten płaszcz jeszcze będzie potrzebny. Żyd spytał: „od kiedy Pani mąż nie żyje?”. Nie wytrzymałam i krzyknęłam, że żyje. Chyba w to wierzyłam. Choć akurat nie miałyśmy wiadomości. Mama przełękała się

mojej histerycznej reakcji i jesionki nie sprzedała. Jesionka została na mnie przerobiona. Mama wytłumaczyła mi, że Tacie kupi się po wojnie nową. Było mi głupio i w pierwszym powojennym liście do Edynburga, doniosłam Tacie o tej jesionce i żeby sobie kupił nową. Na gwiazdkę przysłała do naszego mieszkanka Danka L. z życzeniami od siebie i od rodziców. Przyjęliśmy to życzliwie, ale dawne serdeczne stosunki z rodziną L. nie zostały odbudowane. Chodziłyśmy razem z Danusią do tej samej klasy, razem buntowałyśmy się przeciw obiadom (gdy powiedziano, że są tylko dla tych dla których to jest jedyny posiłek). Mnie jednak na te obiady dzięki interwencji p. Turkowskiej nasz wychowawca wysłał niemal przemocą. W stołówce działali pionierzy, w czerwonych krawatach, z reguły Żydzi. W każdy piątek ostentacyjnie odsyłałyśmy do kuchni porcje mięsa (w inne dni były ryby). Ta ideologiczno-gastronomiczna wojna była tak zażarta, że gdy Iza spytała, czy może wziąć mięso dla pieska, który zrobił się stuprocentowym jaroszem, z oburzeniem to jej odradziłyśmy. Nie chodziło o post, chodziło o demonstrację. W szkole, jak w szkole. Nie przykładałam się zbytnio do nauki, ale jakoś to szło. Klóciłam się zażarcie z „panem od konstytucji” (stalinowskiej), też dla zasady, bo przecież nikt w nią nie wierzył. Pamiętam jakoś kiepsko napisaną klasówkę z matematyki, kiepsko z lenistwa, bo czytałam zamiast się uczyć. Stoję przy oknie (otwartym) a pan od matematyki (p. Wasilewski) mnie pociesza. Obłudnie narzekam, że mi teraz tak źle idzie nauka i widzę niezasłużone współczucie: biedne dziecko, ojciec na wojnie, matka chora. „Tę piosenkę” eksplatawałam potem bez skrpułów sprzedając gazety. Aż raz podszedł do mnie pan Wasilewski i próbował mi wetknąć jakieś pieniądze, tłumacząc, że zostały z likwidacji szkoły. Wiedziałam, że to niemożliwe i że on sam chce mi pomóc. Wstyd mi było mego zebractwa. Nie wzięłam forsy i jak Piotr gorzko płakałam... gdy odszedł. Jestem pewna, że w tym czasie zarabiał mniej niż ja. Ale to było potem „za Niemca”. Tymczasem studiowałam w tej siódmej klasie i uzyskałam promocję do ósmej. Strasznie wywozili.

Byliśmy pewne, że i nas lada moment wywiozą. Byliśmy „adbiegajcie” (uchodźcy) wg kategorii obywateli i do tego Ojciec był w obozie. Pamiętam jak raz podjechała ciężarówka, taka od zabierania na wywózkę, a my miałyśmy bieliznę na strychu. Mama kazała zebrać moką, w pośpiechu pakowałyśmy te mokre szmaty, ale wzięli sąsiadów. Rozwiesiliśmy z powrotem. Mama była w fatalnej formie, również dlatego, że ją wzywano do NKWD i wypytywano o tatę. A że listy chodziły nieregularnie, myślała, że uciekł i że go szukają. Kiedyś przyszedł taki jeden do domu i wypytywał „czyje to buty, gdzie mąż”, a to były te kołotowskie (wojskowe) buty, których jeszcze nie udało się wysłać. Przyjechała cioteczna siostra Taty, Ciocia Janka. Mieszkała z rodziną w Święcianach. Zobaczyła co u nas słyhać i zdecydowała, że mnie weźmie na odkarmienie na wakacje. Pojechałam więc z Ciocią, której prawie nie znałam. Ciocia skończyła SGGW, uczyła w szkole rolniczej, jej mąż polonista był wdowcem, miał dwóch synów, z których tylko jeden Tadzik był w domu. Po paru dniach przyjechała mama i przywiozła Halę. Wujostwo zyczliwie przyjęli to nadspodziewane powiększenie obsady. Trochę było kłopotów gdzie nas zakwaterować, wujek był za kącikiem pod schodami, ale ciocia się popłakała, że córeczki Ola mają mieszkać pod schodami, więc wylądowałyśmy na strychu gdzie kwaterował też Tadzik. Zadziwiła mnie obfitość jedzenia: kury dawały jajka, a ogród, owoce i jarzyny. W ogóle było świetnie, bo było też dużo książek do czytania. Wujek patrzył zyczliwie na moje czytomaństwo. Pamiętam, że był komplet popularno naukowej serii, z której już w domu dużo książek czytałam. Próbowałam być pomocna w domu, ale nie byłam zręczna w domowych pracach. Wykazałam się dopiero, kiedy wybuchła wojna (niemiecko-radziecka) i gdy wysłano mnie w kolejki (po sól itp.). Niestety kiedyś zemdlałam i jakaś baba zaczęła na mnie pluć wodą, żeby mnie otrzeźwić. To mnie nieco zniechęciło, tym bardziej, że historia znów przyspieszyła „Ruscy” uciekli i byliśmy na ziemi niczyjej, rozbito gorzelnie, cały prawie świat wokół był pijany (wujostwo

nie). Wujostwo byli bardzo dobrzy. Pamiętam, że wujek pozwolił mnie (jeszcze przed tą następną wojną) pływać w cebrzyku po sadzawce. Strasznie jeszcze byłam dziecinna, gdy mi tylko los na chwilę na to pozwalał. Potem sypialiśmy w piwnicy, żeby się nam nic nie stało. Aż wreszcie weszli Niemcy i tak szli i szli, aż wody w studni zabrakło. Tadzik mówił trochę po niemiecku i konferował z Niemcami. Przyznał się do babki Niemki, a oni zaraz pytali, czy może i dziadek był Niemcem, to by mógł... Byłam przerażona. Na szczęście dziadek Tadzika był Polakiem. Ludzie opowiadali, że całe Wilno spalone. Postanowiłam iść szukać Mamy. Spakowałam plecak, rzuciłam go w krzaki w ogrodzie, ale na szczęście ze względu na te wspólne strychowe mieszkanie musiałam wtajemniczyć Halę. A ona wygadała cioci. Wyobrażam sobie jak by wyglądało wędrowanie brzegiem szos wśród pijanych tubylców, nieżyczliwych Litwinów, no i wojsk niemieckich. Dość, że ciocia poradziła nam otrzymanie przepustki, na powrót do domu.

OKUPACJA NIEMIECKA

Poszliśmy z Halą po tę przepustkę ze Święcian do Wilna, do jakiegoś komendanta Niemca. Pomimo wojny i bolesnej klęski 39 roku nie czułam nienawiści do Niemców. To Litwini aresztowali Tatusia, a Rosjanie go wywieźli. To oni na zmianę byli okupantami i prześladowcami w tej części Polski. Że to była Polska nie miałam żadnych wątpliwości, mury gdzie bywali i Mickiewicz i Słowacki i tylu innych ważnych Polaków. Właściwie nie nienawidziłam nikogo. Ale na Litwinów i na Bolszewików byłam zła. Niemców, o których kulturze tyle Tatus opowiadał, byłam raczej ciekawa. Ten pierwszy spotkany w czasie wojny Niemiec był poczciwym grubasem. Ciocia Janka posłała nas same, miałyśmy mówić, że byłyśmy na wakacjach, a teraz musimy wrócić do matki. Ktoś tłumaczył te nasze racje (w szkole miałyśmy francuski, rosyjski i litewski, o niemieckim w tym czasie nie miałyśmy pojęcia). Obie wyglądałyśmy na mniej lat niż miałyśmy naprawdę, ale ja najwyżej na 10-11, bo byłam niska, nędzna i do tego miałam gąpciwatą fizjonomię. Hala syknęła „płacz”, zaczęłam obłudnie chlipać, Niemiec rozczulił się zupełnie, tłumaczył na migi, że pojedę zaraz do mamy. I dał przepustkę. Teraz już legalnie, to jest z wiedzą wujostwa i komendantury zabrałyśmy nasze plecaki i ruszyłyśmy w drogę. W wąskotorówce, którą musiałyśmy dojechać do „prawdziwej” kolei wszyscy byli pijani (oprócz nas). Pomędzy dwoma wagonikami leżał jakiś mężczyzna, zamknęłam oczy, żeby nie widzieć jak wpadnie pod koła. Ale jak wiadomo, pijanym szczęście sprzyja. Nie pamiętam jak przebiegła przesiadka, pamiętam, że jechałyśmy dalej tak zwanym bydłęcym wagonem, że już się zciemniło, i że w czasie tej perygrynacji zawarłyśmy sojusz z rodziną Karaimów. Oni nam tłumaczyli, że ich nie obejmują ustawy norymberskie. Byli to prości ludzie, ale chyba rozsądnie usiłowali dojechać do Wilna i nawiązać kontakt z innymi współwyznawcami. Ciągłe nie wiedziałam jak ryzykowne jest bratanie się z semitami, tym bardziej gdy się jest ciemnowłosą dziewczynką.

Większość wagonu była zajęta przez oddział litewskich żołnierzy, teraz wiem, że byli to nacjonaści litewscy, sojusznicy Niemców. Te subtelne różnice, Litwin sojusznik Rosjan, czy sojusznik Niemców trudne były dla nas do uchwycenia, bo obie odmiany Litwinów były antypolskie i do tego zależnie od czasu ulegały transformacji z typu N do R lub odwrotnie. Ale większość Litwinów była w głębi duszy nacjonalistami i szowinistami. Trzeba przyznać, że potem gdy powstała znów LSSR wielu Litwinów dzielnie się temu opierało, dzięki czemu zwiedzili historyczne dla nas syberyjskie i kazachstańskie okolice. Tymczasem Litwini siedzieli w otwartych drzwiach wagonu i śpiewali. Chciałam wyjrzeć gdzie jedziemy, podeszłam do drzwi, Karaimi sprytnie siedzieli w ciemnym kącie, Hala z nimi. Ale chyba żołnierze ich przed tym zauważyli i mnie wzięli za ich dziecko, albo poprostu wydałam im się semickim typem, dość że zdecydowali, że aby poprawić czystość rasową podróżnych należy mnie wyrzucić z wagonu. Mówili o tym po litewsku, stwierdzając, że jestem Żydówką. Nie pamiętam, żebym się przestraszyła, wydało mi się to zupełnie nieprawdopodobne, żeby naprawdę chcieli mnie zabić, zaczęłam tłumaczyć, że nie jestem Żydówką, mój litewski był bardzo słaby, żeby sobie pomóc pokazałam im moją szkolną legitymację, nie wiem co z niej mogło wyniknąć pozytywnego, a gdy to nie pomogło wyciągnęłam z kąta Halę. Dziś myślę z zawstydzeniem o mojej głupocie, bo Hala ma piękne czarne oczy mamy, ale na szczęście ma również kościuszkowski nos odziedziczony po Babci Mani (nie wiem czy to Bilińscy, czy Bobrowscy mieli takie nosy, ale dzięki im za to). Bo gdy przy pomocy Hali legitymacji udowodniłam nasze pokrewieństwo żołnierze zaczęli się śmiać. Trochę to była reakcja podpitych facetów, którzy za długo już skupili uwagę na jednym ciemnowłosym pętaku. Zabrałam Halę i siedziałyśmy do końca podróży jak trusie w najciemniejszym kącie. W Wilnie była oczywiście godzina policyjna. Dworzec był pełen ludzi, nikt nie mógł wyjść. Postanowiłyśmy spać po kolei. Pamiętam, że nie udało się nam znaleźć miejsca pod ścianą,

więc na naszych plecaczkach skuliłyśmy się na podłodze. Dzień podróży był długi i pełen wrażeń. W czasie mego dyżuru zasnęłam i ukradziono nam plecak, ten ważniejszy, ze swetrami i butami (byłyśmy w sandałkach, bo było ciepło). Hala całkiem słusznie mnie objechała za gapiostwo i powędrowałyśmy piechotą na Zakret. Jeszcze nie wiedziałam, że niedługo będzie to moja codzienna droga do pracy i z pracy. Tymczasem wydawało się nam strasznie daleko, tym bardziej, że wlokłyśmy resztę nieskradzonego dobytku. Usiłowałam wyjaśnić Hali, że dzięki mnie mamy lżej, ale nie uznała mi tej zasługi. Mama o dziwo nie robiła mi wyrzutów, była bardzo wzruszona żeśmy dotarły do domu. Mamusia wytłumaczyła nam czemu nas obie wysłała, była pewna, że jesteśmy na liście na wywiezienie i miała nadzieję, że w ten sposób uchroni nas od wywózki. Dlatego nas tak zaopatrzyła w te ciepłości, żebyśmy miały coś na zimę. Sytuacja była nowa i nie bardzo wiedziałyśmy jaka. O przygodzie z Litwinami nie opowiedziałam. Hala też nie bardzo rozumiała sedno rzeczy, myślała, że poprostu nas legitymowali z tej przepustki. Gdy w wiele lat później przyznałam się jej na jakie ryzyko ją naraziłam, nie miała do mnie pretensji (zupełnie wyjątkowo, zwykle była krytyczna). A tu naprawdę zawiniłam, naraziłam Mamusię na utratę nas obu naraz. Co prawda naprawdę jeszcze nie bardzo rozumiałam, że za ciemne włosy można kogoś zamordować, tak poprostu dla zasady. Trzeba było jakoś zorientować się w tej nowej okupacji. Zmora przepytywania przez NKWD napewno się skończyła, ale wojna trwała. Polskiej szkoły nie było. Były za to komplety. No i brak środków do życia. Co prawda, pan Szczepan (prof. Szczeniowski) przynosił jakieś pieniądze, które pochodziły ponoć z mitycznej Anglii, gdzie był nasz rząd i skąd nadawali polskie audycje BBC. Radio miał tylko Włodzimierz, mąż Mamy siostrzenicy - rówieśnicy, miał je legalnie jako „biały Rosjanin” pracujący jako przedsiębiorca budowlany dla Niemców. U tych Mamy krewnych mieszkał teraz prof. Szczeniowski, zbieraliśmy się tam, żeby słuchać radia, ale oprócz hymnu, na który

wszyscy stawaliśmy na baczność, tak zagłuszali, że mało co można było ułyszeć z polskich audycji. Wobec tego poligłoci nadśłuchiwali audycji po angielsku i tłumaczyli nam profanom. W antraktach, gdy głos niknął, prowadziliśmy polityczne dyskusje. Nic z tego nie pamiętam, ale Janusz Downarowicz twierdzi, że był pełen podziwu, że jako tak młoda dziewczynka tak zajadle dyskutowałam z panami profesorami. Coś mi się zdaje, że zaprawiłam się do tych dyskusji w czasie... lekcji konstytucji w radzieckiej szkole. Przecież w dzieciństwie byłam bardzo nieśmiała. Te pieniądze, które przynosił Mamie prof. Szczeniowski były bardzo, bardzo małe, bo rodziny dostawały mniej niż by dostawał sam uczony, obecny w domu. Teraz rozumiem tę ekonomię ratowania mózgow narodu, ale wtedy mnie dziwiło, że Taty nie ma, bo się bił za Polskę i siedzi gdzieś w obozie, czy też znów się bije, Mama jest chora, a my ciągle byśmy jadły, gdyby było co, a więcej pieniędzy dostają ludzie będący w lepszej sytuacji. Np. gdy mężczyzna dorosły i zdrowy jest w domu i jakoś pewno łatwiej mu zarobić. Sprzedawać już nie było co. Mamusia znała niemiecki, nie tylko z pensji „dla szlachetnie urodzonych dziewczic”, z której podkpiwał sobie Tato, ale i z pobytu w Dreźnie, gdzie mieszkając u swej siostry cioci Niusi uczyła się tańca, rytmiki i sama nie wiem czego jeszcze. Kiedy to było? Napewno po pierwszej światowej wojnie, bo przed tym mąż Cioci Niusi był dyrektorem (czy też właścicielem?) szkoły muzycznej w Charkowie, do której uczęszczał również mój Tato i gdzie się pierwszy raz spotkał z Mamą. Mama była wtedy akurat po skończeniu pensji i bawiła się lalkami z młodszymi dziećmi swych sioóstr i od czasu do czasu akompaniowała uczniom-skrzypkom (np. Tacie) na fortepianie. Tato opowiadał, że już wtedy uważał, że jest bardzo piękna, choć myślał, że jest od niego dużo młodsza (naprawdę była o dwa lata starsza, co zawsze starannie ukrywała). Dość, że Mama postanowiła wykorzystać swą znajomość niemieckiego. Stasiak, Mamy siostrzeniec miał żonę Tolę, która pracowała w kantynie dla kolejarzy Niemców i tam Mamę zaprotegowała. Hala pracowała w tym czasie na

omentarzu żołnierzy niemieckich, sadząc kwiaty. Pracowało tam więcej dziewcząt, bo była to praca zwalnająca od wywiezienia na roboty do Niemiec. Z początku kombinowało się jakieś sztuczne jaglice (przy pomocy dr Horodniczyny, żony Taty współpracownika i Hala opiekowała się dziewczynkami pp Horodniczych) ,ale potem trzeba było znaleźć jakąś „chroniącą” pracę.. Z tej pracy Mamy w kantynie jakoś nic nie wyszło, nie wiem czemu. Czy znajomość niemieckiego była za słaba, czy zdrowie nie dopisywało, nie wiem. Dość, że to się urwało. A może oczy Mamusi były za czarne? Bo włosy jej mocno posiwiały, więc nie mogły stanowić zawady. Bardzo źle znosiłam pobyt w domu, przerywany lekcjami kompletowymi. Miałam wiele rzeczy robić w domu, a nic prawie nie robiłam. Zaczęły przychodzić paczuszki z Portugalii (sardynki, rodzynki, herbata). Mama to sprzedawała na potrzebniejsze produkty: mąkę, ziemniaki i kapustę. Te paczuszki mogły być od Taty, albo od stryja Brunka, albo Bóg raczy wiedzieć od kogo. Gdy nie było nikogo w domu oglądałam starannie pudełeczka, może jakiś znak? Może monogram? Wiedziałam, że to nonsens, ale prowadziłam te „badania” wprost maniakalnie. Poza tym trochę sprzątałam, wykupywałam przydział chleba (był to kleisty czarny chleb, odważano go dokładnie, taki nieduży nie cały bocheneczek na tydzień). Byłam wstrętnym łakomczuchem, te okrawki żułam wracając do domu, ale nie połykałam, bo za takim przerzutym chlebem przepadał nasz kot Jon (uczona moja siostra tak go nzwiała, bo był delikatnie mówiąc wedrownikiem, czyli poprostu włóczęgą). Ten kot., przyniesiony przez mego siostrzeńca-rówieśnika syna Halinki, jadł najwięcej z nas mięsa, bo myszy był u nas dostatek, ale jako za smakołykiem przepadał za takim chlebem (a może jadł go tylko przez uprzejmość? złowione myszy zawsze mi proponował do podziąłu). Te bierne, samotne życie przerywane było lekcjami. W komplecie było nas czworo: Danka Lewicka, dwóch chłopców, Zygmunt Przyłuski - potem znikł, bo poszedł do lasu, a następnie „wylądował” u Berlinga i nie bardzo wiem co się z nim dalej

działo. Jego brat studiował potem prawo, po wojnie na UMK i stąd wiem, że przyżył. Był jeszcze jakiś chłopiec, którego zupełnie nie pamiętam. W ogóle z tego okresu mam jakąś pustkę w pamięci i chaos. Polskiego uczyła nas p. Halina Kukowicz. Była miła i bezpośrednia. Przerabialiśmy „Wesele”, niezwykle dokładnie. Pamiętam, że gdy chłopcy znikli, stwierdziła, że może to i lepiej, że będziemy mniej skrupowane. Byłam zdziwiona, nie czułam się skrupowana obecnością kolegów, jeszcze ciągle nie uważałam, ani ich za mężczyzn ani siebie za kobietę. Tę panią tak dokładnie zapomniałam, że to ona mnie „odkryła” po wojnie. W wiele lat po wyjeździe z Torunia dowiedziałam się, że jest schorowaną emerytowaną nauczycielką, która... mnie pamięta. Okropny wstyd. To uczniowie powinny pamiętać nauczycieli, a nie „vice versa”. Odwiedziłam ją, pisała przy pomocy mojej koleżanki ze studiów (również swej uczennicy, lecz wierniejszej!) wspomnienia z kompletów. Myślę, że inne przedmioty też się odbywały, ale nie wiele z tego zapamiętałam. Nasza sytuacja finansowa, była coraz marniejsza. Sąsiadka z przeciwka, p. Teresa sprzedawała gazety. Jej siostra, czy kuzynka, bodaj sekretarz USB też się tym parała. P. Teresa (Niekrasz) zaproponowała, że mnie wprowadzi do ekskluzywnego towarzystwa gazeciarzy. Postanowiłam roznosić gazety po domach znajomym. Był to pomysł obłądnie niepraktyczny. Znajomi nie mieszkali w tym samym domu, należało dużo przebiec, a mało się zarabiało. Mama uszyła mi płócienną torbę, prof. Małkowski pożyczył skórzaną (na pieniądze) i poszłam po raz pierwszy ciemnym rankiem pod opieką p. Teresy, bodaj na ulicę Wielką, gdzie był kolportaż gadzinówki „Goniec Codzienny”. Pamiętam ciemne podwórze, obdartych chłopaków ćmiących niedopałki i rzucających złośliwe uwagi pod moim adresem (jak to zniknę, gdy mrozi przycisnie).

Chwilowo było ciepło. Wzięłam małą porcję gazet i ruszyłam w drogę wg spisu moich klientów. Byli różni, płacili lub nie, byli w domu lub nie, ale naogół byli życzliwi. Z miłych,

pamiętam ojca mego późniejszego kolegi Andrzeja Hrynkiewicza i jakąś staruszkę w suterenie. Inni byli pewno „w normie”, bo raczej pamiętam zadyszkę biegu po schodach niż ich. Jedyne bolesny wyjątek to Taty przyjaciel „Heniczka” (prof. Niewodniczański). Nigdy nie omieszkał złośliwie zauważyć, że: „chłopcy już dawno wołali”, czasem dodając, że już u nich gazetę kupił. Gdy mu proponowałam, żeby już ode mnie nie brał, robił mi łaskę i kupował. Biegłam do pp N., opuszczając innych klientów (do których musiałam wrócić potem), ale nic nie pomagało, chłopcy byli pierwsi. Dystrybucja miała swoją uświęconą procedurę, codziennie dystrybutor wołał wprawdzie „niehumanne stworzenia” tj. dwóch doświadczonych przedwojennych gazeciarzy pp Barana i Kozioła, potem według uświęconego rytuału dostawali inni chłopcy, dużo przede mną, a ja na szarym końcu. Potem bieg Sierakowskiego pod górkę bez tchu, informacja „o wołających chłopcach”, klęska totalna (ból brzucha, siedzenie w „rogalikowatej”, zwiniętej postaci na chodniku), i dalszy już spokojniejszy kurs. To pasmo udreki przerwał gazeciarski Baran. Okazał się bardzo ludzkim stworzeniem. Widząc moje beznadziejne wyścigi udzielił mi życzliwej rady „Czego tak ganiasz mała, chłopaków nie przegonisz”. Gdy mu opowiedziałam ogólnikowo o kapryśnych klientach pomruczał życzliwie (pod moim nie ich adresem) i opowiedział jak to sam proboszcz od św. Jana prosił go, żeby mu gazetę nosił, a on mu (ponoć) odpowiedział, że „tak samo daleko ks. proboszczowi do Barana, co Baranowi do ks. proboszcza”, no i ksiądz sam przychodzi po gazetę. Nie wiem czy to była przypowieść, legenda, czy też prawda historyczna, ale postanowiłam iść w ślady Barana. Zanim odmówiłam klientom wzięłam na próbę większą ilość gazet i po rozniesieniu postanowiłam spróbować je sprzedać. Pamiętam jak na pustej ulicy na próbę ze ściśniętego gardła zawołałam „Goniec Codzienny” i gdy już zwątpiłam, jakiś pan kupił gazetę. Z radością, jak młody psiak, biegłam wołając, ale sukcesy były umiarkowane. Pomalutku nauczyłam się sprzedawać, znałam godziny ruchu i godziny

„martwe”, wiedziałam, że lepiej stać w jednym miejscu, niż biegać niosąc ciężką torbę i męcząc się bez sensu. Musiałam przeżyć jeszcze kilka burz, zanim zostałam zaakceptowana. Wybrałam sobie świetne miejsce przy kościele św. Katarzyny (o parę kroków od mojej ostatniej szkoły) naprzeciwko „Arbeitsamtu”. Był tam dawny kiosk, na ladzie którego rozłożyłam swój kramik. Miejsce było świetne, ale psułam interesy sąsiadom. Starszy pan z sąsiedniej ulicy usiłował mnie wykurzyć, ale obroniła mnie moja wielka przyjaciółka Każdajlewiczowa (tak wymiawiano jej nazwisko). Była to stara kobieta w naciągniętym na czoło berecie, która się mną bezinteresownie opiekowała. Miała ponoć córkę, która zachorowała „na nerwy”, nie pamiętam całej historii, ale jej litość dla mnie była z pewnością związana z tym utraconym dzieckiem. I z olbrzymią dobrocią, jaką spotkać można było tylko wśród prostych wileńskich ludzi. Coraz mi było lepiej na ulicy. Zgadzałam się z moim małym przyjacielem, prawdziwym gazeciarem, że w domu jest strasznie smutno, a na ulicy wesoło. Z tą wesołością, to było różnie, raz przyszedł i mi powiedział, że Niemcy powiesili zakładników. Proponował żebyśmy pobiegli zobaczyć. Na drugi raz zaprotegował mnie do sklepu „dla Litwinów” gdzie sprzedawali ryby. Pouczył jak po litewsku trzeba poprosić o rybę i zaproponował, że potrzyma moją torbę, bo nikt nie uwierzy, że litewskie dziecko sprzedaje gazety. Zaryzykowałam, lepiej stracić utarg niż przyjaciela. I wyszłam z próby bez szwanku z rybą, przyjacielem i utargiem. Dużo się nauczyłam od tego chłopaczka, który pierwszy raz miał szansę najeść się czekolady „gdy panowie studenci rozbijali żydowskie sklepy”, ale chybił i złapał pazernie największą atrapę. Za to lepiej wspominał chłopca, któremu się jabłka z wozu wysypały. W stosunku do mnie był wzorem uczciwości, gdy siedział na pogawędkę, a ktoś chciał kupić od niego gazetę, odmawiał „tu koleżanka sprzedaje”. Na ulicy było ciekawie. Tylu ludzi szło, można było zgadywać kto jest kim. Szybko nauczyłam się odróżnić litewskich urzędników od Polaków. Bezbłędnie startowałam z moim litewskim

repertuarem i dostawałam napiwki (z litewskiego patriotyzmu, bo dzieciak widać litewski, trzeba wspomóc). Z tym dzieciakiem to była też lipa, miałam 15 lat, ale wyglądałam ponoć na 9-10. Do Polaków trafiała ckliwa, o dziwo prawdziwa historia :„Tatus na wojnie, Mamusia chora.”. Zupelnie straciłam honor i zebrałam, jak mogłam. Już nie było płaczu upokorzenia, że mi nie wzięli reszty. ,bo te reszty to było „gros”moich dochodów. Troszkę bawiłam się w andersenowską dziewczynkę z zapawkami, szczególnie gdy mi się tak we łbie kręciło, że „Arbeitsamt” i św. Katarzyna niemal zmieniały się miejscami. Z domu miałam chleb, gdy już było bardzo głodno, lub zimno wędrowałam do cukierni Sztrala (którego? było kilka takich cukierni, ten był blisko). Tam kelner pytał „herbatkę, jak zawsze?”, siadałam i wypijałam całą szklanę. Panowie, prawdziwi, tacy przedwojenni, siedzieli, gadali, czasem chcieli kupić gazetę, ale tam sprzedawała niemowa - staruszka, więc ja nie. Ta lojalność miała kiepską stronę, uśliniona staruszka gładziła mnie w podzięce „po buzi”. Okropnie się brzydziłam. Do domu było daleko. Pomiędzy porannymi gazetami, a popołudniowymi był martwy czas. Nikt nic nie kupował. Potem wracający z biur kupowali i poranne i tygodniki. Popołudniową porcję litewskich i niemieckich gazet brało się z Placu Napoleona. Lubiłam ten plac. Szłam trochę wcześniej. Siadałam na oknie i patrzyłam na plac, leniwie słuchając flirtów spedytora i jakiejś panienki. Męsko-damskie sprawy ciągle mnie nie interesowały. Chciałam przecież zostać Joanną, albo Emilią, obie dziewice, bohaterki toteż wg moich ówczesnych poglądów brak zainteresowania „głupstwami” był atrybutem koniecznym dla narodowej bohaterskiej kariery , która niestety ciągle się nierealizowała pomimo codziennej pokornej prośby nastoletniego niedowiarka „i daj mi śmierć za ojczyznę”. Tak, nie „życie dla”, ale „śmierć za”. Patrząc na plac, po którym „za Ruska” chodziłyśmy ze szkołą w kółko i nie chciałyśmy krzyzczeć: „niech żyje Stalin”, myślałam jak szybko toczy się historia. Już trzeci okupant, a tu końca nie widać. Raz tak dumając zobaczyłam pod kolumną pałacu rozkładający się już

zezwołk kotka. Wydało mi się to czemuś istotne i postanowiłam zapamiętać. Tylko co? Pamiętam tylko kociego trupka i nic z moich „głębokich” rozważań. Pamiętam natomiast wizyty w katedrze, w kaplicy św. Kazimierza, gdzie chowałam twarz w ręce i zamiast się modlić płakałam. Bo mi było tęskno do Taty, bo bałam się, że Mama umrze, bo sytuacja przerastała moją niedojrzałość. Za to w domu wcale nie byłam miła. Pamiętam jak raz Mama mnie zastępowała i sprzedała za bezcen „makarony” (nie sprzedane gazety). Była to strata, bo można było je zwrócić bez straty spedytorowi. Tylko ambitni „chłopcy”, którzy pracowali dla fasonu i na papierosy, palili „makarony”, to był taki gest. Pamiętam, że zrobiłam Mamie bardzo nieprzyjemne wymówki: „marzną cały dzień...” i to przy prof. Małkowskim, który właśnie przyjechał z Warszawy. I przywiózł wiadomość o śmierci Babci Mani. Był za delikatny, powiedział, że nie zastał nikogo w domu na Grzybowskiej. Jakoś nie zrozumiałam, że to znaczy, że... Ciocia Ira i Andrzej wyszli, a Babci nie ma. Jak zrozumiałam, poczułam się potworem. Bo wcale się nie rozplakałam. Było mi przykro, Hala płakała jak należy, nawet pobiegła z tym zmartwieniem do zaprzyjaźnionego księdza, a ja... nic. No cóż, nie wiedziałam czy Tato żyje, Mama była poważnie chora i co jakiś czas traciła przytomność, podobno „angina pectoris”. Bałam się, że Mama umrze. Przy tym wszystkim śmierć Babci, której nie widziałam od przeszło dwóch lat, i która wydawała mi się stara (była młodsza niż ja obecnie!).nie wstrząsnęła mną. Pamiętam jak idąc w dzieciństwie z wizytą do Babci, na schodach bałam się, że jak dojdę na górę, to się okaże, że Babcia nie żyje. Oddychałam z ulgą, gdy Hala z piskiem radości wieszła się Babci na szyi, a ja stałam niema, po emocji, zupełnie głupiej, bo przecież gdyby się coś stało, to by rodzice wiedzieli. Bo to było w dziwnych przedwojennych czasach kiedy działały telefony, jeździły taksówki i miało się służące. A teraz gdy to, czego się tak okropnie bałam, już się stało, jestem spokojna. Było mi przykro. Jeszcze przykrzej mi było po wielu latach, gdy wspomniałam, że nieco później, obie z Halą

jednakowo ,zupełnie obojętnie ,przyjęłyśmy wiadomość o śmierci Babci Ludy - Mamy Matki. Mama musiała się czuć ogromnie samotna w swej żałobie. Babcia Luda mieszkała u nas przez czas jakiś w Warszawie. Nie miałyśmy z nią dobrego kontaktu. Była dość sklerotyczna, poznałyśmy ją, gdy już była stara i wyobcowana z życia. To co mówiła lub robiła wydawało się nam ogromnie dziwaczne. Do tego narzekała, że hałasujemy. Mieszkanie było nie duże, a Babcia jeszcze je zagęszczała. Dziś, gdy o niej myślę, jest mi jej strasznie żal. Tato szlachetnie znosił utratę służbówki, w której miał zwykle swój matecznik (jak niedźwiedź!), Helenka niechętnie wdawała się ze staruszką w konwersację, bojąc się utraty pozycji (zastępczyni Mamy, w drobnych domowych sprawach), a z kucharką Emilką, z kolei Babcia nie chciała się przyjaźnić. Toteż wiadomość o jej śmierci przyjęłyśmy obie obojętnie. Biedna Mama, potem, gdy już po wojnie, kolejno umierały jej starsze siostry, też nie okazywaliśmy jej ani my, ani Tato żadnego współczucia. Jakoś tak było, że wszystko co było Tatowe, było w domu ważne, jego sprawy, jego rodzeństwo, jego matka. Mama nie miała takich przywilejów. Ale tymczasem jest wojna. Obie Babcie umarły w warunkach niemal komfortowych, Babcia Mania w szpitalu, otoczona opieką Cioci Iry i kuzynek Taty. Ciocia opowiadała, że schowała na pamiątkę dla braci jasieczek, na którym Babcia umierała, ale spalił się jak wszystko. Cała rodzina, oprócz tych co byli „na wojnie”, to jest czterech synów, odwiedzała Babcię w szpitalu. Umarła, nie wiedząc o katyńskiej śmierci ukochanego pierworodnego syna, umarła otoczona serdecznością. Ciocia Ira po wojnie mówiła, że w czasie powstania dziękowała Bogu za śmierć Babci, właśnie taką, godną, otoczoną serdeczną opieką. A nie w powstaniowej poniewierce. Ale wróćmy do Wilna, gdzie sprzedają gazety, trochę się uczę, a w wolnych chwilach wciąż dziecinnie oglądam (przez lupę!) przychodzące z Portugalii od czasu do czasu pudełka sardynek, w beznadziejnej nadziei, że może będzie na nich jakiś znak, np. AJ, dowód, że to od Taty. Choć wiem, że to Czerwony Krzyż, że to ktoś

pakował i ofiarodawca (Tatusź lub któryś ze stryjów) nie mieli tych puszek w ręku. Potem, pomału zaczęły dochodzić jakieś wieści, że Tatusź żyje. Pan Władysław Krasieński prosił, aby pisać do jakiegoś pana w Szwecji zaznaczając, że to dla pani Oli. Ale to było duzo później. Gdy Tato był już w Szkocji. A żeby tam się dostać musiał przejść jeszcze wiele ryzykownych przygód i objechać Ziemię niemal naokoło.

KONIEC GAZECIARSTWA. BUDOWA I KANTYNA.

Sprzedawanie gazet było troszkę zabawą, troszkę aktorstwem, ale co gorsze również żebractwem. Stawało się nałogiem i ambicją. Żeby więcej sprzedać, żeby dłużej być na ulicy, a nie w domu. Przyjaźnie z gazeciarami to złudzenie, że poznają nowy świat: prawdę o Polsce, w której były dzieci znające smak jedynie kradzionych owoców i słodocy. Chodziłam na komplety, ale bez przekonania. Było mi na ulicy duzo lepiej, niż gdy przed tem siedziałam sama w zimnym i pustym domu. Profesjonalny uśmiech: „Tatusź na wojnie, Mamusia chora”, albo zgrabne litewskie zdanko. Bezbłędnie odróżniałam narodowość klienta. Litwini, to byli sprowadzeni z Kowna, urzędnicy, porządne „szyte buty”, teczka, urzędnicza ważność, rozczulenie, że gazeciarski „dzieciak” mówi po litewsku. Niemcy, to wojskowi, niektórzy też się rozczulają nad „dzieckiem”, inni starannie liczą resztę. Z bólem serca, za radą Mamusi sprzedaje karty pocztowe (niezapisane), które dostawałam od Tatusia, gdy był na stypendium w Niemczech. Są z muzeów i z ZOO. Do dziś je pamiętam. Jeszcze parę udało mi się ocalić. Kupuję potem karty w sklepach i sprzedaję z paskarskim zyskiem. Na tym procederze nakrywa mnie jakiś Niemiec i robi okropną awanturę. Udaje mi się wykręcić jakoś od „prawnych konsekwencji”, ale daję sobie z tym spokój. Mamusia jest zupełnie niesentymalna, jeśli chodzi o rzeczy - pamiątki. Sprzedaje franki, które dla Hali („Jak będzie dorosła”) zrobiła Babcia Mania, każe nam oddać synowi Halinki srebrne zabytkowe

monety, które dostałyśmy od Babci w dniu pierwszej Komunii. Do dziś pamiętam ból tych małych rozstań. Gdy kiedyś jeszcze „za Ruskich” usiłowała sprzedać Tatusia jesionkę jakiemuś żydowskiemu handlarzowi starzyzną, a on grzecznie spytał „A kiedy szanownej pani mąż umarł?” wrzasnęłam, że mój ojciec żyje i przegnałam handlarza. To był jedyny raz. Poza tym zgadzałyśmy się na te wszystkie sprzedaże i rozdawania (pewno jako rekompensaty za jakieś pomoce). Pamiętam wieczór, wracam opatulona w stary kozuch (pożyczony oczywiście od Halinki), w walonkach wpakowanych w kalosze (też skądś pożyczonych), przez ramię dwie torby, płócienna, uszyta przez Mamusię na gazety i mała skórzana pożyczona od prof. Małkowskiego (gdzieś ją potem zadziałam i było przykro, bo była pamiątkowa, a prof. Małkowski, podobnie jak ja przywiązywał się do rzeczy-przyjaciół, świadków jego przygód). Wchodzę przez werandę, drzwi są jak zawsze, aż do nocy otwarte. Wchodzi się wprost do „dużego” pokoju, mama leży, obok niej siedzi p. Cholewina (Mamy przyjaciółka, która była naszą sąsiadką na Wiwulskiego), na stole pali się „kopciłka” (są dwa źródła światła: knotek w oleju („kopciłka”) lub karbidówka (jasna, ale razi w oczy i droższa). Karbidówkę uruchamia się do odrabiania lekcji, jeśli się w czas nie wypali, wynosi się do kuchenki. Kopciłkę można zgasić. A więc panie sobie romawiają, ja pomału wyplątuje się z koca osłaniającego drzwi, niezauważona przez nie. I słyszę Mamę: „Danusia cały dzień biega po ulicach, z jakimiś okropnymi łobuzami, coraz później wraca, ja jestem coraz słabsza i nie mam na nią wpływu, zresztą potrzebujemy tych pieniędzy... „Nastrój zupełnie Dickensowski, dobrze, że to nie Gwiazdka, „David Coperfield” wyjątkowo żeńskiego rodzaju wyłazi prychając ze swego gazeciarskiego ryszunka, ale czuję współczujący wzrok p. Cholewiny. Nie znoszę na prywatnym terenie litości, tego: „Tatus na wojnie...” Jestem tu dzielna, duża i samodzielna. Przynajmniej we własnych oczach. W wyniku tej wzruszającej scenki dostaję na Gwiazdkę za pośrednictwem tejże p. Cholewiny paczkę: książkę o osiołku, słodycze i kartkę z orłem z

napisem „Polska swoim dzieciom”. Mamusia dała mi to w wigilijny wieczór, popędziłam zaraz do sąsiadów, którzy mieli prawdziwe dzieci, żeby oddać tę książkę, bo nie mogło się zmarnować to co Polska dała swoim dzieciom. To przecież musiało jakoś do tych dzieci dotrzeć. I to koniecznie w Wigilię. Musiałam okropnie dziecinnie wyglądać, jeśli p. Cholewina oszacowała mnie na taką książeczkę. Ale nad kartką płakałam w kącie. I orzełka zabrałam ze sobą razem z Tatusia fotografią, z którą się przez całą wojnę nie rozstawałam, aż „do Polski”, tj. w czasie „repatriacji”. Pamiętam rozmowy z kolegą, o tym jak „panowie-studenci” rozbijali żydowskie sklepy i jak on złapał największą czekoladę (drewnianą atrapę). Jak zarabiał dla małej siostryczki i mamusi. Obie je kochał, ale „w domu jest strasznie i smutno, a na ulicy wesoło”. Rozumiałam. Mama była w depresji, często leżała. Bałam się, że umrze. Jak biegałam z gazetami, gadałam z ludźmi, liczyłam gazety i pieniądze, nie było czasu na smutki. Jeśli łapał mnie strach, bawiłam się, że to wszystko „na niby” jak w bajce, taka próba, czy sobie dam radę. I jak czar pryśnie, pochwała mnie, że taka jestem dzielna. Kto? Oczywiście mądry silny, dorosły Tatus. Jeśli to nie pomagało, biegałam do katedry, do kaplicy św. Kazimierza. Nie modliłam się, tylko wtulałam twarz w ręce i skulona czekałam na odwagę. Pomagało. Wybiegałam usmiechnięta. Inny sposób, to herbata u Sztrala. Rozgrzewała fizycznie, ale i jakoś narzucała normalność. Na chwilę. Były różne „atrakcje”. Raz przyszła kobieta, bardzo zawstydzona, prosiła żebym zbadła czy w tym domu mieszka jakiś pan Mundek czy Edek. Dom był biurem. Jedyne człowiek „cywilny” - dozorca przegnał niezręcznego „wywiadowcę” miotłą. Żal mi było tej kobiety, ktoś ją oszukał, a taka była naiwna i zakochana. Nie wzięłam pieniędzy, które mi usiłowała wcisnąć. Gorsze było przeżycie, gdy chłopcy przybiegli, że Niemcy powiesili „bandytów” i obwożą ich na szubienicy. Koniecznie chcieli żebym z nimi pobiegła ich zobaczyć. Nie powiedziałam o tym nigdy nikomu. Chłopcy byli bardzo koleżeńscy, doradzali jakie gazety brać, co gdzie i jak

można kupić. Nigdy nie radzili mi jak coś „zwięźić”. Szczególnie jeden mały, mniejszy ode mnie chłopaczek z zadartym nosem i czapka wsuniętą na rozczochraną głowinę, przychodził na zupełnie bezinteresowne pogawędki o życiu. Nigdy mnie nie wypytywał o moje domowe sprawy. Musiał orientować się, że nie jestem z jego środowiska, zaciagałam z wileńska, ale ciągle „po inteligencku”. Było zimno. Coraz zimniej. I w końcu, jak chłopcy, ci duzi, nie moi przyjaciele, przewidywali, zaziębiłam się i zachorowałam. Ale przestałam gazety sprzedawać nie z powodu choroby, ale dlatego, że przeraziłam się żebractwa. Obłudy. To nie była praca. Jeśli Hala przychodziła mnie zastąpić, to ją mężczyźni zaczepiali. Wstydziłam się to Mamie powiedzieć. Złapałam jakąś skórą chorobę (mam często uczuleniową egzemy, skóra pęka i łatwo się infekuje). Poszłam sama do lekarza, gdy zaczął mnie wypytywać czy mam to „tylko na rękach”, i gdy to powtórzyłam Mamie, wzięła mnie do prof. USB, „skórnika”. Zapakowała jakąś „paczkową” kawę i rodzynki. Dał mi jakieś leki, ale co było najgłupsze pytał, czy nie zechciałabym pracować u nich, tj. u niego i jego żony w charakterze pomocy domowej. Okropnie byłam zła. Narzekała ta pani profesorowa, że jakaś zakonnica, która u nich pracuje, nie wyrzuca resztek jedzenia, żeby nie myć garnków. Oni mieli „żarcia do obżarcia”. Rozumiałam tę zakonnice, nie wolno wyrzucać jedzenia! Do dziś z trudem wyrzucam chleb, tylko gdy spleśnieje. Ale te pęcherze na łapach to było coś wyjątkowo obrzydliwego, ludzie nie chcieli brać reszty ze strachu. Do tego Hali też się to trochę udzieliło, po prostu ją zaraziłam. Ale po tych lekach, jakoś nam przeszło. Przez całe życie walczę z moją skórą, w czasie wojny i w laboratoriach to mi się okropnie dawało we znaki. A z tym zaczepianiem Hali, to mnie to okropnie „wkurzało”, bo ona się uśmiechała do ludzi, a oni to źle rozumieli. Ja wyglądałam ciągle na dzieciaka, ale ona na dziewczynę. Pamiętam jak zrugłam jakiegoś księżulka, Hala miała „febrę” na wargach (na szczęście nie te okropne pęcherze!) i on sobie zażartował „no i kto to tak serdecznie panienkę pocałował”, a ja na to reprimendę, że co to on

za ksiądz jak takie zdrożności dziewczynie mówi. Zmył się przestraszony nie bardzo pojmując o co mi chodzi. Byłam zasadnicza, czułam się odpowiedzialna za rodzinne „stado”, które chciałam w dobrym stanie oddać „przywódcy”, który się gdzieś tułał w świecie. I tak jakoś minęła IV gimnazjalna. Troszkę zlekceważona. Znow było lato. Pamiętam, że gdzieś na wsi zbierałam truskawki i tak się najadłam, że do dziś uczulam się nawet na ich zapach. Ale truskawki się skończyły i trzeba było rozejrzeć się za jakąś robotą chroniącą od wywózek, no i dającą jakiś profit. Mąż Halinki był przedsiębiorcą budowlanym i przerabiał cukiernię (któregoś „Sztrala”, chyba tego na Mickiewicza, blisko gimnazjum, w którym skończyłam I klasę) na „Soldatenheim”. Robota się ślimaczyła. Włodzimierz powiedział Mamie, że może mnie tam zaangażować jako robotnicę, przy tej budowie. Myślę, że gdyby Mama była w troszkę lepszej formie to by mnie tam nie posłała. Robota nie była ciężka, jakieś przesypywanie gruzu z kąta w kąt, ale towarzystwo okropne, bo właśnie zaczęli angażować „na siłę” córę Koryntu do „Soldatenheim 3” czyli domów publicznych dla żołnierzy i one łapały co się dało, że mieć zaświadczenie, że pracują dla armii w inny sposób. Widać wolały inicjatywę prywatną (po godzinach budowy). Robotnicy, szczególnie stolarze, którzy robili jakieś boazerie, stoły i tym podobne cuda., aby nastrój i wystrój był prawdziwie niemiecki, bardzo mi imponowali. Umieli robić to co robili. Tylko oni pracowali naprawdę, bo na akord. Reszta nas obijała się wprost beznadziejnie. Jak przychodził Niemiec, tośmy przesypywali gruz z jednego kąta w drugi, a gdy znow go przyniosło, to z powrotem. Przeważnie nic nie robiłyśmy. To było okropne, czas się dłużył i „życie towarzyskie” kwitło. Ale robota ślimaczyła się bez końca. Niemcy znali tylko jeden sposób na zaradzenie patowej sytuacji, przedłużyli godziny pracy za karę do 12 godzin na dobę. To było paskudnie dużo czasu. Do tego doszły jakieś zatargi płacowe, baby poszły do kierownika klócić się i mnie ze sobą wzięły. Nie wiedziały oczywiście, że kierownik jest mężem kuzynki mojej matki. W domu

strojono sobie niemiłosierne żarty z tej mojej eskapady protestowej. Włodzimierz, okropnie się śmiał, że zostałam bojowym robotnikiem i to w takiej kompanii. Kompania była istotnie arcyciekawa. Stwierdziłam, że „te panie” były bardzo sentymentalne, opowiadały o swoich wielkich miłościach, takie bajki, ale o alfonsach. Oni ponoć je do szaleństwa kochali. O te „pracowe fizjologie”, nie byli zazdrośni i one się u nich też nie liczyły. Życie uczuciowe i profesjonalna działalność to były starannie izolowane sfery. Do mnie miały pretensje: „tyle książek czytałaś i nic nie umiesz opowiedzieć”. Nigdy nie umiałam opowiadać, a i co im właściwie miałam mówić? Gdybym była mniej nieśmiała umiałabym im na ich poziomie opowiedzieć nawet Romea i Julię. Ale nie umiałam. Więc miały mnie za przygłupa. Gorsze było, że robotnicy sobie z nimi „żartowali” dość frywolnie. Mnie w ogóle lekceważyli, ale z nimi pogadywali o ich „normalnej pracy” (nie o tym gruzie, z kąta w kąt). Z nimi one nie były sentymentalne, tylko konkretne. Nie byłam „świętym młodziankiem”, który się płoni o byle co, bo przecież i przyrodę znałam i Żeromskiego czytałam, i różnych skandynawskich pisarzy z biblioteki laureatów Nobla, ale tego było mi naprawdę za wiele. Po jakiejś dyskusji (bardzo konkretnej) poszłam w kąt i się pobeczalam. Zobaczył to starszy zdun i zrugął chłopaków „przy dziecku takie świntuszenie”. Nie buntowałam się na to dziecko. To było jakieś rozwiązanie problemu. Doszła do nas pani w średnim wieku, nauczycielka. Na mój widok się wzruszyła „taka uczenniczka” i otoczyła mnie opieką. Długo nie wytrzymała i znikła. Zresztą już mnie jakoś zaakceptowano, troszkę z lekceważeniem. Usiłowałam pomagać przy myciu okien, ale patrzono z niekłamanym podziwem, jak niezdarnie się do tego zabieram: „Gdzie się to uchowało? ”.I „koleżanki” pomagały mi , żeby się Niemiec nie złościł. Dobre to były dziewczyny. Toteż dało się jakoś żyć, tylko na naukę czasu było okropnie mało. Ten przedłużony czas wszystkim obrzydł, więc skończyliśmy ten Soldatenheim. Pamiętam jak pięknie heblowali deski stolarze, prawdziwa, dobrze wykonywana praca jest piękna i

człowiek, który zręcznie pracuje też. To nic, że sobie ze mnie żartowali „mała, chodziłaś do szkoły, a nie umiesz po niemiecku”. Gdy zgodnie z prawdą powiedziałam, że w szkole uczono mnie francuskiego, to ulubionym żartem było wołanie „mała, szukają w biurze kogoś kto zna francuski”. Tylko za pierwszym razem się nabrałam. Potem odgryzałam się zręcznie. Ta „mała” to był świetny wynalazek. Postanowiłam nie dorosnąć do końca wojny. Nędzne odżywianie bardzo w tym było pomocne. Do tego prosiłam Mamusię o luźne sukienki i fartuchy. Żeby nikt nie widział, że mimo wszystko tu i ówdzie się zaokrąglałam. Dorosłość, jak czułam, wyidukowała by całą masę kłopotów, które mnie przerażały. A więc skończyliśmy wreszcie ten Soldatenheim i nasza brygada poszła budować odwyszalnię. Trzeba było nosić cegły murarzom i to po rusztowaniu. Majster murarski wziął mnie na bok i wytłumaczył, że to nie robota dla dziewczyny „oberwiesz się od tego noszenia, znikaj stąd mała”. Miał rację, robota była bardzo ciężka, źle płatna i strasznie dużo pochłaniała godzin. Do tego trzeba było zabrać się za I licealną, a to nie żarty. Ale skąd wziąć jakąś rozsądną robotę i to taką, która zwalnia od wywózki do Niemiec? Mama dostała, przez żonę swego siostrzeńca pracę urzędniczą w kantine dla niemieckich kolejarzy. I jakoś po paru tygodniach ją rzuciła, nie wiem, myślę, że znów miała niechęć do życia, silniejszą niż chęć działania lub gorsze samopoczucie. Te dwie rzeczy były zresztą ściśle splecione. Dość, że żona Staśka (syna jednej z Mamy licznych sióstr, ciotki Lidy, który był wesołym młodym człowiekiem gdy miałam 3-4 lata, a w czasie wojny łysawym panem w średnim wieku) zaprolegowała z kolei mnie, ale oczywiście na pomoc kuchenną, a nie na urzędniczkę. Na Mamy miejsce zaczęła pracę p. Jaruntowska (de Roset-Jaruntowska), osoba bezsprzecznie z inteligencji, dobrze ubrana, życzliwa nawet, ale z innej sfery niż nowy kuchcik licealista no i obracająca się w wyższych, kantynowych sferach, tam gdzie Tola (żona Staśka) i z niemieckiego mieszczaństwa pochodząca dziewczyna. Ta dziewczyna była córką jakiegoś rzeźnika i z domu

znała niemiecki, choć rodzina od niepamiętnych lat żyła w Polsce, bodaj na Pomorzu. Moją sferą była kuchnia. Tu trzeba było naprawdę pracować i nauczyć się wielu ogromnie trudnych sztuk. Jak rozpalić ogień pod kotłem, jak szybko obierać ziemniaki i jarzyny, jak zmywać do czysta stosy talerzy i garnków. I to wszystko bez szczegółowej instrukcji, sprawnie. Moje gapiostwo z początku okropnie raziło. Zespół był zgrany: Irka Kazanecka była kucharką, jej siostra Władka jedną z pomocy kuchennych i kelnerskich. Obie były zaradne, ojciec listonosz, w domu dużo dzieci. Irka miała skończoną szkołę gospodarczą, Władka chyba chodziła do gimnazjum, ale nie wiem napewno. Chłopak (narzeczony) Władki, Kazik, był w lesie, z którego wpadał do nas do kuchni (co za sielanka!) ścisnął Władkę, jadł co się dało, gadał bez strachu co tam u nich słychać i znikał. Władka była zgrabną czarnooką dziewczyną, Kazik był od niej dużo inteligentniejszy. W ogóle, bardzo go lubiłam, choć nie zawsze się z nim zgadzałam. Kim był Kazik „prywatnie” poza tym lasem? Nie mam pojęcia. Dalej, była pani Rychlikowa. Była telefonistka, matką Halinki i syna, którego wywieźli na roboty. Pamiętam, jak przyszła zapłakana, w ten dzień, kiedy tych chłopców zamkniętych w jakiejś szkole przygotowali do wywózki. Rzucił jej liścik, a oni śpiewali „amaranty zapięte pod szyją”, pamiętam jak płacząc nuciła „barwny ich strój...” ale chłopcy byli, jak to wojenne młodziaki raczej byle jak odziani. Pocieszała się, że oni tacy dzielni i, że się nie załamają. Myślałam o bombardowanych fabrykach, do których jechali. Nie na wiele tam dzielność mogła się przydać. Pani Rychlikowa była zgrabną, bardzo kobiecą szatynką, mimo dużych już dzieci nie pozbawioną pretensji. Świetnie dawała sobie radę z kuchenną pracą. Dla mnie stanowiła pewien problem: w czasie obierania kartofli, lubiła opowiadać swe przejścia życiowe. Miłości swoje i swych przyjaciółek, przy czym często włączały się w ten tok opowieści, historie dotyczące usuwania konsekwencji tych przygód. Gdy się próbowałam oburzać z wyższością doświadczonej kobiety mówiła: „tak wszyscy robią, Danusia zrozumie jak będzie starsza”. No

cóż jestem już nie tylko starsza, a nawet okropnie stara i wciąż nie rozumiem. Poza tym była osobą miłą, życzliwą i pobożną.

ŻYDZI W KANTYNIE

Chcę jeszcze wrócić pamięcią do Wilna, do kotłów, ścierek i do tragedii Żydów. W Kantynie pracuje pięciu Żydów: pan Goldstein, nauczyciel matematyki (tylko ja mówię do Żydów per pan) drobny, cichy, łysawy, zgubiony zarówno wśród Żydów, jak i przerażony utratą pozycji wśród Polaków. Niezręczny manualnie, poszturchiwany przez wszystkich w koło, bo nie znał „żargonu”, mówił śliczną polszczyzną Słonimskich i Tuwimów i nie przestrzegał przepisów religijnych. Stąd obcość wśród Żydów. Kuchenne polskie otoczenie nie ceniło intelektu. Tylko zręczność, no i spryt. Z czasem poznaję jego młodą, śliczną czarnooką i czarnowłosą żonę. Mają synka, paroletniego chłopaczka, który zostaje w gettcie, gdy oboje pracują. Żona Goldsteina wydaje się dużo zaradniejsza, ale oboje bardzo źle czują się w gettcie, gdzie ortodoksi gnębią ich za asymilację, a zaradni za gapowatość życiową. O Boże Izraela, który jesteś i naszym Bogiem, nie wiem czy On w ciebie wierzył, ale wierzę, że otoczyłeś Go opieką. Czy ktokolwiek poza mną pamięta naszych Żydów z kantyny? Może są zapisani wśród ofiar w muzeum - pomniku, w Jerozolimie. Ale to nie to samo. Kto pamięta, jacy byli, jak mówili, jak reagowali na obłęd tych czasów? Piszę, żeby troszkę jeszcze poistnieli, choć w tym uproszczonym obrazie, tacy, jacy byli w moich ówczesnych oczach. W tym czasie pomału przestaje być „popychadłem”. Wprawnie szoruje kotły, rozpalam pod nimi ogień, błyskawicznie obieram ziemniaki. Ale naprawdę lubię obsługiwać sprzęt zmechanizowany. Raz do dużej maszyny elektrycznej ustawionej na środku pokoju, w którym obieramy jarzyny, i w którym stoi część kotłów, wrzucam jakąś marchew na surówkę. ¹Jest mi dobrze, robota

jest lekka i zabawna. Jestem sama, przychodzi p. Goldstein i przygląda się stojąc z boku. I wtedy mówi cicho, że przypominam mu Danuskę z Krzyżaków, też jestem zgubiona w tym niemieckim piekle. Jestem wściekła, nie chcę być łzawą Danuską. Chcę być dzielna, choćby jak Jagienka, ale lepiej jak Emilia P. Mimo, że paralele literackie nie wydają mi się sympatyczne, zaczynam rozmawiać z zahukanym, chudym osobnikiem, w przekrzywionych okularach i opadających wyszarganych spodniach. Znajdujemy od razu odpowiedni ton: uczennica i profesor. To miłe dla obu stron. Jesteśmy oboje z innego świata i nie jest chyba dziwne, że natychmiast przenieśliśmy w otaczający nas obłąd konwencje z poprzedniego, normalnego bytu. Pan Goldstein wydaje mi się stary. Dopiero dużo później, gdy odwiedzi go kolega, filolog klasyczny, asystent profesora Oko (o którym słyszałam, że był endekiem! och ci polscy antysemita, raczej teoretyczni niż praktyczni!) zdaje sobie sprawę, że Goldstein jest okropnie „zmarnowany” i załamany tak że odżywa tylko w życzliwej atmosferze. Obieram kartofle, Goldstein został kuchennym rozkazem przydzielony mi do pomocy. Idzie mu niesporo, ale nie musi nic dźwigać i siedzi ze mną spokojnie przed kantyną. Jest czemuś pośpiech i Irka pokrzykuje, żebyśmy prędzej naobierali. Przychodzi ten filolog, dosiada się do nas i na ochotnika pomaga. Robi się całkiem miło, prawie wesoło. Filolog zauważa, że i polskiej inteligencji też nie jest łatwo. To niby o mnie. Opowiadam, że Ojciec pracował na USB. Znajdujemy wspólnych znajomych, plotkujemy, to chyba pierwszy raz, ktoś traktuje mnie jako dorosłą pannicę. Wpada Halina i swym wileńskim akcentem pomrukuje coś jak „gdzie się te Żydy podziały?” Chodzi o resztę pracowników z getta. Jest mi okropnie przykro, ale filolog bystrze zauważa, że „ta panienska ma zgoła inną wymowę niż pani”. Wszystko udaje się zmienić w żart, trochę w gorzki. Kończymy to obieranie, pędzę do innej roboty. Gdy Żydzi przychodzą po obiad ze strachem „stojąc koło zlewu nad stosem talerzy, proszę Irenę, żeby wydała jeden obiad więcej „bo ten pan nam pomagał obierać kartofle”. Irena

(spontanicznie dobra, choć czasem „prędką”) patrzy na moją przestraszoną minę i wydaje ekstra porcję. Urzędowo dostajemy zupę, ziemniaki z sosem i jarzynę. Ale nam Irena podrzuca normalne porcje mięsa, a Żydzi dostają z reguły przed właściwym obiadem, kości z zupy do obgryzienia. W drewnianym cebrzyku, te olbrzymie kości ze znikomą ilością mięsa zanoszą się do ich „kanciapy”. Rzucają się na lepsze, ci zaradniejsi. Dla Goldsteina zostają, jeśli w ogóle, to te najbardziej gołe. Po wojnie nie znosiłam gdy mój mąż obgryzał ze smakiem kości np. od kotletów schabowych lub od kurczaka. Bo zawsze widziałam tamten ciemny pokoik i kilku głodnych ludzi rzucających się do cebrzyka z kośćmi, już nieźle obkrojonymi, bo mięso „szło” do zupy. Najważniejszy wśród Żydów był krawiec i jego ekipa. Szyli futra „dla wojska” i kombinowali z Niemcami ile weszło. Szyli też chyba oficerom inne rzeczy. Dość, że krawiec był bogaty, nie przychodził ani po zupę, ani po kości, siedział w swoim warsztacie i traktował kuchnię z góry. Żydzi mogli się żargonem dużo lepiej dogadać z Niemcami niż niewykształceni Polacy. Nie pamiętam czy krawiec mówił żargonem, czy po niemiecku, ale miał „doskonałe układy” i z takim kuchcikiem jak ja w ogóle nie gadał.

Krawiec stanowił arystokrację, z którą moja „kuchcikowata” osoba nic nie mogła mieć wspólnego. Z nim rozmawiał „sam” Riske (kierownik kantyny) i inni niewyobrażalnie wysoko usytuowani w niemieckim świecie „dostojnicy”. Żydzi (lub raczej „Żydy”) to byli niewykwalifikowani pracownicy używani do prac w kantynie. Niewykwalifikowani? Jedyne do tych celów, bo przecież pan Goldstein był mgr matematyki i nauczycielem gimnazjum. Początkowo przyjaźniłam się tylko z Goldsteinem. Był zasymilowany, poprostu pochodził z „mojej sfery”. Ogromnie zgubiony, bo manualnie niezręczny, słaby fizycznie, traktowany był i w kantynie i w gettcie okropnie. W kantynie jak „oferma”, w Getcie z powodu zerwania więzi religijnej i językowej z większością współmieszkańców jako odszczepieniec. Był ciągle „zagapiony”, skąd raz wynikła przykra awantura, bo akurat był Kazik („leśny” narzeczony

Władki K.), a Goldstein wyszedł z ubikacji zapinając „przy damach” rozporek. Gdy Kazik go zrugął, tłumaczył się zgodnie z prawdą, że nie zauważył tego co robił. Pierwszy raz odżył, gdy był kolega „językoznawca”, drugi, gdy wpadła do niego żona, piękna, czarnooka młoda i bardzo zaradna kobieta. „Urwała się” ze swojej pracy na chwilę. Wydała mi się, że trzy razy młodsza od Goldsteina i bardzo miła. I właśnie gdy Goldstein prosił mnie o pomoc, żeby ich z paroletnim synkiem ukryć po „aryjskiej” stronie, odmówiłam. I to wstrętne i głupio („bo teraz tylu naszych też potrzebuje ukrycia”). Było to o tyle prawdą, że pani Tunia (moja „dowódczyni” z AK i nauczycielka fizyki, której akurat deptano po piętach) chwilowo u nas nocowała, stąd tym bardziej takie tłumaczenie było głupie i ryzykowne. Było jednak przede wszystkim niehumanitarne. Byli jacyś „nasi”, a on nie był „ich” i widać nie był też „nasz”. Do głowy jeszcze wtedy nikomu nie przychodziło „ostateczne rozwiązanie”. To znaczy, nikomu z nas, ani z Żydów. Goldstein tłumaczył, że się okropnie źle czują w getcie. Wiedziałam, że tam mieszkają „kątem”. Głodni bardzo nie byli (zabierał jakieś jedzenie, resztki, które powinny zjadać świnki, ale które oddawałyśmy Żydom). Warunków do schowania kogokolwiek nie miałam. Baraczek letniskowy, w którym mieszkaliśmy był akustyczny, zamiast piwnicy miał małe składziki, byle jak odgrudzone. Do tego nie byłabym w stanie utrzymać trzech dodatkowych osób. Pani Tunia wychodziła poprostu i przychodziła. Wysoka, piękna blondynka, znana już sąsiadom z widzenia nie zwracała uwagi. Jeśli ktoś zauważył, że nocowała, to mogła poprostu się zasiedzieć i nie chcieć iść po godzinie policyjnej. Do tego, z jej zgodą, mama rozpuściła plotkę o jakichś małżeńskich trudnościach, które też mogły być powodem nocowania u znajomej. A tu? Troje ludzi w typie wybitnie semickim, bez środków do życia i w otoczeniu „prymitywów”, którzy zajęli mieszkania po zabranych do getta rodzinach żydowskich. Nie było możliwości. Ale dlaczego nie prosiłam innych o pomoc w tej sprawie? I dlaczego odmówiłam w tak brutalny sposób? Długo potem, gdy już było „po

wszystkim” czułam się okropnie winna. Dziś wiem, że sprawa mocno przerastała moje nastolenie barki i tak obciążone troską o własną rodzinę. No i ciągle mnie ktoś pytał, czy jestem „Jude”. Bo nie tak radośnie witam się z „kameradami”. Mam jakiś dystans, nie żartuję, nie flirtuję. A skoro inne tak, to może ja? Do tego bardzo ciemna i troszkę „śródziemnomorska” dziewczynka? Byłam pewna, że mnie to „nie dotyczy”, ale niby czemu innych ma to dotyczyć? Ale to był dopiero początek mojej znajomości z Żydami z kantyny. Goldstein mnie lubił, bo w moim towarzystwie był znów kimś, nauczycielem, panem, kimś respektowanym. Do tego z początku też byłam na pozycji gapowatej ofermy, co implikowało jakieś braterstwo w tej trudnej sytuacji. Nie wszyscy Żydzi dawali się lubić. Od razu mi „podpadł” Mozes, milicjant. Brutalnie traktował resztę, szczególnie Goldsteina. Dla Niemców uniżony, ciągle powtarzający, że jego narzeczona jest zupełnie „nie w typie”. On za to aż z błękitnym zarostem i czarnymi oczyma był „w typie”, ale mimo to antypatyczny. Pytałam Goldsteina, jak on może ich tak traktować, jeśli i tak „jadą razem na tym niewygodnym wózku”. Uzyskałam naukę, którą powtarzam od lat, gdy ktoś się buntuje przeciw brutalności jakiegokolwiek policji. Na policjanta trzeba mieć specjalne predyspozycje, w każdym narodzie jakiś procent ludzi ma te predyspozycje. Nie są to ludzie najsympatyczniejsi, dalej, że ani on ani ja na szczęście nie nadajemy się na policjantów. Gdy Kazik namawiał go do ucieczki do lasu, gdy zaczęły dochodzić wieści o projekcie zamknięcia lub nawet likwidacji getta i o likwidacjach na kowieńszczyźnie Mozes był pewny, że „jemu nic nie zrobią, bo jest potrzebny”. Mozes to Mojżesz. Takie piękne imię. Ale ten nie przeszedł przez Morze Czerwone. Moim drugim przyjacielem był Hirsz, rzeźnik, wielki, masywny i powolny. Myślę, że był rytualnym rzeźnikiem, ale teraz nie buntował się i pomagał uśmiercać i oprawiać kantynowe świnię. Był niezwykle użyteczny, gdy było w kantynie świniobicie. Zaprzyjaźniłam się z nim, gdy miałam wieczorne dyżury. Przychodził podsuszyć na piecu

machorkę i zostawał na pogawędkę. Mówił bardzo mało, ale zawsze mądrze. Był głęboko religijny, być może studiował święte księgi, by w swym fachu nie przekroczyć prawa, ale jego mądrością była przede wszystkim dobroć. Zabierał wielki dzbanek zupy, gdyż na utrzymaniu miał swoje drobne dzieci i dzieci zabitej siostry. Gdy Kazik proponował las powiedział spokojnie „nie mogę ich ani zabrać, ani zostawić”. Więc zginął. Nigdy nikomu nie robił przykrości. Był szanowany przez kucharki, bo oprawiał mięso, nosił najcięższe ładunki, nie spychał roboty na innych. Milczał, gdy nic nie miał do powiedzenia. Zupełnie inny był „delikatny”. Kiedyś, gdy coś miał zrobić powiedział: „bo ja jestem delikatny”, w znaczeniu, że nie przywykł do takich robót. I tak już zostało. Wpierw myślałam, że to nazwisko i prosiłam o przyjsie do kuchni „pana Delikatnego”. Nie mam pojęcia kim był z zawodu, może sprzedawcą sklepowym? Był pomimo biedy pulchny, z wystającą okrągłą pupą, rozchełstaną koszulą, czołową łysiną, różową cerą, poruszał się jakoś dziwnie, miękko, jakby w komicznym balecie. Jeden raz widziałam Delikatnego szczerze ubawionego. Była to głupia historia. „Baba z łaźni” pozwalała się nam kapać, gdy już formalnie łaźnia dla kolejarzy nie była czynna. Były w łaźni dwa zespoły prysznic: w dwóch izbach, jedna za drugą. Wszystkie kuchenne koleżanki pluskały się razem w tej drugiej, dalszej izbie, ale ja się ich wstydziłam, bo mi się piersi na tym kuchennym jedzeniu zaczęły zaokrąglać. Więc zostałam w tej pierwszej izbie. A tu raptem weszli z jakimiś szaflikami po gorącą wodę najbardziej popędzani do wszelkich robót Żydzi: Delikatny bodaj z Goldsteinem. A za nimi któryś jeszcze. Delikatny puścił swój szaflik i głośno się śmiał bijąc się rękami po udach. Uciekając do drugiej izby zasłaniałam te nieszczęsne piersi skrzyżowanymi rękami, odkryte pozostawiając bardziej krytyczne rejony. To nie były czasy toplesów. Pamiętam tylko ten śmiech. Groteskowy dotychczas Delikatny zareagował jak młody, ordynarny mężczyzna. Irka zaproponowała, że poszoruje mi plecy. Nie śmiała się, byłam jej wdzięczna. Wyszliśmy

domyte. Po myciu się na raty w miseczce, w zimnym mieszkaniu, prysznic był prawdziwą uciechą. Irka żartowała, że po prysznicu ładniej, jaśniej. Ale zawsze, gdy biegłam pod prysznic prześladowało mnie wspomnienie śmiejącego się Delikatnego. No cóż, może to był ostatni, taki wesoły moment w jego życiu? Ale z Delikatnym nie umiałam się zaopryjaźnić. Nawet przed ta łaźnią.

Po tych Kazikowych wieściach o projektowanej likwidacji getta zachorowałam ciężko na chorobę racic i pyska. Racic nie miałam, ale w pysku mi się porobiły jakieś okropne bąble i nawet pić nie mogłam. Mama tarła marchewkę i łyżeczką wlewała mi do gardła soczek. Gdy mi to przeszło i wróciłam do pracy Żydów w kantynie już nie było. Wpierw ich nie wypuścili z getta, a potem... Ponary. Gdzie ukochani przez Miłosza Bałtowie, sławieni jako lud sprawiedliwy, wystrzelali, bez żadnych udogodnień technicznych, dzieci, starców i naszych pracowników z kantyny. Wróciłam do pracy bardzo chuda. Wiedziałam już co się dzieje, ludzie z ust do ust sobie podawali wieść o morderstwach na Ponarach. Nie słuszałam w ich głosach nic prócz zgrozy. Idąc miałam jeszcze nadzieję, że może „naszych” nie wzięli. Ale już ich nie było. Wychodząc z pracy myślałam, czy wolno po tym żyć. I jak żyć gdy to się mogło stać? Kwitły przed kantyną bzy. Tak zwany „stary wacha” - wartownik czemuś życzliwy nawet Polakom, naciął mi kiście bzu. Szłam do domu z tym bzem. Jechały z getta chłopskie wozy wyładowane nędznym gettowym dobytkiem. Na ulicy walały się fotografie czyichś najdroższych. Na jednym wozie leżała młoda dziewczyna, zobojętniała na wszystko. Podwozy jechały pod opieką policji. Nędzna zdobycz spadała z wozów. Stałam z boku nie mogąc połknąć śliny. Zesztywniała. Ktoś mnie popchnął z życzliwą uwagą, żebym przestała się gapić. Szłam do domu z tymi nieszczęsnymi gałązkami, jak za pogrzebem. W domu nic nie powiedziałam. Inne reperkusje tragedii. Wujenka „Ludiowa”, młoda żona brata mojej Babcini bardzo była czemuś zaangażowana w żydowskie sprawy. Kiedyś zaszłam do tzw.

wujostwa z Mamą. Wujenka Marychna opowiadała z emfazą, że mieli żydowskie dziecko, oddane im przez rodziców. Ochrzcili je, przemalowali włoski na jasne i wmawiali sąsiadom, że to dziecko krewnych. Ale ktoś doniósł i Niemcy czy też Litwini dziecko zabrali. A Marychna, gdy już wchodzili zdążyła wrzucić do ubikacji jakieś złote precjoza czy monety. Zupełnie nie rozumiałam reakcji ciotki, myśl o dewizach, gdy dziecko miało zginąć, ten chrzest, czy za zgodą rodziców? Ta sentymentalna łezka, gdy trzeba było milczeć lub wyć z rozpacz. Te interesy związane z opieką nad dzieckiem. I inne interesy z ludźmi, którzy byli o krok od śmierci. I do tego dewocyjna pobożność. Syn Michaś, mały, spokojny chłopczyk. Stary wuj Ludzio (Ludwik, ale to się wymawiało właśnie „Ludio”) zaplątany w te wszystkie sprawy. Stryj Jurek pisał do Taty, że jako że wujostwu dobrze się powodzi, to pewno nam pomagają. Co to to nie. W jakimś okresie przerwy w pracy, przed pracą w kantynie, a po budowie odwyszalni, kiedy udzielałam lekcji córeczce gospodyni Pana Kazika (to zupełnie inny, nie „kantynowy” Kazik, ważny, ale „nie w tym temacie”) prowadziłam Michasia na spacer. Czy Mama miała z tego powodu jakiś profit, nie wiem.

KAZIKI

Tak się jakoś złożyło, że przyjaźniłam się z kilku Kazikami. Jeden, to Kazik Kapliński, przyjaciel z przedszkola i podwórka na Orzechowskiej w Warszawie. Jego siostra Janinka uczyła się muzyki u mojej mamy, a przed tym chodziła na komplet dla dzieci (dzieci ludzi conajmniej bardzo zamożnych) zorganizowany przez moją Mamę i p. Marylę Korsakową (żonę przemiłego p. Bohdana sędziego Sądu Najwyższego). Jedyłą mniej zamożną dziewczynką w tym komplecie była moja siostra Hala. Kazik i ja uczęszczaliśmy do młodszego kompletu, czegoś co by się dziś nazywało zerówką. Poza tym mieliśmy wspólne podwórko gdzieśmy się we czwórkę bawili i kłócili. Przyjaźń przetrwała te komplety i naszą

wyprowadzkę z ulicy Orzechowskiej. Tym bardziej, że Janinka pilnie uczyła się tej muzyki, aż do naszego wyjazdu z Warszawy. Przetrwiała też śmierć ojca Janinki i Kazika. Ojciec umarł na serce. Janinka podobno wybiegła na podwórko z krzykiem protestu. Po paru dniach przyszła na lekcję w czarnych pończochach i zwykłym mundurku szkolnym. Czekwała jak zawsze w naszym pokoju aż Mama skończy poprzednią lekcję. Musiałam patrzeć na nią niemądrze, bo nie wiedziałam o czym można mówić z dziewczynką, którą spotkało takie niewyobrażalne nieszczęście. Spytała „czemu tak mi się przyglądasz?” i lody przysły. Zrozumiałam, że jest już bardzo dzielna. I taka naturalna nawet w nieszczęściu i niewyobrażalnie dzielna została już na zawsze. Kazik zginął w Powstaniu. Gdy wróciliśmy w 45 roku do Warszawy Janinka zjawiała się u nas na Hożej i była u nas częstym gościem. Jej matka miała raka, więc Janinka ukrywała przed nią śmierć Kazika. Na utrzymanie matki i swoje zarabiała grając wieczorami w jakiejś knajpie, a całymi dniami brała udział w ekshumacji powstańców szukając ciała Kazika. Z przyjaciółką, która też szukała brata postanowiły, że będą pracować nawet po odnalezieniu swych bliskich, aż do końca ekshumacji tych mogił. Do nas wpadała po ekshumacji, a przed knajpą. U nas myła się i przebierała po tej makabrycznej pracy. To dziwne, ale gadałyśmy, śmiałyśmy się, a nawet chodziły razem do kina na głupie radzieckie komedie. Czuliśmy z Halą, że te żarty i śmiechy to coś koniecznego w makabrycznym życiu Janinki. Raz przyszła cicha. Pokazała nam „kenkartę” z fotografią Kazika. Mało co było widać na tej fotografii. „Bo wyście go nie widziały jak już był taki duży”. Potem straciłam z Janinką kontakt. Podobno wyszła za mąż i ma troje dzieci. Nie pytałam, czy jeden z synów nazywa się Kazik. Jest ona dla mnie przykładem polskiej kobiety, która na gruzach potrafi zaszczepić nowe życie. Dzięki takim Janinkom, mimo naszej zawiłej historii, ciągle istniejemy jako naród.

Następny Kazik tylko przemknął mi przed oczyma, choć bardzo dużo o nim słyszałam. To Kazik Małkowski, syn prof. Małkowskiego, który w czasie wojny przez czas jakiś ze starszym swym synem Zdzichem mieszkał u nas na Zakretowej. Żona profesora wraz z Kazikiem była w Warszawie, gdzie po długich perypetiach udało się i profesorowi dotrzeć. Kazika widziałam przelotnie w Czarnym Borze, w czasie ostatnich przedwojenno-wojennych wakacji. O Kaziku dużo słyszałam od Zdzicha, bo Profesor, choć Go spotykałam po wojnie, nigdy o nim nie mówił. Kazik uczył się ponoć na piątkach, ale ... został wzięty na ulicy z bronią, rozstrzelany i wydrukowany w spisie „bandytów”. Było to jeszcze przed powstaniem. Jak wszyscy umarli pozostał młodym chłopcem, choć jego bratanek ks. Małkowski, gorący działacz antykomunistycznej opozycji, urodzony w kilka lat po śmierci Kazika, jest już od niego dużo, dużo starszy. O tym Kaziku, w powodzi innych zabitych, podobnie jak on mniej mi znanych chłopców, pewno bym nie pamiętała, gdyby nie przyjaźń moich rodziców z prof. Małkowskim i z jego starszym synem Zdzichem, który wraz z żoną Krysią był do końca wojny w Wilnie, a potem mieszkał tak jak i my w Instytucie Fizyki na Hożej, robiąc pracę doktorską z Fizyki.

Następny Kazik, to narzeczony, a potem mąż Władki Kazaneckiej z kantyny dla niemieckich kolejarzy. Podżartowywał sobie ze mnie, ale lubiliśmy się, przy odpowiednim z mej strony szacunku dla młodego człowieka, który przychodzi z lasu do dziewczyny, a pistolet wciąż ma w kieszeni. Raz, gdy po godzinie policyjnej mieliśmy z Władką i Kazikiem wracać do domu (a Kazik nie miała nocnej przepustki) lubiany przez wszystkich Austriak Frantz pożyczył Kazikowi swój kolejarski mundur z pasem i kaburą od pistoletu. Poradził, że gdyby nas Litwini zatrzymywali to „w pysk” i wrzeszczeć to się odczepią. Swoją drogą i Frantz i Kazik mieli źle w głowie. Ryzykować tak wiele dla głupiego powrotu na parę godzin do domu. Rano i tak musiałyśmy wrócić do kantyny. Całą drogę bałam się, że ktoś znajomy przez okno

może zobaczyć, że idę pod rękę z niemieckim kolejarzem. Przechodząc Zakretową ,koło domu pani Downarowiczowej ,schowałam się starannie za Władkę i Kazika. Kazik opowiadał jak to było w lesie i jak raz niechęć starli się z partyzantami Wandy (Wasilewskiej), ale nie zrobili im krzywdy za wiele. Narzekał, że lasy robią się ciasne, radzieccy i proradzieccy no i w większości oni, którzy czuli się w prawie i w domu. Po wojnie raz spotkałam jedną z dziewcząt z kantyny, mówiła, że Kazika aresztowano. I jeszcze kogoś z rodziny Kazneckich. Nie wiem ile w tym prawdy. Porządni to byli ludzie i zyczliwi dla mnie, biednego uczniaka zaplatanego w wojenne poniewierki. Kazik „kantynowy” (nie znałam nigdy nazwiska) proponował ratunek Żydom z kantyny. Chciał ich zabrać do lasu, ale oni bez rodzin nie chcieli pójść. Zresztą nikt z nas nie wierzył w „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”, na które zdecydowali się hitlerowcy.

Następny Kazik był w moim okupacyjnym żywocie bardzo ważną osobą. Był to pan Kazik Zdanowski. Pan Kazik przeżywał mnie „Panną Nie”. Przychodził do nas do pod Zakretowego domu i prowadził długie dyskusje na tematy sensu życia, filozofii itp. zupełnie niewojennych tematów. Pana Kazika odkryła Mama, która dowiedziała się, że jacyś aresztowani pracują w lesie i donosiła im zupę. Pan Kazik został złapany kiedy ukrył się na statku w celu opuszczenia niemieckiej strefy wpływów (opowiadał o tym koloryzując z urokiem warszawskiego urwisa). Jakoś go puścili i przyszedł podziękować za tę zupę. Był studentem Fizyki z Warszawy. Dzięki temu mieliśmy wspólnych znajomych, np. pp. Wł Kapuścińskich. Przeszedł podziękować i tak jakoś zaczął regularnie nawiedzać ,jak mówił „,domek trzech dziewcząt”. Gdy wracałam z kantyny, zwykle już był. Myślę, że z początku w Wilnie czuł się samotny, a potem choć już wsiąkł w różne sprawy, przychodził, bo przywykł. Żeby dyskusja trwała musi być różnica zdań. Czytaliśmy te same książki, miło było się kłócić o rzeczy abstrakcyjne, w tym tak zwariowanie realnym świecie. Stałam zwykle pod piecem i zażarcie

oponowałam, stąd przydomek „Panna Nie”. Jakiś czas, jeszcze przed kantyną, naraił mi lekcje, uczyłam córeczkę kobiety, u której mieszkał. Twierdził, że nie potrafi uczyć takiej smarkatej i chwalił moje bardzo amatorskie akcje pedagogiczne. Załatwiał różne sprawy, np. zdobywał dla mnie licealne podręczniki. Pracował z pewnością tylko w konspiracji, bo żadnej „urzędowej” pracy nie miał, a jakoś żył. W związku z tą swoją „nieurzędową pracą” musiał wyjechać do Warszawy. Przyszedł się pożegnać. Pierwszy raz „miał mowę” poważną o sobie. Chciałam mu przerwać, ale zaprotestował „Niech ten jeden raz Panna Nie posłucha, zamiast gadać”. W streszczeniu chodziło o to, że mogę się o nim dowiedzieć jakichś rzeczy, że się np. upił, albo że głupstwa gadał. I wtedy nie mam pomyśleć, że nasze rozmowy o sensie życia były żartem. To były prawdziwe rozmowy, choć takie młode dziewczynki jeszcze nie wiedzą, że ludzie mają różne jaśniejsze i ciemniejsze strony. I obie te strony są prawdziwe. I że bardzo mnie lubi, ale więcej nigdy nie powiedział i nie powie, bo ja się mam jeszcze mnóstwo uczyć, a nie zajmować sprawami dla dorosłych. I że mnie podziwia za podejście do nauki, za działalność i za ten upór w naszych dyskusjach. Żeby nie kończyć na tak wysokim poziomie przypomniał, że książki mamy oddać pod adresem, który mi zostawił. Szybko się pożegnał i poszedł. Książki oddałam, to było gdzieś na Rossie. Idąc piechotą z Zakretu na Rosę (kto zna Wilno to wie, że to niezły spacer) myślałam, że mi bardzo brak p. Kazika. Myślę, że to coś o czym się mogłam dowiedzieć „to zbyt zażyła przyjaźń” z wojenną wdową-matką mojej małej uczennicy. Naprawdę nie sądziłam, aby to mogło zmniejszyć naszą przyjaźń. Dostałam tylko jeden list z Warszawy, bez adresu nadawcy. Bardzo sentymentalny, jak to ludzie modlą się się na warszawskich podwórkach. I z uwagą, żeby nie pytać jaką drogą taki list mógł dojść. Z góry wiedziałam, że wdusił jakiemuś kurierowi, to sentymentalno-patriotyczne rozważanie. I to był ostatni znak. PP. Kapuścińscy twierdzili, że pan Kazik zginął w powstaniu. Nie znalazłam go w książkach o powstaniu podających spisy poległych. No cóż, a

może wcale nie nazywał się Zdanowski? W każdym razie był moim przyjacielem w najlepszym znaczeniu tego słowa. Wtedy wydawał mi się bardzo dorosły, ale to tylko kwestia mego ówczesnego wieku. Mieć musiał niewiele ponad dwadzieścia lat i ciągle ta bardziej dziecinna strona jego osobowości poważnie dyskutowała o Bergsonie, pomimo walącego się świata.

ŚMIERĆ JURKA

Niedawno wpadła mi w ręce książeczka o bitwach i grobach wileńskiego AK. Jest tam również wymieniony mój przyjaciel z ostatnich przedwojennych wakacji Jurek Turkowski, pseudonim Danut, pochowany w Rosji w grobie rodziny Turkowskich razem z kolegą, z którym zginął. Ten pseudonim to może być na cześć jego siostry, też Danuty. Jak doszło do tej śmierci? Przez lata wojenne nasze kontakty z rodziną Turkowskich trwały, choć wobec skomplikowanych okoliczności nie miały charakteru towarzyskiego. Pani Turkowska uczyła w szkole, do której uczęszczałam w czasie „Radzieckiej Litwy”. Co prawda nie w mojej klasie, ale miała ciągle jakiś wgląd w moje i mojej siostry sprawy. To ona, gdy Litwa zrobiła się Radziecka zawiadomiła nas, że możemy do tej szkoły zdawać jako eksternistki, bo nasze związane ze strajkiem szkolnym grzechy były przeciw Litwie „Smetanowskiej” więc są nam już darowane. To ona również, gdy uniesiona honorem odmówiłam jedzenia obiadów w szkolnej stołówce, zmusiła naszego wychowawcę, prof. Józefa Bujnowskiego, żeby mi wybił ze łba te fanaberie. Bywała u nas i widziała jak jest „krucho” z jedzeniem. Córka Sybiraków wychowana na Syberii wiedziała co to jest bieda. Polscy zesłańcy zwykle po dłuższym

pobycie stanowili elitę tamtejszej ludności. Mongołów, którzy najechali Wilno kłokoczącymi czołgami witała z nutką sentymentu, oczywiście nie do następnej okupacji, ale do tych znanych z dzieciństwa skośnookich fizjonomii. „Za Niemców”, gdy sprzedawałam gazety i po coś z polecenia Mamy wpadłam na Mickiewicza do pp. Turkowskich wpakowała mi do gazeciarskiej torby dwa jajka. Ciagle się o nas martwiła. Trudno mi było odmówić choć w tym czasie dzięki napiwkom, które dostawałam w charakterze biednego dziecka ulicy „ekonomicznie” nieco nam się poprawiło. Danusia Turkowska pracowała razem z moją siostrą Halą sadząc kwiatki na grobach niemieckich żołnierzy. Była to praca nie lekka, niezbyt popłatna, ale na świeżym powietrzu i co najważniejsze, chroniąca od wywózki do Niemiec. Mamy nasze, to jest moja i Hali oraz Jurka i Danusi przyjaźniły się i utrzymywały jakieś kontakty. To p. Turkowska zaproponowała nam udział w konspiracji. Na szczęście byłam już zaprzysiężona w AK, bo oni byli zbliżeni do Narodowej Demokracji (chyba Stronnictwa Narodowego) i ani chybi zostałabym członkiem NSZ. Choć Jurek zginął jako żołnierz AK. Kto z nas siedemnastoletnich wyznawał się na tych arkanach polityki? Chcieliśmy się bić i... pięknie zginąć. Jurek pracował w jakichś warsztatach samochodowych. Aż poprostu zwiął od Rodziców do lasu. Zmartwieni rodzice poprzez konspiracyjną „góre” zciagnęli Synka do domu. Bo to zdrowie miał ponoć słabe. Był zbuntowany „zawsze myślałem, że pochodzę z patriotycznej rodziny”, ale Jego Mamie udało się z nim nawiązać kontakt, obiecała go wyekwipować na las (odpowiednie buty itp.) i już z rodzinnym błogosławieństwem posłać do tegoż lasu. Ale chłopak był ambitny i to odesłanie z lasu mocno przeżył. Ostatni raz rozmawiałam z Jurkiem, krótko przed Jego śmiercią. Byliśmy na cmentarzu, tam gdzie pracowały nasze siostry. Mamy miały coś do omówienia, więc powędrowaliśmy alejkami gwałtownie dyskutując. Byłam zdanie, że powinien prędko wrócić do lasu, bo „nawet Janusz Downarowicz jest już w lesie”. Jurek spytał dlaczego „nawet”, bo przecież Janusz jest od

niego ,od Jurka starszy. Moja przygłupia odpowiedź dotyczyła uroczej pani Niny, Mamy Janusza. Jednej z prawdziwych dam, które udało mi się w życiu spotkać. Wstydę się dziś tego argumentu; „bo jego matka jest Rosjanką”. Mówię też, że mimo moich usiłowań, mnie nie chcą wziąć. Jurek twierdzi, że to co robię to zupełnie wystarczy, choć optymistycznie jest zdania że bym się do tej leśnej eskapady dobrze nadawała. To troszkę jak ze zdobywaniem fortecy w Czarnym Borze. Oczywiście Jurek nie wie dokładnie co robię, tylko z tych pertraktacji o konspiracji wie, że coś robię. Twierdzi, że mój ojciec jest już na wojnie, a ja pomagam rodzinie. I w tej sytuacji to już dość. Ciągłe te argumenty ekonomiczne złością mnie, więc upieram się, że to nie dość. Rozmawiamy przyjaźnie, ale dość „gorąco” dyskutujemy. Jurek w końcu mówi „niedługo o mnie usłyszysz”. To była zapowiedź realizacji planu, który ułożyli z kolegą Turuto: rozbrojenia jakiegoś Niemca i powrotu do lasu z bronią. Plan był, jak się okazało dziecinny. Dwóch prymusów z gimnazjum Zygmunta Augusta :Jurek od nauk ścisłych i jego przyjaciel Turuto, wybitny humanista ,z jednym kiepskim rewolwerem zaatakowało Niemca na Górze Bułfałowej. Pistolet im się zaciął (a może nie umieli zabijać i liczyli, że się Szwab podda?). Dość, że to on ich postrzelił, a nie oni jego. Była godzina policyjna. Zawiadomiono pp. Turkowskich, że Jurek leży na tej Bułffatówce i się wykrwawia. Nie mogę sobie wyobrazić jak mogła to wytrzymać p. Turkowska. Ale wytrzymała. Nazajutrz wydano ciała chłopców rodzinom i pochowano ich obu w grobie rodzinnym pp. Turkowskich. Pogrzeb był szybki i cichy. Po pogrzebie przyszła do nas siostra p. Turkowskiej. Ciocia, która od lat opiekowała się Jurkiem i Danusią. Trochę nudna stara panna, trzęsąca się nad pieskiem Figielkiem. Od progu ciocia wystartowała falsetem: „czy wiecie już o tragedii?” Pomyślałam: „ani chybi Figielek zdechł”. Ale to była ta historia z Jurkiem. Bez ładu i składu opowiadała i powiedziała, że będzie msza za Jurka. Poszliśmy z Danką Lewicką na tę mszę. Rodziny nie widziałyśmy. A może ciotka albo i my pomyliłyśmy godzinę. Gdy szłam na mszę, świeciło

słońce. Myślałam, że też zginę i nie było mi smutno. Śmierć za Ojczyznę to było to o czym marzyliśmy. Jurkowi już się udało. Trochę głupio to wyszło, że nie rozbroił Niemca i nie wrócił tryumfalnie do lasu, ale cóż, na wojnie jak to na wojnie. Naogół prymusi szkolni gorzej się w wojennych przypadkach sprawdzają niż wagarujące łobuziaki. Ale dziś myślę z rozpaczą jakie niepowetowane straty poniósł nasz naród. Najzdolniejsi poeci, pisarze, fizycy zginęli z poczuciem, „że wpierw się jest Polakiem, a potem Fizykiem” jak twierdził mój Ojciec walcząc w trzech wojnach o Rzeczypospolitą. Czy w innych nacjach też tak rozrzutnie szafuje się krwią najlepszych?

KATYŃ I KOZIELSK

W tym czasie, gdy walczę z oporną materiałą ścierek i kotłów, Ojciec jest już w armii Andersa, stryj Jurek wciąż siedzi w Oflagu, a stryj Felo, nie żyje już od kwietnia 1940 roku. Właśnie o tym się dowiaduję w kuchni. Pani Jaruntowska (de Rosset) wpada do kuchni z gazetą, w której jest lista katyńska. Jest na niej stryj Feliks („urzędnik państwowy”). Obieram kartofle. Nie płaczę, ale mam ściśnięte gardło. Na tej samej liście są kuzyni Taty, ale ta jedna śmierć łączy się dla mnie z kimś osobiście mi bliskim. Po wojnie na grobie rodzinnym na Powązkach, zaraz pod napisem o Babci napisaliśmy „Feliks Jabłoński, sędzia sądu okręgowego, por. rez. art. oddał życie za Polskę w kwietniu roku 1940. Prochy jego spoczywają w obcej ziemi. Żył lat 43”. Poszedł do wojska na ochotnika. On zawsze troszkę ironiczny, z dystansem, złośliwie uśmiechnięty. Tu nie miał wątpliwości. Ukochany, najstarszy syn Babci. Przystojny, zdolny. Czemuś niespokojny. Wyprawa do Południowej Ameryki, ponoć aby zbadać możliwość osiedlania się tam Polaków, albo może rodzinna żyłka

włóczęgi? Bo przecież krewny Konrad Korzeniowski, czemuś marynarz i stryj Brunek też. Jak daleko z Ukrainy do mórz i oceanów, a jednak? Nieszczęśliwa miłość do tej jakiejś Nuny (a czy są miłości szczęśliwe?). Na szafce u mnie ciągle, po tym pół wieku, stoi ostatnie chyba zdjęcie stryja Fela. Na tle sosen (to jeszcze nie te z Katynia!), w skafandrze, w którym i dziś mógłby pójść na wycieczkę, wydaje mi się coraz młodszy. Różnica wieku między nami rośnie w zastraszającym tempie. A gdy umrę, dla moich dzieci będzie Stryj tylko mitem rodzinnym i tą zblakłą fotografią. Nikt poza mną nie pamięta już jego głosu, sposobu mówienia, ruchów. Tak bardzo chciałam być podobna do niego. Błyskotliwa, ironiczna, wspaniała. W głosie mego kuzyna Andrzeja czasem słyhać było podobną barwę. Troszkę, bardzo lekko kresową, przy starannym dobieraniu słów. Skąd, u Andrzeja urodzonego w Warszawie taki „podksórny” kresowy zaśpiew? Co prawda, Andrzej, podobnie jak i ja uwielbiał swych Wujów. Rósł w tym kulcie uprawianym przez Matkę i Babkę. Nawet dorywcze, ale często bolesne zapędy wychowawcze Stryjów znośli ze zrozumieniem. A po wielu, wielu latach, już w Londynie stwierdził ze zdumieniem, „ty jesteś z Wujami na ty, ja bym nie wpadł nigdy na taki pomysł”. On, wtedy w sile wieku, z niezwykłym oddaniem i serdecznością opiekujący się chorymi Stryjami Jurkiem i Brunkiem. Z żoną Brunka, Myszką był „na ty”. Co prawda to moje tykanie nie było moim pomysłem, tylko Brunona, który nie chciał mieć dorosłej siostrzenicy. Ale tymczasem Brunek jest w Anglii (w sztabie „Navy”), Myszka została we Francji (oboje byli we Francji na początku wojny, bo Brunek był jakimś attache wojskowym w Paryżu, wiadomo dwójkarz). O tym dowiem się dużo później. Chwilowo wiem, że Jurek jest w Oflagu, Ciocia Ira z Andrzejem w Warszawie. A Tato? Bóg to wie. Jeśli wymordowali jedną część oficerów, to może potem i resztę? Siedzę więc nad tymi kartoflami i trudno mi połykać ślinę. Pani Jaruntowskiej głupio, że mi to tak pokazała bez wstępu. Wiedziała, że Stryj jest w niewoli sowieckiej, ale o Stryjach mówiłam podobnie jak Babcia i Ciocia Ira

„Chłopcy”, więc myślała, że to jakiś młodszy Taty braciszek, a nie sędzia, pan w średnim wieku. Gdy słyszę okropne zarzuty pod adresem masonerii, widzę Stryja, który był wzorem uczciwości, prawości i był, jak to wykryła, likwidując w czasie wojny jego mieszkanie, Ciocia Ira, masonem. Nigdy nie ciągnęło mnie ani do Lwów ani do Rotarianów, uważam te organizacje za snobistyczne kluby. Ale w tamtej masonerii musiało być coś, co urzekło Stryja. Nie był karierowiczem. Tatuś opowiadał, że gdy raz w dzieciństwie poszli na spacer ze Stryjem i szli sobie wiejską, zakurzoną drogą, gdzieś tam na tej dalekiej i mitycznej dla mnie Ukrainie, to na tej drodze leżał nędzny trepek. Mały Felo podniósł go z tej zapyłonej drogi ucałował i powiedział młodszemu bratu, że to napewno bucik Matki Boskiej. Ojciec nie umiał opowiadać, ale gdy to mówił był wzruszony. Byłam już studentką. Chciał mi przekazać coś przez to dziecinne wspomnienie. Chyba to, że Stryj Felo był już w dzieciństwie marzycielem. Że był trochę, troszeczkę inny od nich, całej gromadki braci i kuzynów. Aha!, ich imona zawsze w domu kończyły się na „o”: Olo, Felo. Wyjątkiem był najmłodszy, o którym póki był mały Babcia podobno mówiła „Bruneczek”, ale potem już normalnie Bruno. No i Jurek, o którym czemuś mówiła Jerzy. Feliks, a nie Szczęsny, nie z oportunistycznym, żeby sobie obcy języka nie łamali, ale dlatego, że ich Babcia (Bilińska z domu Bobrowska) była Felicją. Na jej cześć też Ciocia Feluka Kruszewska, była Felicją, choć w domu nazywano ją właśnie Feluką lub Uneczka. To wszystko i wiele innych informacji o dziwnym, egzotycznym dzieciństwie Taty, Cioci i Stryjów można było wyczytać ze wspomnieniowych książek Feluki „Błękitny Ogród” i „Braciszek”. Ten Braciszek, najmłodszy z braci Kruszewskich, też został zamordowany w Katyniu (Bohdan Biliński, syn Józefa i Janiny, podporucznik, ur. 1910 roku). Znałam go tylko z książek Feluki. Biedna Cioci-Babcia Janinka, straciła w czasie I wojny dwóch synów, a w czasie drugiej, najmłodszego syna i Felukę. Biedne te Matki. O ile szczęśliwsza był Babcia Mania, nie dożyła listy katyńskiej i nie dożyła poniewierki

powstańczej. Śmierć może być dobrodziejstwem. Na liście był też Tadeusz Biliński, syn Wuja Ludzia, brata Babci Mani. Nie mówiło się Dziadka, ale Wuja, bo po śmierci pierwszej żony wujaszek ożenił się ponownie z bardzo młodą osobą i miał małego synka Michasia. Babcia delikatnie usiłowała odmówić młodą osobę od małżeństwa z bratem „czy nie za duża różnica wieku moja miła Maryniu? Ludzio to mój brat, bardzo porządny człowiek, ale ma syna w Twoim wieku”. Skąd to ja wiem? Znowu coś przy mnie opowiadano, jeszcze w Warszawie, a w Wilnie gdy złożyliśmy kurtuazyjną wizytę Wujowi tj. Tato i my z siostrą, jakoś mi się to skojarzyło. Ciocia Marynia kojarzy mi się z trategią żydowską. Która też rozegrała się w czasie mojej pracy w kantynie. Borowski napisał jakoś tak, że gdy strzelił „cornera” to w tym czasie zagazowano iluś tam ludzi. W tym jest wielka prawda, że mimo okropieństw i zbrodni, życie innych ludzi przebiega jakoś niezależnie, że mimo wszystko oni jakoś żyją. Ale o Żydach w kantynie już pisałam. Teraz chcę jakoś podsumować temat katyński. Bo ten temat istnieje w moim życiu, choć mam wstręt do publicznych demonstracji, Rodzin Katyńskich, pomników, kwiatów, ekshumacji. To nie o to chodzi. To nie była jedyna zbrodnia bolszewików. Byli specjalistami od morderstw, sfingowanych procesów i wywózek. Wiem o tym od dzieciństwa i nigdy nie miałam wątpliwości co do „autorów” zbrodni Katyńskiej. Ale publiczne rozdrapywanie ran, teraz gdy to” jest po linii” i nie wymaga żadnej odwagi (raczej odwrotnie) wydaje mi się jakieś nieszczerze. Już wymierają ludzie, którzy osobiście boleli nad tamtym mordem. Osobiście nie politycznie i nie koniunkturalnie.

Co było w tym czasie z Ojcem? Szczegółowo dowiedziałam się tego dopiero po jego powrocie. Czemuś trudno było zapełnić lukę tych pięciu lat, zostały w nich zupełnie białe obszary. Pamiętam jak mówił o lekcjach angielskiego w Kozielsku, o kłótni dwóch docentów czy profesorów o kartofel w zupie ,o utracie sił takiej, że już nie próbował pływać w stawku czy sadzawce, która była w Kozielsku. Nad którąś pryczą znalazł wydrapane imię i nazwisko

Stryja Fela. Mówił też, że NKWD wzywało na „doprosy”, na których zawsze powtarzał, w swojej bezbłędnej ruszczyźnie, że „zgodnie z konwencją genewską internowanych oficerów nie wolno zmuszać do żadnych zeznań”. Dano mu po jakimś czasie spokój, tylko, jak twierdził, za karę wstrzymano mu nasze listy. Może mu się tak tylko zdawało, bo z korespondencji nie wynikają przerwy dłuższe, niż wynikały z radzieckiego bałaganu. Inżynierowie rozwiązywali całki, chcieli go do tego namówić, ale wołał czytać „Klub Pickwicka” po angielsku, dar prof. Staszewskiego i uczyć się angielskiego, bodaj u prof. Alexandrowicza. To ten profesor, o którym pisze w listach. W tym czasie zaprzyjaźnił się z inż. Jelińskim, z którym korespondował do śmierci i którego poznałam na Taty pogrzebie. Po paru miesiącach Kozielska Tato był tak słaby, że oszczędzał siły przeważnie leżąc na pryczy. W książce ks. Peszkowskiego „Wspomnienia jeńca z Kozielska” jest plan obozu. Nie mam pojęcia, w którym budynku był Tato. Ten ksiądz siedział w Kozielsku I, a potem był w grupie przewiezionej do Griazowca, jedynej, która przeżyła Kozielsk I, oprócz tych, którzy byli wzięci do więzień. Ale domy były te same, tylko ludzie inni, choć nastroje podobne. 22 czerwca wybuchła wojna niemiecko-radziecka. Niedługo potem do Griazowca przywieziono internowanych z Litwy, Łotwy i Estonii, którzy tworzyli Kozielsk II. Było ich około 1200. Wśród nich mój Tato. Zaczęto płacić jakiś żołd, ale nic prawie nie było można kupić. Tatuś kupił srebrną łyżeczkę, która była oprócz rzeczy zabranych z domu i przesłanych do Kozielska jedyną pamiątką z Griazowca. Mimo zwolnienia, oficerowie dalej siedzieli w Griazowcu. Armia Andersa się organizowała, ale dopiero w początku września wyjechali do Tockoje. Był to obóz ćwiczebny Armii Czerwonej. Były tam bardzo prymitywne warunki. Tam odwiedził ich gen. Sikorski. Są jakieś nieostre, amatorskie zdjęcia z tej wizyty. A może to było już w Kołtubance? Gdzie była ta Kołtubanka? W Uzbekistanie? Jest „Rozkaz Dzienny Nr 62/41” z dnia 20.XII.1941 roku, w którym Naczelnny Wódz zarządzeniem z dnia

20.XII.1941 roku na podstawie Dekretu Prezydenta RP itd. mianuje kapitanem por. Aleksandra Jabłońskiego. W tym samym piśmie jest informacja o mszy w niedzielę 21.XII.1941 roku. Są aż trzy msze: w Kołtubance :dla Stacji Zbornej o godz. 8.30, dla chorych w Kołtubance (Ewako-Szpital) o 9.30 i dla żołnierzy Obozu w ziemiance 3-ej kompanii 7 Baonu Saperów o godz. 11.30. W razie pogody (temperatura powyżej - 10°C) msza miała być na placu 1-ej grupy. Podpisano Komendant Obozu (-) Gaładyk, pułk. dypl. Za zgodność - Szef Sztabu Boratyn kpt..

Na tej samej wymiętej, przebitkowej karteczce Taty przyjaciel podchorąży Jerzy Jeliński zostaje awansowany na porucznika. Na tej samej karteczce jest też kara: jakiś szeregowy usiłował sprzedać fufajkę (14 dni aresztu ciężkiego), tak niska, bo „Sprawy nie skierowałem do Sądu Polowego ze względu, że szeregowy xx okazał skruchę i przyrzekł, że więcej tego czynić nie będzie”. Ktoś inny, otrzymał urlop „w sprawach rodzinnych do Mamlutki”. Cóż było w tej Mamlutce, jak nie wywieziona rodzina Wachmistrza? Ci ludzie, którzy usiłowali sprzedawać wojskowe wyposażenie, błądzili po bezkresnym kraju, aby odnaleźć rodziny, chorowali, jak ojciec na żółtaczkę i malarię, jak wielu innych, na tyfus, ci ludzie zdołali po dalszej tułaczce bohatersko zdobywać Monte Cassino. Dalsza wędrówka Taty wynika z „Książeczki uposażenia oficera” wystawionej 15 stycznia 1943 roku w Baonie Saperów Armii. Aleksander Jabłoński, kpt. saperów, przybył do Iranu 22.VIII.42 roku, do Iraku 6.IX.42 r., przydział Ośrodek Wyszkożenia Saperów. W oryginalnym druku było „Data przybycia do Francji” i „Data przybycia do Wielkiej Brytanii”. Historia toczyła się dalej, więc zmieniono ręcznie na Iran i Irak. Dane o rodzinie podane z pamięci, mnie Tatus postarzył o miesiąc, Hali podał dobrą datę urodzenia. Nie mam pretensji o niepamiętanie o moich urodzinach, po tych wszystkich obozach i podróżach. Wyłaty ciągną się do sierpnia 1943 roku. Z dodatkiem „kolonialnym” i dodatkiem „tropikalnym”. Do książeczki dopięta jest

„spłata za sorty mundurowe” kpt. doc. Aleksandra Jabłońskiego zapłacona w Glasgow 21.04.1945 r. „Kpt. docent” mieszka w tym czasie w Edynburgu przy Chalmers Crescent 10 i wykłada na Polskim Wydziale Lekarskim. Jak się tam kapitan docent dostał? Wpierw jak się wydostał z Uzbekistanu. Miał akurat atak malarii, przeszło 40°C gorączki, ale go życzliwi koledzy wciągnęli na statek, bo chorzy mieli zostać i się „kurować”. Jednak malaria i żółtaczka, no i wiek, w końcu dla rezerwisty 45 lat to dużo, spowodowały, że ojca przeniesiono ze służby liniowej do Komisji Regulanimowej. Lektury angielskiego przydały się, bo tłumaczył angielskie regulaminy na polski. Okropnie to było podobno nudne. A Polski Wydział Lekarski potrzebował Fizyka. Więc doszedł do wniosku, że skoro i tak nie „w linii” to może się zgodzić na ten Edynburg. I mam tajne pismo z dnia 3 kwietnia 1943 roku. Hasło transportu PIF/2/3. W dniu 3 kwietnia 1943 roku odjedzie ze stacji KHANAQUIN (boczn. MUBARAK) transport do Wielkiej Brytanii przez Kanał Suezki w składzie: kpt. Jabłoński Aleksander z c.w.sap. - komendant transportu, 650 żołnierzy wszystkich stopni ze Stacji Zbornej Lotników, 1 oficer + 74 szeregowych z O.Z.A. przeznaczonych do wojsk spadochronowych, razem 725 żołnierzy wszystkich stopni, w tym 15 kucharzy, którzy powrócą pod rozkazami MEF. Następny transport, 5 kwietnia prowadził kpt. Stefan Siennicki. Ojciec po raz pierwszy w życiu dowodził tak dużą grupą wojskowych. Opowiadał, że byli to bardzo mili, przeważnie inteligentni chłopcy. No cóż, nie wielu z nich pewno przeżyło bitwę o Anglię i Arnheim. Tymczasem, mimo łodzi podwodnych, nastrój był dobry. W południowej Afryce wyszli na chwilę na ląd. Opłynęli Afrykę, bo były kłopoty z niemieckimi łodziami podwodnymi. Statek, bodaj jakiś elegancki, pasażerski z „błękitną wstęgą”, mimo, że napchany wojskiem, był wygodny. W czasie mszy polowych Ojciec czytał po polsku modlitwy. Choć to było przed soborem? Chyba tylko Ewangelię, bo ksiądz był pewno anglojęzyczny. Ścisłe tajne pisemko o transporcie to też szmatława przebitka, z dużą ilością

informacji (na stacji 4 godz. przed odjazdem pociągu, bagaże itp., transport jest samowystarczalny, wszystkich żołnierzy należy zaopatrzyć w żywność, kotły i przybory do gotowania oraz bańki na wodę wyda itp. Wyznaczeni kucharze przywiozą ten sprzęt z powrotem. Wojna ma specjalną, zwiariowaną logikę, wozi się kotły i bańki z Bagdadu do jakiegoś Mubaraku, potem eleganckim statkiem niemal naokoło świata i z powrotem z 15 kucharzami do Bagdadu. A 650 obiecujących młodych ludzi uczy się latać samolotami i ginąć „ku chwale Ojczyzny”, choć pożytek z tego ginięcia będzie raczej dla cudzej ojczyzny. Ale kpt. docent doprowadził szczęśliwie transport do Wielkiej Brytanii, gdzie pismem Sztabu Naczelnego Wodza kpt. A. J. zostaje przeniesiony do Stacji Zbornej oficerów w Rothesay skąd uzyskuje urlop bezpłatny od 1.09.1943 roku. Ma oczywiście zawiadomiać o miejscu zamieszkania Stację Zborną, no i urlop może być cofnięty. Podpisany Szef Sztabu Naczelnego Wodza Kopański, Generał Brygady. Wojsko jest dziwną instytucją, urlopowanie schorowanego kpt. docenta musi podpisywać generał? I to Szef sztabu Naczelnego Wodza? W komunizmie są jakieś wojskowe wpływy, bo też wszyscy ważni musieli podpisywać byle papierek.

KONSPIRACJA I SZPITAL

Wojna trwa. A ja ciągle nie biorę w niej udziału. Okropność. Ale zbliżam się do opisanie mojej, niezbyt chwalebnej, kariery konspiracyjno-wojskowej. W kuchni było mi coraz lepiej. Ale Mama z uporem próbowała przeprowadzić nas do Warszawy. Babcia już nie żyła, Ciotka Ira dość niepewnie (po wojnie przyznała się, że trudno jej było pisać o łapankach itd., ale myślę, że oprócz wszystkiego innego pomysł z rodzinnym kołchozem był jej bardzo

niewygodny). Z Andrzejem oboje kospirowali, flirtowali, byli parą zgranych kumpli. A tu chora kobieta i dwie dzierłatki niedostosowane do okupacyjnej Warszawy. Nie chciałam jechać. Po pierwsze, tu miał być wg mnie bój o miasto no i wreszcie miałam zostać orlątkiem (wileńskim), po drugie, zdałam sobie sprawę, że tam w nowym otoczeniu będę przez jakiś czas bezsilna, oddana na łaskę lub niełaskę rodziny, której zwalimy się na głowę. Do tego zostałam żołnierzem AK. Trochę późno, miałam już 17 lat i byłam w I licealnej. Jesień. Pokój w domu Pani Tuni Skorkowej. Pani Tunia wyjmuje skądś tekst przysięgi, podaje mi krzyż. Powtarzam patrząc na tę jesień za oknem. Żadna tam polska, złota. Dmucha wiatr, dmie liśćmi. Zapamiętać na całe życie! Mam wtedy nadzieję, że niedługie. Wspaniałe no i bohaterskie. Obowiązki konspiracyjne są bardziej uciążliwe niż fascynujące. Dostaję okropnie (sztucznie) spatynowaną stolnicę o ogromnie grubym blacie. Tam jest archiwum, które prowadzę. Dostaję też „młotek” do kotletów (przyrząd mało użyteczny w okupacyjnej rzeczywistości) nafaszerowany mądrościami, których mi pod żadnym pozorem nie wolno oglądać. Do tego książka, na podstawie której działa szyfr przeze mnie używany, który nazywa się „ogórek”. Umówiona pozycja w szeregu cyfr daje stronę i wiersz, na podstawie której inne cyfry przyporządkowane są literom. To dziecinnie łatwe, póki ten ktoś z drugiej strony nie popełni błędu. Jeśli tak, to całą noc można próbować, przestawiając kolejności, zmieniając cyfry, aż zaczną się składać słowa. Raz po takiej całonocnej walce przez pomyłkę spaliłam nie tylko szfrowania, ale i zaszyfrowany tekst listu. Było już rano. Zaraz trzeba było wychodzić do pracy. Pokusa, żeby schować odszyfrowany tekst i wieczorem zaszyfrować. Ale przysięga? Błyskawicznie zaszyfrowałam, już bez błędu, schowałam zaszyfrowany tekst, odszyfrowany „po drodze” odniosłam do p. Tuni. To odnoszenie to troszkę jak zabawa w Indian. Wpierw trzeba sprawdzić, czy nie wisi w oknie ręcznik, a potem czy patyk leży przy zamku od furki, a dopiero potem dzwonić. Do furki przyjdzie pewno p. Zdrojewska Matka

p. Tuni i powie coś obojętnego. Oddam zgodnie z przepisem. Nawet wyprężyć się wojskowo nie ma okazji. Brak jest otoczki „romantycznego patriotyzmu”. Żadnych kontaktów z rówieśnikami, żadnych egzaltacji. Robota, obowiązek, rozsądek. Co było w tych szyfrogramach? Znow przeważnie niepojęte informacje. Że ktoś tam o takim a takim pseudonimie awansuje np. z podporucznika na porucznika czasu wojny, że łącznik w Warszawie w jakimś sklepie rowerowym ma pytać o pompkę do roweru na co mu tak i tak odpowiedzą i tym podobne konspiracyjne biurokracje. Czasem jednak bywało coś fascynującego, że dech zapierało. Np., że będzie zrzut na Bastion Zaskrońców, sygnały lampą nr jakiś. To już była wojna „na porządną skalę” nie tam jakieś idiotyczne pompki do roweru. Choć dziś wiem, że te „pompki”, łącznicy, łączniczki stanowili siłę AK, a te zrzuty to był margines bez większego znaczenia. W ogóle miasta się nazywały przyrodniczo, jakieś Ule, Mateczniki, Zaskrońce i nie pamiętam co tam jeszcze. Wiedziałam, że jestem żołnierzem AK, ale nic o organizacji więcej. Teraz niedawno pytałam p. Tuni, gdzie właściwie służyłam? Był to sekretariat Szefa Sztabu Okręgu Wileńskiego pułkownika Lubosława Krzeszowskiego (pseudonim „Ludwik”). Pani Tunia była tam osobą ważną, ja jednym z wielu pomocniczych pioneczków. Pocieszam się, że jednak pożytecznych. Komendantem Okręgu był pułkownik, potem generał Aleksander Krzyżanowski (pseudonim „Wilk”). Okropna polska dola, taki wspaniały człowiek i żołnierz, jak generał Wilk, męczony nie tylko przez następnych okupantów i własnych renegatów z Bezpieki, ale obrzucany również przez swoich zarzutami „zdrady”. Ale to był epilog, tragiczny epilog Burzy nad krajem. Tymczasem króluję nad moim fałszywym sprzętem kuchennym i na chwilę wydaje mi się, że robię co należy. Toteż nie chcę nigdzie jechać. Do żadnej Warszawy. Tu daję sobie już radę. Kradnę w Kantynie jedzenie, uczę się, konspiruję. Mieszkanie podłe, ale niezależne. Wspominam epopeję mieszkania u pp Lewickich i upieram się jak osioł.

Mało jest romantycznych elementów w mojej działalności. Raz p. Teresa, sąsiadka z podleśnych baraczków zwierza się, że jacyś chłopcy przynieśli w bańce na mleko stację (nadajniczek), popracowali na niej i znikli. Szuka kontaktu komu oddać. Mówię, że może znajdę kontakt. Idę na fizykę do p. Tuni, która mieszka już nie u nas, ale i nie w swoim domu. Jestem cała dumna, że... ten nadajnik. Mówię dość głośno. Jestem stanowczo ofuknięta, żeby ciszej. „Ale ja się nie boję”. Na to burza, o głupotę. Spalę jej kwatere. Nie chodzi o mnie. Odwaga, to nie głupota, ani nieostrożność. Ale... bańka jest od p. Teresy zabrana. Po paru dniach. Drugi przykład jest trudniejszy i to już z następnej pracy. Bo te projekty wyjazdowe zaowocowały jedynie utratą mojej intratnej pracy. Trzeba było dać zaświadczenie, że się nie pracuje w ważnej dla wojny instytucji (takiej, którą chronią od wywózki). Zwolniłam się z kuchni, a potem po odmowie pozwolenia na wyjazd do Warszawy na gwałt musiałam coś łapać chroniącego od wywózki do Niemiec. Jedyne co mi się udało to był szpital wojskowy, w dawnych budynkach USB, przynajmniej blisko od domu, ale 12 godzin pracy i bez żadnego sensu materialnego. Ten wyjazd Mama załatwiła przez jakąś p. Halinę, która pracowała (czy tylko?) u jakiegoś oficera. Skąd Mama ją wytrzasnęła nie mam pojęcia. Była u nas na wigilii. Pamiętam, że Mama grała, a ona nas uczyła angielskiego walca. Hala miała oczywiście lepsze wyniki, ja dopiero jakoś wybrnęłam, gdy prowadziłam „za chłopca”. I to ona obiecała załatwić przez tego swego pracodawcę pozwolenie na wyjazd. Warunkiem było zaproszenie go do nas. Mama wysłała nas z domu, facet był z p. Haliną. Jak to się odbyło, nie wiem. Dość, że był niewypał z tym wyjazdem i szukanie na gwałt pracy. Tę pracę bodaj naraiła znów p. Halina, przez jakąś swoją przyjaciółkę, która... przyjaźniła się z sanitariuszem („bardzo pożądanym Niemcem, a właściwie Austriakiem”). I bez tej protegi przyjęto by mnie jako „putzfrau” do tego szpitala. Dziwne, że nie czułam do p. Haliny pretensji ani żalu. Była to miła, fertyczna blondynka z niebieskimi oczami, dość głupia. Zawsze uważam, że od

pewnego typu ludzi nawet Pan Bóg mniej wymaga, bo ich takimi stworzył i na więcej ich nie stać. Reasumując, zostałam czymś pomiędzy sprzątaczką i sanitariuszką w wojskowym niemieckim szpitalu. Dobiłam do grupy dziewcząt na oddziale, którego oznaczenia nie pamiętam. Przełożoną pielęgniarek i naszą szefową była siostra Maria. Zobaczyła mnie w biurze jak się angażowałam i od razu powiedziała „taka uczenniczka, ja chcę ją do siebie na oddział”. Łaskawość siostry Marii i protekcja tego mitycznego sanitariusza nastroiły od razu dziewczynki z dużym do mnie dystansem. Gdy przyszłam, było ich cztery. Krysia, duża, spokojna, atletycznie zbudowana dziewczynka, troszkę mongolskie małe oczy, bardzo sympatyczna twarz. Krysia chciała zostać nauczycielką, mówiła rozsądnie, mało i z namysłem. Druga, to mała, ruda, bardzo tu i tam ciekawie zaokrąglona Jadźka. Jak często u rudych bardzo jasna, troszkę różowa i okropnie piegowata cera. Czysto i starannie ubrana. Miła, koleżeńska, choć prymitywniejsza od Krysi. Obie dziewczynki 16-17 lat, znały się już ze szkoły, bo były z „Nowostrojki”, dzielnicy prymitywnych domków zlokalizowanych stosunkowo blisko Zakretowej, tj. szpitala. Krysia była z „lepszej” rodziny niż Jadzia. Gdy mnie Jadzia zaprosiła do domu, Krysia powiedziała, że rodzice by jej nie pozwolili tam pójść, gdyby nie to, że ja idę („bo u Jadźki się dużo pije, to jest oczywiście nie ona, ale u nich w domu”). U Jadzi z tą wizytą byłam dużo później, gdy już mnie dziewczęta jako tako zaakceptowały, na święta Wielkanocne. Pamiętam pisanki z polskimi orłami wyskrobanymi na gotowanych w cebulowych łupkach jajkach, wujka czy dziadka („dziadzia” to tam był wujek) śpiewającego przy harmoszce, ładnym choć troszkę przepitym głosem legionowe piosenki, i w ogóle miły serdeczny nastrój domu. Jakoś już przywykłam do wileńskiego ludu, to też nie raziłam ich tak bardzo jak na początku mej zawodowej kariery. Pieprzne żarty nie przyprawiły mnie już o płacz, zaciagałam nieźle z wileńska, nie narzucałam się ze swą szkolno-kompletową erudycją. Opracowałam sobie metodę działania, więcej słuchać niż

mówić i często udawać głupka, który nie rozumie o co chodzi. Jadzia i Krysia zaakceptowały mnie najłatwiej. Gorzej było z Marysią i Władką. Marysia, blondynka o wypukłym, wysokim czole i troszkę wyłupiastych choć ładnych oczach, zgrabna, ze spuszczoneymi półdługimi włosami była dużo bardziej od nas zainteresowana damsko-męskimi sprawami. Opowiadała bzdurne historie o domniemanych sposobach antykoncepcyjnych działań („wystarczy wpiąć igłę w koszulę”) i piszczala gdy ją sanitariusz okręcił w kółko udając taniec „czułam jak mu stanęło”. W sumie dużo piszczala i nic nie miała przeciw takim „przytułankom”. Zachowanie mężczyzn bardzo zależy od sposobu zachowania kobiet: do mnie, do Krysi ani do Jadzi nikt się z łapami nie pchał. Praca nasza polegała na sprzątaniu, paleniu w piecach (tak, tak, były tam piece!), sianiu łóżek, podawaniu jedzenia. Między tymi czynnościami były puste godziny lub półgodziny. Już się napaliło, posłało, umyło podłogi, naniósł węgiel i drzewa na następne palenie, wydało śniadanie i... przerwa. Potem sprzątanie pokoi sióstr, pokoju opatrunkowego, kuchni (w której porcjowało się jedzenie przywożone z prawdziwej kuchni), czasem jakies prasowanie dla sióstr. Potem obiad, zmywanie, znowu łóżka, kolacja itd. W antraktach „zapadałyśmy” w salach, które były „na odwszawianiu” (kolejno były wszystkie). Trochę tam śmierdziało chemią od tego odwszawiania, ale można było chwilę odsapnąć nie włączając siostrom w oczy, że się nie ma roboty. Węgiel i drzewo, mokre szczapy brzozone, nosiło się z podwórka. Węgiel trzeba było odstukać łomem, bo był zamarznięty. Pomagali jeńcy sowieccy, którzy pilnowali węgla, rąbali drzewo i palili opatrunki. Czasem nosiłyśmy im chleb. Na teren właściwego szpitala jeńcy nie mieli wstępu. Jeńcy strugali z drzewa zabawki i próbowali je sprzedawać. Napewno mieli ciężko, ale jednak trochę lepiej niż gdzie indziej, bo z głodu nie marli. O nas, dziewczynach, byli kiepskiego zdania. Podejrzewali nas o konszachty z Niemcami. Po węgiel w porządnym wileńskim mrozie biegałam w fartuchu i jakoś nawet kataru nie dostawałam. Lubiłam te wypadki, bo siedzenie w szpitalnym smrodzie przez

cały dzień było okropne. Marycha była flirtiarą. Wpierw Stefan, osiemnastoletni młynarczyk, bodaj z Saksonii, katolik namówił nas na chodzenie na niedzielną mszę. Ksiądz był zdumiony, że znam łacińską ministranturę, znów wyszła na wierzch moja inność. Stefan „uderzał do mnie” wcale nie grzesznie i niewojennie. Poprostu poważnie chciał ze mną „chodzić”. Wytłumaczyłam mu, że jest wojna i żadna porządna polska dziewczyna nie może chodzić z Niemcem. Według niego wojna była z komunizmem, a ja chyba nie chcę żeby jego, Stefana ci wstrętni komuniści zabili. Nie, nie chciałam aby nikt nikogo zabijał, ale... była wojna. Wojna polega na zabijaniu. Do Ruskich nie miałam sentymentu, ale... byli sojusznikami (o tyle o ile). Stefan był miłym, porządnym chłopcem, ale... nie miałam aspiracji młynarskich. No i był Niemcem. Rozżalony zaczął umawiać się z Marychą, która prędziutko go puściła dla... sierżanta. Wtedy przyznał mi rację, że porządne Polki nie chodzą z Niemcami. Do końca swego pobytu (ozdrowieńcy zostawali jakiś czas jako pomocnicy) był życzliwy. Czwarta dziewczyna to była Władzia. Chyba nieślubne dziecko, dość zaniedbane i bardzo biedne. Bolały ją wciąż zęby. Gdyby trochę więcej o siebie dbała i gdyby nie puchła od tych zębów, byłaby bardzo przystojna. Ale i dziewczyny i siostry traktowały ja nieco „z góry”, a ja usiłowałam na niej wypróbować swe mierne zdolności wychowawcze. Ze skutkiem takim jak kiedyś na kucharce Emilce. Kiedyś gdy narzekała na brak pończoch przyniosłam jej jakieś pończochy z domu w prezencie, a wtedy okazało się, że ... miały niewłaściwy kolor. Było mi głupio. Tym bardziej, że w domu musiałam długo tłumaczyć, że to dla dziewczyny, która jest od nas biedniejsza. W to jakoś Mama nie wierzyła. Dzięki utracie mojej wspaniałej kuchennej posady znów wpadliśmy w biedę i trudno było uwierzyć, że są jeszcze ubożsi od nas. Władzia była sentymentalna, chciała żeby się w niej wszyscy kochali, ale efekty były średnie. Usiłowałam nad nią czuwać, aby nie wpadła w jakąś głupotę. Taki był zestaw dziewcząt, gdy zaczęłam pracować. Potem doszła Genia o dziwnym statusie.

Ciągle ją wywoływano do administracji, dużo mniej gnano do roboty. Sprawa się wyjaśniła, gdy zaczęła opowiadać historię swego życia. Co w tym było prawdą, nie wiem. Przynajmniej w początku tej historii było z pewnością dużo fantazji. Ponoć jej matka z nią malutką uciekła z Rosji, umarła i zostawiła ją ludziom, którzy ją wychowali jako rodzice. Ona jest więc białą Rosjanką i chce walczyć z komunizmem w Rosji. Spotkała mężczyznę z wywiadu (nie wiem na jakim stanowisku), wyszła za niego za mąż, co jest też niepewne, bo narzekała, że on ma zdjęcia jakiejś kobiety z dzieckiem. To też czy formalnie się pobrali nie jest pewne, natomiast jest pewne, że żyli ze sobą, bo raczyła nas informacjami z tej dziedziny. Szczególnie z nocy poślubnej tj. pierwszej. No i ten „mąż, nie mąż” wciągnął ją do wywiadu na informatora. Tu się zaczął kłopot. Głupia była ta Genia, że hej. Zakochana w facecie i do tego ubrdała sobie walkę o carską Rosję i arystokratyczne pochodzenie. Tyle nieszczęść i głupoty w jednej dziewczusze. Zameldowałam o niej p. Tuni, ale z prośbą, żeby jej nie zabijali. I po paru dniach wysłuchałam jak ją złapali, nabili i przykazali, żeby na nikogo nie donosiła, bo wtedy zabiją. Myślę, że z niej niemiecki wywiad i tak nie miał wielkiej pociechy. Jeśli na kogo mogła donosić to na moje nieostrożności, kiedy np. pomorzakowi Władkowi zaproponowałam, że dam mu kontakt do lasu. Ale on przemyślał, że po zranieniu należy mu się urlop do domu, a potem... może się wojna skończy. Tę ryzykowną rozmowę podjęłam, gdy ślązaka „Czczotkę”, miłego, wesołego chłopca, który uciekł przy pomocy swojej polskiej dziewczyny, złapano, rzstrzelano i pochowano z honorami wojskowymi na cmentarzu wojskowym na Zakrecie. Była to cholerna amatorszczyzna z tym uciekaniem. Rodzina oczywiście dowiedziała się, że „zginął na polu chwały”, być może nawet, że został zabity przez polskich bandytów. Nosiliśmy „Czczotke”, tak go dziewczyny nazywały, bo ponoć świetnie tańczył, kwiatki leśne na tą jego „wojenną” mogiłkę. Toteż gdy Władek jęczał, że jest Polakiem, i że nie ma ochoty za niemiecką ojczyznę odmrażać sobie brzucha na ruskim

śniegu podjęłam ostrożnie ten temat o polskim „lesie”. Było to na szczęście jeszcze przed nastaniem Geni, a Władek, choć ginąć za polską ojczyznę też nie miał ochoty, nie był kapusiem. Sprawa wcielanych do armii niemieckiej Pomorzaków i Ślązaków, z którą zarówno w kuchni, jak i w szpitalu się stykałam, to jedna z tragicznych kart ostatniej wojny. Podpisywanie list było wynikiem innego, nie sentymentalnego i nie romantycznego podejścia do sprawy narodowości i antypatii do „Galicjaków”, którzy biegli w polskiej ortografii obsiedli urzędy na Śląsku i na Pomorzu. Miejscowi czuli się lepsi i niedocenieni. Poza tym „co Polsce z tego, że nie podpiszę listy, wszystko mi zabiorą, wysiedlą no i co? A potem zrobią plebiscyt, a nas nie będzie?” Nie przewidywali jakoś, że będą musieli bić się za wielkie Niemcy. W tej tragedii było pełno naszych, polskich błędów. Podobnie jak w „repatriacji” Mazurów i Ślązaków w ostatnich latach. Rozpisałam się o dziewczynach, bo potem straciłam je zupełnie z oczu. Czy Krysia została nauczycielką? Mam nadzieję, że tak. Władkę zobaczyłam w Białymstoku jako Berlingówkę. Była w mundurze i kierowała ruchem jakichś wojskowych pojazdów, zeskoczyła ze stanowiska i żeśmy się serdecznie uściskały. Ponoć byłam dla niej miła w tym szpitalu. O pończochach też mi wspomniała. Tak mi mignęła w drodze na Berlin. Co było dalej z Genią, nie wiem. Pamiętam, że pod koniec mojej szpitalnej kariery ten jej facet gdzieś wyjechał, pewno ich cofali prędeż. Ale, że gdy się front się zbliżał i „nasz” szpital ewakuowali to do następnego już frontowego się nie zgłosiłam, więc straciłam kontakt z dziewczynami. Był już taki bałagan, że do Niemiec na roboty nie miał kto wywozić. Więc ta praca straciła sens. W szpitalu trudno mi było się uczyć. Chciałam się z niego wydostać, jeszcze przed tym zbliżaniem się frontu. Musiałam, zrobić do końca maturę. Przyniosłam „lipne” zaświadczenie lekarskie, że nie mogę pracować w zimnie i w mokrym, bo mam reumatyzm. Swoją drogą, mogli mnie przebadać! Ale zamiast tego, siostra Maria uzyskała dla mnie ... pracę na pół etatu. Było to świetne, bo pieniądze i tak nie miały sensu,

pół płacy czy cała, a czasu na naukę więcej. Pracowałam „tylko” 7-8 godzin dziennie. Ale wobec znikomego pożytku z tej pracy dla utrzymania rodziny wpadłam na następny „genialny” pomysł. Acha, nie pisałam o moim pierwszym „genialnym” pomysle. Otóż jeszcze w kuchni zgłosiłam u pani Tuni chęć rzucenia tego wszystkiego i pojęcia do lasu. Te szyfry nie zaspakajały mojej chęci do „ginięcia za ojczyznę”. Mało się o to modlić, trzeba „Panu Bogu dać szansę” na spełnienie modłów. Pani Tunia na szczęście mnie nie wyśmiała, ale poważnie powiedziała, że utrzymuję rodzinę, Ojciec już jest na wojnie, a AK powinna, gdyby mnie zaangażowała w większym stopniu, wziąć na swe finansowe barki Mamę, a to im się nie opłaca. Był to argument druzgocący. Cóż taki 1,5 m żołnierzyk i to dziewczęcy nie jest wart ekspensu. Zacisnęłam wargi i nie rozbeczałam się, bo jakoś w czasie wojny nie byłam beksą. Ale teraz miałam pomysł „bis”! Już całkiem oryginalny i własny! Otóż inteligencja wykręca się od wywózki do Niemiec i jada takie bezbronne dziewczęta, jak te „moje” w szpitalu. Dam się wywieźć i nieść będę „kaganek oświaty” wśród tych prostaczków pilnując aby się zachowywali w sposób godny Polaków. W pomysle było zmęczenie beznadzieją szpitala i zapach wielkiej podróży. Jestem po przodkach marynarzach i wędrownikach włóczęgą wprost genetycznym. Ale i ten pomysł dowódczymi „nie leżał”. Ponoć już inni, bardziej doświadczeni życiowo, dbają o naszych wywiezionych. Wydawało mi się, że doświadczenie życiowe mam przy swoich 18 latach ogromne (gazety, kuchnia, szpital). To też choć poddałam się wyrokowi, uważałam, że nie jest słuszny. Nie brałam pod uwagę tego co jeszcze miało nas spotkać i chorej na serce Mamy, która mogłaby nie przeżyć zmartwienia i braku wiadomości o mnie. Pani Tunia była mądrzejsza, ale „by rozum był przy młodości” trochę trudno. Dość, że wciąż walczyłam ze stolnicą i przechowywałam młotek, zgodnie z rozkazem do niego nie zaglądam.

Skoro już tak rozpisałam się o szpitalu to jeszcze trochę o stosunkach Polacy-Niemcy-Litwini. Stosunek Niemców do Polaków zmieniał się na korzyść, w miarę coraz gorszych klęsk na wschodzie i bombardowań „w domu”. Zmniejszał się też zapał wojenny. Ranni żołnierze leżąc na sali (w której wisiał portret Hitlera) wyrzekali, że „wojna to gówno”. Opowiadali o rozwalonych domach, o zabitych członkach rodzin, o warunkach na froncie i w szpitalnych pociągach, w których jechali do naszego szpitala. Te pociągi to była prawdziwa tragedia. Byle jak opatrzeni ranni, byli upakowywani do pociągów, a w Wilnie segregowano trupy i żywych, żywych rozbierano do naga, myto, golono na całym ciele, drobiazgi osobiste dawano też do odwszenia. Dostawaliśmy tych półumrząków nie tylko rannych, ale poodmrażanych i z zapaleniem płuc. I dopiero u nas zaczynało się badanie, segregowanie na oddziały, operowanie itp. Każdy taki „pociąg szpital” to seria nowych, ciężko chorych i rannych. Byli to w dużym procencie 18 letni chłopcy z ostatniego poboru płaczący w gorączce „Mutti”. Doświadczone wilki polarne nie odmrażały się tak paskudnie ani nie zaziębiały. Ci starsi byli poprostu ranni. Jeśli mieli szanse wyżyć byli zadowoleni nawet z amputacji („tą gównianą wojnę mają już z głowy”). Trudno mówić o nienawiści do „półumrząka”. Jest bardziej człowiekiem niż wrogiem. Pamiętam chłopca (dziewczyny nazywały go „czarnym”, bo był brunetem). Jak go przywieźli był okropnie chory, w gorączce błagał, żeby mu mama zamieniła poduszkę, bo się przepociła i mu mokro i gorąco. I żeby z nim pobyła. Gdy siostry nie było brałam czyste poduszki z innych łóżek i podkładałam chłopcu. Smarowałam mu wodą usta i starałam się go uspokoić. Po paru dniach memu podopiecznemu gorączka spadła. Poprosił żebym przy nim posiedziała, bo mi musi coś powiedzieć. Otóż gdyby mógł, to by mi podarował kwiaty, ale że nie może to chce mi podziękować. Byłam dla niego jak rodzona siostra. Zabierali go do innego szpitala. Nie mówiłam nic o wojnie i o wrogach. Był to inteligentki chłopiec zgubiony w brutalności wojny. Gdy wydobrzył nieco, byłam spokojna,

ze się nim zajmą Niemeczki. Był przystojny, a one leciały na romanse, nawet parodniowe. Niektóre na nocnych dyżurach wędrowały z łóżka do łóżka. Byłam świadkiem awantury pomiędzy sanitariuszem i niemiecką sanitariuszką („dlaczego do mnie nie chcesz przyjść?” „Bo mama się będzie gniewać,” „czemu ma się za mnie gniewać jak w nocy byłaś u.”.. i tu długa lista imion.). Nawet siostra Maria, katoliczka, która została niezamężna, bo nie chciała wyjść za protestanta, przeżywała romans z ozdrowieńcem Piotrusiem. Chciała go zatrzymać, ale złośliwi naplotkowali i poszedł na urlop, a potem na front. Pamiętam wpierw, jak ta surowa siostra o wyglądzie zakonnicy i nieposzlakowanej uczciwości, zaczęła raptem dbać o siebie, nucić jakąś piosenkę o „Petele”, spotykać się z tym Piotrem sam na sam (w szpitalu takie sam na sam są okropnie widoczne!). Jak siostra Agnieszka „Końska Gęba” (przydomek obraźliwy dla szlachetnych rumaków, jeśli się ją zobaczyło) przygadywała sobie chłopca, dziewczynki szły patrzeć przez dziurkę od klucza, co też tam oni robią. Odmawiałam je od tego ze średnim powodzeniem. Baba była wyjątkowo antypatyczna i dla nas niemiła, zawsze jej było źle. Toteż zmieniający się garnitur wielbicieli bawił dziewczyny nieźle. „Takie sprawy” musiały być załatwiane w dzień, bo pokoje sióstr były wspólne, a nie każda, jak ta Anna - Maria łajana przez sanitariusza, chciała „kochać się” w towarzystwie widzów. Wojna to taki mały koniec świata. Zmienia często reguły, których ludzie przestrzegali w czasie pokoju. Bardzo mi było żal siostry Marii, gdy Piotr wyjeżdżał. Lubiliśmy też inną siostrę Małą Anię. Była bardzo spokojna, rzeczowa i pracowita. Gdy zginął jej brat lotnik, przy mnie dostała telegram, wydawała obiad. Siostry chciały ją zwolnić. Otarła oczy i dalej porcjowała zupę, mówiąc, że też musi spełniać swój obowiązek. Dziewczyny nazbierały fiołków i postawiły w jej pokoju przed fotografią brata. Nie protestowałam. Zaimponowała mi siłą charakteru i determinacją. Dzięki takim jak ona i jej brat Niemcy doszli aż do Moskwy. Ze zmarłymi i z ludzkim bólem się nie walczy, nawet na wojnie. Siostrzyczka za kwiatki

nazajutrz podziękowała. Oczywiście miała zapuchnięte, ale fartuch jak zawsze nienagannie odprasowany. Niemieccy żołnierze byli bardzo różni, jak to ludzie. Tylko maszerujący oddział składa się z prawie identycznych żołnierzy. Najgorsi byli SS-mani. To nie jest odkrywcze, ale nie chodzi o ogólne ich „osiągi”, ale o ich rolę w szpitalu. Jeśli był na sali SS-man, nie słyszało się, że „wojna to gówno”, ani nikt nie wygrażał „wodzowi” za zbombardowany dom. Miałam takie standardowe „odzywki” na propozycje pójścia na spacer, gdy już chory wstanie (nie chodzę z Niemcami itp.). Raz powiedziałam coś takiego na sali gdzie leżał SS-man i wynikła awantura z wnioskiem o wyrzucenie mnie ze szpitala i wysłanie do najciężej bombardowanych okolic Niemiec. Wzmogłam ostrożność, bo niestety leżeli w piżamach, nie w mundurach. Druga historia była obrzydliwa. Był okropnie wstrętny, mały, gruby, stary (wtedy z mego poziomu wiekowego) SS-man, który uwielbiał kotki. Jadzia ukryła w „odwyszawianej” sali kocią rodzinę. Gdy ją odkrył nic kotom nie zrobił, ale przychodził się z nimi bawić. Ze względu na koty wpadałyśmy tam też (trzeba im było podrzucić coś do jedzenia). I w czasie takich „kocich seansów” ten SS-mański kotoman złożył nam, tj. Jadzi i mnie poważną propozycję. Otóż w Soldatenheim nr 2 (burdel dla żołnierzy) trzeba płacić ileś tam i trzeba sprawę załatwić w ileś tam minut. On jest gotów płacić więcej, aby rzecz zorganizować tu, przy kotach i bez pośpiechu. Mój niemiecki był wystarczająco dobry, aby zrozumieć tę propozycję. Wzięłam Jadzię za rękę i wyciągnęłam z pokoju. Wstydziłam się jej wytłumaczyć co nam proponowano, ale sprawę kotów rozwiązałyśmy inaczej, aby kontakty z facetem przerwać. To były skrajne przypadki. Normalnie większość młodych Niemców odnosiła się do nas jak zwykle młodzi chłopcy do dziewcząt, zgodnie ze swymi domowymi obyczajami, po wiejsku, miejsku lub inteligencku. Starsi traktowali nas jak swe córki lub siostrzenice, trochę żartobliwie, ale życzliwie, naogół bez przekonania o naszej niższości rasowej. Inteligenci, jeśli nie byli wysokimi szarżami, znosili wojnę i szpital gorzej

niż inni. Pamiętam chłopca Helmuta. Był ranny w głowę. Długo uczył się chodzić. Niski, w okularach, świński blondyn, ale miły i kulturalny. Póki miał kłopoty z pionowaniem się pomagałam mu trochę, jak wszystkim łamagom. Potem okazało się, że lubi fotografować i czytać książki. Został długo w szpitalu do pomocy, ze względu na tę głowę. Było to gdy już pracowałam na pół etatu. Dopytywał się czemu („Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia, ale powiem jak powiesz dlaczego możesz pracować krócej niż inne dziewczyny”). Nie chciałam kłamać i nie chciałam, żeby mi mówił to co jest dla niego ważne. Myślę, że się bał, że jestem na takim etacie jak Genia, albo że jestem „zaprzyjaźniona” z jakąś szarżą. Raz go zgorszyłyśmy. W czasie wiosny zamiast siedzieć w śmierdzących salach, wybiegałyśmy w wolnych chwilach na cmentarz (na grób Czeczotki i na zbieranie fiołków nad Wilią). Żeby wyjść trzeba było wytoczyć się pod kolczastym drutem na drugą stronę ogrodzenia. Łaził za nami, więc odkrył nasze praktyki i zdecydował, że „w godzinach pracy to nieuczciwe”. Boże ty mój, a ta niewolnicza praca 16-17 letnich dzierlatek wymuszona za psi grosz pod groźbą wywózki to było uczciwe? Nie miałam siły mu tego tłumaczyć. Moja „inność” czasem była zabawna. Nie mogłam się przyznać do kompletów, ale do chodzenia przed wojną do gimnazjum i do Ojca wykładającego na Uniwersytecie mogłam. Z łaciny nigdy nie byłam mocna, ale początek jakiegoś wiersza, którego i podchorążowie z cenzusem się uczyli „Aurea prima...” pamiętam. Mówiliśmy razem śmiejąc się i poprawiając sobie akcenty. Wszyscy czuliśmy się wyobcowani z normalnego życia, nawet oni, panowie świata „in spe”. Już zresztą nie wierzyli w to panowanie. Przed nimi był powrót na iskrzącą się słońcem śniegową pustynię, odmrożenie brzucha, rana, niewola, w której boso pędzą po śniegu, bo buty są potrzebne zwycięzcom.

Helmut był inny niż młynarczyk Stefan, miły wiejski chłopaczek. Jak widać robiłam „furore”, bo oświadczył mi się też Litwin (ranny w potyczkach z „polskimi bandytami”).

Oświadczyły były wprost urocze: „Teraz kończymy Żydów, jak się z tym uporamy to się weźmiemy za Polaków, jeśli będziesz moją żoną to ocalejesz”. „Wolę zginąć w dobrym towarzystwie niż żyć w podłym”. Miał resztki przyzwoitości, bo mnie nawet nie uderzył za tak bezczelną odmowę. No i nie poskarżył się nikomu.

Trzecią nacją oprócz Niemców i Litwinów byli jeńcy radzieccy. Zajmowali się najgorszymi robotami, rąbali drzewo i zamrożony węgiel, palili zaropiałe opatrunki, ale nie umierali z głodu, więc sobie swą dolę chwalili. W zimie chętnie biegałam z wiadrzem po węgiel, trochę ruchu dobrze mi robiło. Byli na tyle odkarmieni, że rubasznie żartowali i gdy ich zaloty były ignorowane głośno wyrzekali, że „te dziewczyny to tylko z Niemcami”. Niektórzy strugali w wolnych chwilach (bo i takie mieli!) drewniane zabawki i usiłowali je zamieniać na chleb. Chleb niedojedzony przez chorych był w cenie. My też zabierałyśmy do domu kromki, które zostawały, bo ciężej chorzy nie mieli apetytu. Na ten wynoszony chleb wartownia co jakiś czas robiła obławy, wtedy trzeba go było oddać i jadły go świnię. Raz powiedziałam, że to moja kolacyjna porcja. Wartownik zaśmiał się i odłożył mi dwie kromki: „to może być na twoją kolację”. Było to upokarzające, ale jakiś pożytek dla domu z tej pracy musiał być. Przy wypłacie dostawało się pół litra wódki. Gdy skończyłam 18 lat, to mi tę wódkę dali. Powiedziałam dumnie, że nie piję. Mama mnie skrzyczała, wódka była więcej warta niż pieniądze. Spuściłam z tonu i pokornie niosłam do domu moją „połówkę”, upokorzona, że nie mogę zaprotestować przeciw rozpijaniu Polaków.

W czasie pracy w szpitalu dotarły do nas pierwsze wiadomości, że Tatuś żyje. W Warszawie był matematyk, nauczyciel szkoły średniej p. Władysław Krasieński. Był to Taty przyjaciel z czasów warszawskich, uczestnik amatorskiego kwartetu. Był to II skrzypek, bo Tato grał I skrzypce, a bardzo miły uśmiechnięty pan Jacek Łabiszewski, na wiolonczeli. Pan Antoni Konewka altowiolista był czwartym członkiem zespołu, zginął zasypany wraz z rodziną w

czasie Powstania. Ten kwartet dostał na konkursie amatorskich zespołów w 1933 roku w Warszawie „Dyplom Uznania” za wykonanie Kwartetu Bethovena No2 op. 18 B-dur. Zachował się ten dyplom i notatka z „Kuriera Warszawskiego”. Tato najbardziej przyjaźnił się prywatnie „nie muzycznie” z p. Krasieńskim. To on pisał do Taty do Kozielska. A teraz napisał, żeby pisać do Szwecji na jakiś adres zaznaczając, że list jest dla pani Oli. Jeden mój list „rozpoczynający się od „Kochany Tatusiu” z adnotacją, że to dla pani Oli „bystry cenzor zwrócił. Jakoś nie miał przekonania do pań-tatusiów. Ale coś tam dotarło do Taty. Kartka od Mamusi z Vasariuniu 10/6 Wilno adresowana Al. Żebrowski, Stockholm 5 Feldpost 800 dla A. Jabłońskiego: (ołówkiem dopisane Rubens, A. Jabłoński)

„Kochany Olku! Może ta karta dojdzie do rąk Twoich i da znać o nas. Córy dzielnie pracują na utrzymanie, Hala na cmentarzu kopie doły, Dana w szpitalu jako posługaczka. Paczki bardzo nas podtrzymują, serdecznie dziękujemy. Miałyśmy zamieszkać z Iry, ale przez zimę zostaniemy u siebie, może na wiosnę przeprowadzimy się. Całujemy Cię bardzo serdecznie Twoja Wituchna. Najlepsze życzenia świąteczne i Noworoczne! „Data: 12.XII.1943.

Widocznie Mamusia nie traciła nadziei na przeprowadzkę do Warszawy, do Cioci Iry. I pod podobnym adresem z 17.I.1944 roku z adnotacją „ z prośbą o przekazanie p. Aleksandrowi Jabłońskiemu” kartka ode mnie:

Kochany Tatusiu!

Dziękujemy Ci za paczki. U nas wszystko w porządku. Mieszkamy wszystkie trzy razem w starym mieszkaniu. Mamusia trochę choruje na serce. Babcia Luda umarła. O śmierci Twojej Mamusi pewno już wiesz. Od Cioci Iry i Stryja Jurka miewamy wiadomości. Twoje przypuszczenia, co do losu Stryja Fela wydają się prawdziwe. Hala i ja pracujemy. Hala na cmentarzu, w lecie sadi kwiatki, w zimie odgarnia śnieg, a ja w szpitalu jako posługaczka.

Staramy się także trochę uczyć, żeby nie wychodzić z wprawy. Jeszcze raz dziękujemy Ci za pamięć o nas. Całuję tatusia serdecznie Twoja Danka”.

Istny przyjemniaczek! W jednej kartce trzy śmierci i choroba Mamusi! Jedyna krzepiąca nowina, to to uczenie się. Skąd wiedziałam o tych przypuszczeniach Taty o Stryju Felu? To chyba taka licentia poetica. Przecież w listach z Kozielska prosił o szukanie go przez PCK. Ale potem, już napewno wiedział, a my czytałyśmy listy katyńskie. Nie było się co łudzić. Skoro już jestem przy korespondencji jeszcze jeden list z wcześniejszego okresu.

Adresowany: Sztab Armii Polskiej 6a Dyw. P. Szpital Dr Jan Kruszyński dla prof. Al. Jabłońskiego Szachzy? Kujbyszew 29.V.1942 r.

Wielce Szanowny i łaskawy Panie Profesorze!

Już od Janka Kruszyńskiego dowiedziałem się, że Bóg pozwolił Panu dla szczęścia rodziny i własnego, dla dobra nauki i Polski przetrwać ciężkie chwile dotychczas, a miejmy ufność, że pozwoli wrócić do naszej Ziemi św., do Ojczyzny Wolnej, oby jak najrychlej! Co do żony Pańskiej i dzieci, to wciąż słyszałem, aż do mego aresztowania w czerwcu 1941 roku, że są cali i zdrowi i jakoś dają sobie radę. Myślę, że pozostali w Wilnie i Bóg i dobrzy ludzie nadal ich strzegą. O profesorowej Adamusowej również do końca swego pobytu na wolności słyszałem, że jest w Wilnie. Była parę razy u mnie (w jakichś sprawach), kiedyś z córeczką spotkałem ją na ulicy. O innych osobach co wiedziałem to napisałem do p. Kruszyńskiego w swoim czasie. Proszę mu przekazać korespondencyjne pozdrowienia, nigdy nie mogę o nim myśleć inaczej jak o kochanym „Janku” Kruszyńskim, którego znam od dziecka. Również serdeczny uścisk dłoni łączę prof. Adamusowi, no i wszystkim ukłony. Tutaj przed paru dniami powitaliśmy prof. Stanisława Śwaniewicza, który teraz dopiero wydobył się z „lagru”, zdrów, cały i nawet nieźle wygląda. Niepokoi mnie bardzo los p. Ryszarda Miennickiego, aresztowanego w sierpniu 1940 roku, profesora historii, Marten? - matematyka, Czesława

Zgorzelskiego, asyst. polonisty, o którym nic nie słyhać. Ja w tych dniach mam wyjechać stąd do Samarkandy, gdzie jest chora moja żona. Wprawdzie ma się już lepiej, ale przybyć tu nie może, więc jadę do niej i zapewne już tu nie wrócę. Może będąc bliżej siebie zobaczymy się kiedy.

Kończę , przesyłając podziękowania za słowa skreślone do mnie oraz łączę wyrazy szczerego poważania i serdeczny uścisk dłoni Stanisław Kościółkowski.”

Autor listu był profesorem historii na USB .

Ojciec był wtedy w szpitalu: malaria i żółtaczka. Wyleczył się z tego dopiero w Anglii.

A teraz listy do „Pani Oli” od Władysława Krasieńskiego

21.XII.1943 r.

Droga Pani Olu,

dziś Pani Wiktoria przysłała mi adres Pani, toteż korzystam z niego niezwłocznie, aby jeszcze raz spróbować nawiązać z panią kontakt. W międzyczasie pisałem do Pani kilkakrotnie, ale ani razu nie otrzymałem potwierdzenia odbioru mego listu, choć zawsze pisałem poleconym. Widocznie w czasie wojny poczta funkcjonuje mniej sprawnie, co zresztą nie byłoby wcale dziwne, raczej odwrotnie, człek jest mile poruszony, gdy otrzyma wiadomość od kogoś ze starych znajomych zabłąkanych gdzieś po całym świecie. Raz nawet posłałem Pani podobiznę mego wnuka i bardzo bym się martwił gdyby Pani jej nie otrzymała, gdyż jestem z mojego pierwszego wnuka bardzo dumny... Kwartet nasz w nowym zespole rozpadł się od 1.09. br. gdyż pan Antoni i ja mamy zajęcia popołudniowe, a rankami nie można. Szkoda, bo muzyka była dla nas jedyną osłodą w tych nieciekawych czasach. Niech sobie Pani wyobrazi , że w latach 41 i 42 przegraliśmy dwukrotnie wszystkie 83 kwartety Haydn'a, a za trzecim razem utknęliśmy coś na nr 72. odłożyliśmy Haydn'a. Nieraz myślę o tym, czy Niebiosa pozwolą nam jeszcze kiedy zagrać z Panią. Chwilami zdaje się, że tak, czasami skłaniam się do

poglądu negatywnego. Bardzo mnie ucieszyła wiadomość, że wróciła Pani do swych zainteresowań naukowych, ciekawym tylko w jakim języku Pani wyklada, po niemiecku, a może po szwedzku? Pani Wiktoria pisała, że wybiera się z Panienkami do W-wy. Formalności już załatwione, czekają tylko na ostateczne zezwolenie wyjazdu, bo zanim pisma urzędowe przejdą przez wszystkie zainteresowane kancelarie, sporo wody w Wiśle upłynie. Szkoda, że nie jest Pani wędkarka, bo w Szwecji jest znany sport łowienia pod lodem. Może się Pani tym zainteresuje, platonicznie przynajmniej. Ja na Pani miejscu cały czas spędzałbym z wędką. Wie Pani zapewne, że staruszek p. Szczeniowski umarł na zapalenie płuc parę lat temu, a junior ożenił się. My tu z naszej starej paczki jakoś wszyscy jeszcze żyjemy, choć od czasu do czasu ten i ów pokwępuje bo to i wiek. Jesteśmy teraz w okresie ferii Bożego Narodzenia, ale jest robota biurowa z nakazaną przez władzę reorganizacją szkół, ferie więc zepsute. Małe są szanse, że pismo to dotrze do Pani, mimo to contra spem spero i przesyłam wraz z najlepszymi życzeniami świątecznymi tradycyjny opłatek: obyśmy już następne Boże Narodzenie mogli już uroczystie obchodzić razem. A już zapomniałem, kiedym Panią ostatni raz widział. Wszyscy przesyłamy życzenia dobrego zdrowia z prośbą o napisanie choć paru słów. Addio! Wł. Krasieński.

Długi list, pisany chyba bez wielkiej nadziei, że przebrnie. Jakies wiadomości o Tacie już miał (powrót do pracy naukowej), ale nie myślę aby umiejscawiał go naprawdę w Szwecji. Pytanie o język wykładów, wiedział, że Tato zna dobrze niemiecki i francuski. Nie wiedział, że w obozie z zapałem uczyli się angielskiego. Myślę, że wiedział o Anglii, a ten szwedzki, to tak zastępczo, żeby lepiej się zakonspirować. Prof. Szczepan Szczeniowski w Wilnie ożenił się z wdową po rozstrzelanym czy zamęczonym matematyku prof. Kempistym.

Następna kartka z 31.V.44 r.

Droga Pani Olu!

Niedawno miałem wiadomość od p. Wiktorii. Uzałała się, że nie otrzymuje wiadomości od pani, dziękuje za paczki i prosi żeby pani więcej dbała o siebie. Wszystkie panie są zdrowe, choć ciężko pracują, zwłaszcza Panienki, które muszą pogodzić uciążliwą pracę fizyczną z pracą w szkole. P. Hala już po maturze (trudno mi w to uwierzyć, jeszcze tak niedawno borykała się z równaniami I stopnia), a p. Dana energicznie szykuje się do matury. Są trudności z powrotem do Warszawy, lecz p. Wiktoria ma nadzieję, że zdobędzie nareszcie żądane zezwolenie na prawo wyjazdu do Warszawy, i że się niebawem zobaczymy. Obiecała przesłać do mnie na przechowanie nuty Pani. Przesyłam pozdrowienia i proszę o mnie pamiętać Wł. Krasieński.

Z tej kartki trochę widać drogę tej korespondencji. Adresowana Herr Al. Żebrowski (für Frau Ola Jabłońska) czerwonym ołówkiem dopisano: kmr por. Jabłoński Brunon, jest też pieczęć Attaché Morski w Sztokholmie. Więc ta droga korespondencji wiedzie przez jakiegoś znajomego stryja Brunka, który był tam „urzędowo”.

STRYJ JUREK

Muszę się nieco cofnąć w czasie i opisać losy Stryja Jurka, te przed tragiczną wędrówką przed ewakuacją „Oflagu” i przed końcem wojny, który był początkiem jego tułaczego losu. W obozie, jak wynika z pisma Polskiej Wojskowej Misji Likwidacyjnej we Francji, Komisji Weryfikacyjnej A.K. (L.Dz. 2999/pfn Nicea, dn. 29.XI.1947) „odbył służbę wojskową w szeregach A.K., biorąc udział w zadaniach konspiracyjnych na terenie obozów jenieckich: IV.1944-IV.1945 Oflag IID Gross-Born, Baon szturmowy „B”-poczet dowódcy Baonu, 2.V.1945, uwolniony przez wojska amerykańskie, 28.VII.1945 przybył na teren Francji”...”Stwierdzenie służby konspiracyjnej w obozie jenieckim przez b. przełożonego D- cy Baonu szturmowego mjr dypl. Dunin-Borkowskiego. „Zaświadczenie pozwala na noszenie odznaki pamiątkowej, ale...” nie dotyczy obecnego stosunku wyżej wymienionego do służby wojskowej, oraz nie daje żadnych uprawnień do jakichkolwiek świadczeń pieniężnych...” Jak to przetłumaczyć z wojskowego języka na ogólnie ludzki? Na czym polegała ta konspiracja? Słuchanie radia, podtrzymywanie się wzajemne na duchu, oczekiwanie na „godzinę zero”? Taka zabawa dużych chłopców w wojsko? Nigdy o tym ze Stryjem nie rozmawiałam, bardzo skromny, nigdy się nie chwalił żadnymi bohaterskimi czynami. Nie wiem nawet co robił podczas wrześniowej kampanii. Tragiczny podkreślony akapit: „OBECNY PRZYDZIAŁ: Obóz WP.P. w La Courtine. Wcielony do P.S.Z.”. Niepotrzebni już bohaterowie. Tylko kłopoty z tymi Polakami. Zawsze im źle, chieliby np. Niepodległej. A wynik? Angielskie zaświadczenie of „Chief of the Imperial General Staff” stwierdzające „Good Service” data: 9 Aug. 48. Nie Imperium chciał służyć, ale... legiony Dąbrowskiego, legiony Piłsudskiego... byle broń, byle mundur, może się dojdzie? Dziwne stopniowe „cywilnienie”, jeszcze w Londynie, 15 Gunterstone Road, na adres, na który latami pisałam, dom, który znałam przychodzi pismo, że „z dniem 20.IV.48 został Pan ujęty w stan ewidencyjny tut. Oddziału”.

To jakaś „P.R.C. Holding Unit”. Na legitymacji „Combattants Volontaires des guerres 1914-1918, 1939-1945” wystawionej w La Courtine Stryj okropnie jest chudy i ponury. Wśród szpargałów takich jak gwarancja na zegarek itp. ręką Stryja pisany projekt oświadczenia do stwierdzenia danych personalnych:

„Stwierdzam, że Jerzy Jabłoński jest mi znany osobiście od lat dziecinnych. Również znane mi są następujące jego dane osobiste:

1. Rodzice: Władysław, Mieczysław, Jan i Maria Ludwika z Bilińskich
2. urodzony w Woskresonówka (Ukraina) dn. 21.II.1901 r.
3. ochrzczony ks.?? i zapisany do ksiąg metrykalnych parafii rzy.kat. w Kursku
4. Rodzice chrześni Eustachja Bobrowska i Turowski.

Przez rewolucję, trzy wojny, obozy przeniósł w pamięci nazwisko księdza, który go chrzczył, zgubił imię ojca chrzestnego, ale za to wiem, że chrzczono mnie „Danuta Maria Ludwika” nie tylko dlatego, że była Babcia Luda, Mamy Matka, ale i (a może nawet przede wszystkim) dlatego, że Babcia Mania była „Maria Ludwika”.

A w obozie? Jest trochę listów od Jurka do braci. Do Brunka adresuje „Brunon Gryczyński”, ścisła konspiracja! 25.VIII.43. Jest tam o paczkach, ich sposobie nadawania itp. oraz

„Wicia paczkę otrzymała, miałem kartkę z 17.VII, biedaczka straciła posadę, ale mam nadzieję, że sobie da radę, szczególnie, że wujowi Ludwikowi powodzi się podobno bardzo dobrze, więc może pomagać. Prosi, by Olo wiedział, że ona i córki są zdrowe”. „Ira jakoś daje sobie radę. Pisze, że u Wici źle z odzieżą, wysyła jej paczki 1 kg, bo Mamusia zapisała im swoją. Kuzynce Zosi podziękuj za dobre intencje; nota bene Felix siedział razem ze Szczuckim i R. Zajączkowskim. Pytasz o moje potrzeby - grunt, że możesz i pomagasz siostrze i bratowej, prócz tego i żona Cię obecnie drożej kosztuje. Za tytoń jestem bardzo wdzięczny, korzystam nie tylko ja. Wysyłającemu paczki z Portugalii (dotychczas nie

nadeszły) poradź by zawierały mniej więcej: 1 kg tłuszczu, 1 kg cukru (jedyne źródło), 2 kg ryżu lub suchary, trochę mydła, mleko, ew. kawa, kakao, herbata, owoce. Jak najmniej puszek, bo są otwierane i wypróżniane, niszczy się.

To z Gross Born Oflag IID.

Komentarz: nie mam pojęcia kto pisał o dobrej kondycji wuja Ludwika. To była raczej zaradność jego żony Marychny, o tym pisałam przy innej okazji. Nam, w każdym razie nie pomagali. Ta praca utracona to chyba ten krótki epizod pracy Mamusi w Kantynie. Kuzynka Zosia, to pewno Z. Kleszczyńska-Brunka, sekretarka i nie tylko. Dlaczego Brunka żona Myszka ma teraz drożej kosztować? Jest we Francji. Przeprowadzi się do Anglii gdy to będzie możliwe.

Wcześniejszy list z 19.II.42.

Mój drogi, sędzę z Twego listu nr 2 (szkoda, że nie piszesz daty), że zaszła dłuższa przerwa w dopływie mojej korespondencji, gdyż od tego czasu pisałam co miesiąc. Twój 1 list otrzymałem 15.X.41... Spodziewam się, że moje poprzednie jednak doszły, pisałem w nich o śmierci Matki, o adresie Wici (Wilno, Vasariniu 10-6). Było im bardzo ciężko, napewno jest i obecnie, ale szczęśliwie są zdrowi. Ira jakoś sobie radzi. Andrzej uczęszcza do szkoły elektrotechnicznej. Dziunia zdrowa”.

Jak to wszystko wygląda inaczej, Ira handluje i konspiruje, Andrzej w „szkole elektrotechnicznej” robi zwykłą porządną maturę i też konspiruje, Mama jest ciężko chora. Dalej znów paczki... paczki. Wyliczanie, kto jest z nim i prośby o zawiadomienie o kolegach ich jakichś krewnych „wszyscy mego cechu” (tj. wojskowi). „Strasznie chciałbym być z Tobą, ściskam serdecznie Jerzy”.

25.V.42. też do Brunona Gryczyńskiego

„staraj się o wiadomości o braciach”. Dużo o paczkach, do niego, do Iry i rozpoznanie, czy można będzie wysyłać do nas. „Trochę skapcianałem”, „jutro wyjeżdżam do innego obozu” (to do IID z XII A).

I został do śmierci w Anglii. Jak zawsze życzliwy światu i rodzinie. Tęskniący do Kraju, który tylko raz udało się mu odwiedzić, gdy wreszcie zgodził się wziąć obywatelstwo brytyjskie.

SZKOCJA

A więc Ojciec jest w Szkocji. Wraca do normalnego życia, czyta ze zdziwieniem (że takie mądre) swoje przedwojenne prace, bierze udział w seminariach naukowych, uczy fizyki na Polskim Wydziale Lekarskim w Edynburgu, gra kwartety, ma przyjaciół Szkotów i Polaków. Mało kto z Wydziału orientuje się, że ten „batteldresowy” docent jest naprawdę wybitnym uczonym. Mimo to nawiązuje trwałe przyjaźnie z prof. Straszyńskim (dermatolog z Poznania) i nie pamiętam z kim jeszcze. Prof. Straszyńskiego poznałam w wiele lat później, gdy już mieszkałam w Poznaniu, bardzo był miły i serdeczny, również dla mnie (bo byłam córką Aleksandra). Książki pamiątkowe z Wydziału w Edunburgu mało wnoszą informacji o Ojcu. Przyjaźnił się czemuś z Poznaniakami. Prof. Straszyński przybył tak jak Tato z „ZSSR”, ale wcześniej, już w marcu 1942 r. Przeszło rok przed Tatą. W pamiątkowej książce „Edinburgh University and Poland” wydanej w Edynburgu w 1968 r., na stronie 46 można wyczytać, że „poza członkami rady Wydziału... zatrudniono następujących nauczycieli” i dalej lista docentów, wśród których jest i tatuś. Istotne jest, że mógł wrócić do ludzkich warunków życia, pracy naukowej, muzyki. Przyjaźń z rodziną Shlappów, wspólne muzykowanie. Pani Senga, akompaniująca mu na fortepianie. Wspólne wyprawy po mszy niedzielnej z kolegami z Wydziału na kawę. Kontakty ze Stryjem Brunkiem, pracującym w sztabie „Navy”. Brunka

sekretarka, z zawodu plastyczka, Zosia K. mieszka z nim razem. Jest jakąś daleką kuzynką, co tylko Tato bierze poważnie. Ciocia Mysza utknęła we Francji. Stryj jest bardzo przystojnym marynarzem, w randze komandora. No cóż, Tato też przyjaźni się z jakąś panią, która ma syna Jacka. Zosia K. po śmierci Taty przysłała mi zdjęcie, na którym siedząc na ziemi, Tato, Brunek i jeszcze ktoś z rodziny, cierpliwie obierają jakieś owoce, czy jarzyny. Istna sielanka. Nienormalne życie jakoś się normalizuje. Tatusz wysłał do nas paczki przez Portugalię, kawę, rodzyнки, herbatę. Utrzymuje też przez Czerwony Krzyż kontakty z Jurkiem w Oflagu. Np. 18.4.44 Tato dostaje od Jurka notatkę. Jurek pisze do Czerwonego Krzyża w Genewie. Oni (to jest Tato i stryj Brunon) do Czerwonego Krzyża w Londynie:

Veulle transmettre a Monsieur Aleksander Jabłoński 34 Belgrave Square London SW1 de la part de Jerzy Jabłoński prisonier en Alleysmage a l'Oflag IID Getur 800/XI B le message ci-dessous:

Kochany Olu, na list z listopada odpowiedziałem. W rodzinie na razie bez zmian, jakoś trwają. Ja też stosunkowo dobrze się czuję, gnębi mnie głównie niepokój o swoich i niemożność właściwej dla mnie działalności. Wysłałem przekaz czerwony. Okulary dla mnie ze szkłami 0.77. Pomyślnych świąt dla Ciebie i Br. Jerzy (23.3.44).

Pomimo skomplikowanej drogi, była to jednak świetna poczta. Nie wiem co to jest „przekaz czerwony”. Pewno można przesłać paczki lub pieniądze. Nic nie wiem o tym mieszkaniu na 34 Belgrave Square.

Odpowiedź Taty:

Kochany Jurku

Dziękuję za wiadomości o sobie i o rodzinie. Czy paczki otrzymujecie? Czy rodzina jest u siostry? Przekazu, o którym piszesz, na razie jeszcze nie otrzymałem. Jeżeli tylko będzie

można wysłać do Ciebie okulary ze szklami +0.75. Życzenia i treść Twego listu przesałam do Brunka. Ściskam Cię serdecznie. Serdeczne ucałowania dla całej rodziny Aleksander.

Nie jest to jednak kontakt łatwy, burza powstania, przesunięcia frontów, tyle kataklizmów przewala się w tym czasie, że kontakt się urywa. Stryj zmienia Oflag na XC, Ojca adres jak poprzednio. List ołówkiem na ćwiartce kartki:

Mój Drogi

Dubluję swój list do Brunka. Nie wiem, który z Was pewniejszy jako odbiorca. Półtora roku nie mam od Was wiadomości. Chciałbym się z Wami jak najprędzej zobaczyć i wyrwać się z tej atmosfery jenieckiej. Czy masz wiadomości o Wici i córkach? Może jakoś wydostały się przez Szwecję? Ze wschodu uciekają. O Andrzeju nie mam wiadomości, był w obozie w Lamsdorf na Śląsku. Nie rozpisuję się zbyt obszernie, nie wiem co dla Was jest już wiadome, a atmosfera niepewności nie sprzyja łatwemu wysławianiu się na papierze. Uściski i pozdrowienia dla Was wszystkich. Jurek. 22/5-45. Kpt. Jerzy Jabłoński Oflag 10C Baon IV BII Pok.113).

A więc po sześciu latach jenieckiej niewoli, niepewność i beznadzieja. Andrzej po powstaniu, już w obozie jenieckim zdołał jakoś nawiązać kontakt z wujem Jurkiem, ale zmiany w teatrze wojennym zerwały i ten wątły listowny kontakt. Między tymi dwoma listami przebiega półtora roku polskiej tragicznej historii. Następny list od Jurka jest już obszerny i adresowany na nowy Taty adres w Edynburgu, przy Chalmers Crescent.

Kochany Olo!

Wczoraj otrzymałem Twój list z 4/7 i z ... 27/5 (to jest już rok 1945!!) Jeszcze zdaje się nie podziękowałem Ci za pomoc jaką okazałeś mi paczkami z Syrii, okularami no i ostatnim wkładem. Tak wiele osób z kraju i za granicy okazało mi serce, tak często w niewoli

myślałem o tym, że będę mógł się im odwdziżyć, ale widać, że koniunktury pod tym względem są bardzo słabe. Między innymi Wituchna, Stefa, Hala Pęska, Józiowa Kruszevska, Szwedowa i wielu innych, których nie znam. Będę chronologicznie odpowiadał na Twój list (nie ładny to sposób, ale...) narazie cywilnego ubrania nie potrzebuję, będę żołnierzem dopóty, dopóki to będzie możliwe, a obciążać się bagażem trudno. Oczywiście książki, słownik Stanisławskiego i gramatykę (Modern Grammar - wydanie szwajcarskie). Swoją bibliotekę musiałem pozostawić w Gr. Born przed wymarszem (nawet listy Matki zostały, ostatnia więź materialna). Nasz los o tyle gorszy od Waszego, że nawet przynależność nasza do Sił Zbrojnych jest problematyczna. Ale ważniejsze to rozterka, obowiązek, w najprostrzy sposób rozumiany, zwykły żołnierski i chęć do roboty choćby w najtrudniejszych warunkach dla wiadomego celu w warunkach realnie istniejących. Czy warunki zewnętrzne mogą się zmienić w czasie praktycznie dla nas krótkim? I omal, że nie uraz psychiczny po tym co zaszło i wewnętrzne opory do „griaduszczewo chama”, do którego nie mamy żadnych złudzeń, my chyba najlepiej go rozumiemy. Czy nie musimy być lisem i węzem? Niestety zdaję sobie sprawę, że to nie dla mnie. Co do Twoich to raczej należy przypuszczać, że są w Wilnie, może teraz w związku z „przesiedleniem” wyjadą do „kraju”. Z Andrzejem kontaktu niestety jeszcze nie nawiązałem. Wujenka H. Bobrowska (o ile mnie pamięć nie myli) bodaj, że u córki w Częstochowie (nazwiska Hanki nie pamiętam, zamężna). Również Wujenka Encowa (wdowa po Wincentym) była gdzieś w rejonie Łowicza, chora, a Majka w okolicy Włocławka. Zosia Kruszevska wraz z Ciocią Janką była u Józia Kruszevskiego (Gierczyna, dwór, poczta Opatów Kielecki). Zosia straciła w ciągu paru dni męża i syna (gruźlica?).”.. O Boże, ta wyliczanka chorób, śmierci, tułaczek, starych ciotek, moich ciocio-babć, to wynik zburzenia miasta, i to już druga totalna klęska w ich życiu. Pierwsza, zawalenie się ich świata, była osłodzona powstaniem Niepodległej, ale ta? Zosia z

„Błękitnego Ogrodu” rozsądna, gospodarna. Potem absolwentka SGGW, ogrodniczka. Jej Matka „Ciocia Janka”, matka dwóch synów poległych w I wojnie, Bohdana zamordowanego w Katyniu i Feluki. Samobójstwo Feluki przed nią ukrywano, bo była bardzo religijna. Feluka według wersji dla matki, zmarła na serce. Teraz ta ciocio-babcia otacza opieką córkę w jej żałobie. Ten taki męski list nie potrzebuje moich łzawych komentarzy, a więc przepisuję dalej:

„Czy Edward D’Erceville był w Anglii? Jeżeli chodzi o sprawy wyżywienia, to w obecnych warunkach nie jest to problem. Jestem na wsi (pod Lubeką), stosunki z tubylcami dobre, a na wsi mają co jeść. Zatraciłem już linię z ostatniego okresu niewoli, gdy po odbytych głodowych marszu (2 miesiące) umieściliśmy się na dalszą najprawdziwszą głodówkę w ???.(to ten drugi Oflag?) Leżałem cały czas w łóżku, gdyż nawet parę kroków było wielkim wysiłkiem, nogi jak z gumy, zawroty głowy, początki opuchlizny głodowej. Dziwnie prędko organizm zregenerował się po tym wszystkim. Gdyby nie zawody późniejsze, może można by było powrócić do jakiejś „pełnowartościowości”. Ale ciężko jest, bardzo ciężko. Niedługie było nasze życie, dzieciństwo karmione wizją dawnej świetności, ofiary powstań, epoka napoleońska, Chopin, Polonez Ogińskiego ,rok 1918, a później po krótkiej przerwie ciosy i ciosy; znów oszukani czy twarda rzeczywistość tego wymaga? Zbyt dużo jak na nasze pokolenie. Ale czy mamy być „cierpiętnikami”? I gdzie szukać realizmu i długiej fali naszej historii, by choć powoli i nieznacznie móc ją skracać i nie paczyć dążąc do jednego celu? A do tego jeszcze jeden czynnik zniechęcający (choć mający usprawiedliwienie), okupacja zrobiła straszne spustoszenie i przemiany etyczne w naszym społeczeństwie. Spotykałem tu nowych ludzi, egoiści i spekulanci, kombinatory (oczywiście nie należy uogólniać, ale przemiany są). Z drugiej strony pocieszające objawy, spotkałem w czasie marszu wołyniaków (między innymi żołnierza z pułku, później żołnierza sowieckiego). Ze łzami wspominał nasze

polskie czasy, karmił mnie jak mógł, na tym krótkim głodowym postoju. Wiele jest prawdziwych „sowieciarzy”, którzy nie chcą powracać. Litwini, Rusini, w których się obudziły poczucia wspólnoty z nami, ale znów koniunktura nieprzychylna, nie daje możliwości wykorzystania. Jesteśmy niedaleko od linii demarkacyjnej, uciekinierzy podają wiadomości o niesamowitym rozpasaniu tamtejszych żołnierzy, z tego można sądzić, że dyscyplina jak i osiągnięcia kulturalne pod psem. Co będzie gdy Ci ludzie zaczną powracać mając już skalę porównawczą po zetknięciu się ze zgniłym zachodem? Kiedy nasi „sojusznicy” wyraźnie rozumieją, że tam się przygotowuje święta wyprawa przeciwko nim? A nasza rola w tym konflikcie pod obecnym kierownictwem? Rozpisałem się, wybacz, ściskam. Jerzy. (17.7.45).”

Zapędziłam się, to już po wojnie, epoka straconych złudzeń i zawiedzionych nadziei. Ale ten list, tak bolesny, wciągnął mnie i zapomniałam o chronologii.

REPATRIACJA I BIAŁYSTOK

Jeszcze przed ewakuacją szpitala i moim wyrwaniem się z jego szponów pani Tunia pytała mnie, czy chciałabym w większym niż dotąd stopniu pracować (domyślnie w konspiracji). Bardzo podziwiałam panią Tunię i lubiłam ją ogromnie. Ale ma ona żelazny charakter, a i ja też nie jestem mięczakiem. Dobrze pamiętałam jej dwie kategoryczne odmowy na prośbę o pójście do lasu i na mój wspaniały projekt żeby się dać wywieźć. Teraz z powagą mówię, że przecież muszę zająć się rodziną. Teraz to ja nie chcę! To była głupota, za moment akcja Ostra Brama! Gdybym to wiedziała! Gdybym to wiedziała to bym pojechała z panią Tunią i narobiła wszystkim paskudnego kłopotu. Bo zaraz po urwaniu się ze szpitala okazuje się, że mam jakieś ropne zapalenie skóry na obu rękach. Usiłuję się leczyć, ale nie ma czym ani jak. Okłady z rumianku nic nie pomagają. W międzyczasie zbliża się front. Mama decyduje, że

wyjedziemy z miasta razem z naszymi sąsiadami. Pan Biesiekierski ma konia i wóz. Pakujemy trochę najpotrzebniejszych drobiazgów i jedziemy, to jest idziemy koło wozu. Po drodze, gdy odpoczywamy w jakimś zagajniku, ostrzeliwuje nas samolot, ale nic nikomu się nie dzieje. Decydujemy, że lepiej się schować, pertraktujemy z jakimś chłopem i kwaterujemy w stodole. Jest tam już sporo innych uchodźców z Wilna. Byłoby wcale nieźle, ale moje łapy są już zaropiałe do łokci. Gdy Mama robi mi opatrunki reszta towarzystwa buntuje się. Zaczynam ogólnie czuć się kiepsko. Wcale nie jestem duża, jestem zbyt chora i obolała żeby być dzielną. Mama decyduje, że zostawi Hałę, a ze mną spróbuje wrócić do miasta po jakąś pomoc. Wynurzamy się ze stodoły, spotykamy partyzantów, są pełni zapału i radości. Ale iść do miasta nie ma jak. Wracamy do stodoły. Gdy tylko Wilno jest zdobyte przez Rosjan (z wydatną pomocą AK) wędrujemy całą karawaną do domu. Idziemy razem z sąsiadami, ale z innymi. Państwo Biesiekierscy z wozem chyba jeszcze zostali, albo idą inną drogą. Gdy zbliżamy się do Wilna w lesie Zakret jest pełno niemieckich trupów. Nasz sąsiad stolarz patrzy pożądliwie na jednego truposza „takie piękne buty, chyba mu zdejmę”. Co powiedział, uczynił. Jest to tak obrzydliwe, że zupełnie się rozklejam. Jest w czasie wojny zawsze tak, że jeśli ja się rozklejam Mama staje się dzielna. Bo nie ma rady. Wydaje mi się, że poznaję w tych zabitych jakichś znanych mi chłopców ze szpitala. To nonsens, ale mam gorączkę i głupio powtarzam: „dlaczego oni tak leżą?” Mama mówi „nie patrz, tylko idź prędzej” i zasłania mi możliwie tych leżących. Strasznie mi wstyd. Taka duża dziewczucha, która już nie raz widziała umarłych i takie mazgajstwo. Dochodzimy do naszego domu. W domu bałagan. Zwinięte niemieckie wojskowe płaszcze walają się na podłodze, w moim pamiętniku wpisany jest po rosyjsku jakiś radziecki żołnierz. Resztki pamiątkowych rzeczy, których Mamusia nie sprzedała, rozkradziono. Ukochane skrzypce Taty były oczywiście z nami w stodole. Mamie udaje się dotrzeć do prof. W. Mozłowskiego (zaprzyjaźniony chemik fizjologiczny z USB) i

przynosi jakiś proszek do posypywania moich rąk i coś do łykania. A więc mamy znów radziecką okupację. Akowców podstępem zwabiono i wywieziono, a teraz wyłapują tych, którzy im umknęli. Moje ręce powoli się goją. Pani Tunia cudem wraca do domu. Niemców już pochowano, ale w lesie zostało mnóstwo zabitych koni. Te rumaki śmierdzą okropnie. Profesor Mozolowski organizuje akcję grzebania tych koni. Życie się znów pomału normalizuje, choć gdy idę przez las, dosłownie przy mnie, roznosi na strzepy kilku chłopców, którzy bawili się niewypałami. Powstaje znów szkoła z polskim językiem wykładowym. Pani Turkowska jest dyrektorką. Zapisuję się do maturalnej klasy i zdaję do niej egzamin. Bardzo mało brak mi do kompletowej matury, więc ją też kończę. Szkoła daje mi status kogoś legalnie istniejącego, kartki itp. W głębi duszy nie wierzę aby ktokolwiek uznał moją tajną maturę, a tak to mam przynajmniej papierek, że zdałam do maturalnej klasy. Do tej szkoły praktycznie nie chodzę. Zaczyna się „repatriacja”. Pani Tunia z rodziną, z wiadomych względów, musi się z Wilna jak najszybciej ewakuować. Co dzień dochodzą wieści kogo aresztowano. Córka prof. Dziewulskiego, Anielka, mgr astronomii, ucząca na kompletach i konspiracyjną, wróciła do kraju bodaj w 56 roku. Janusz Downarowicz i Andrzej Hrynkiewicz wrócili po mniej więcej roku kopalni. Gdy wywozili połapanych chłopców i dziewczęta oni na palcach pokazywali ile dostali lat. Jakoś nikt nie myślał, że to się tak może skończyć. Pani Tunia każe mi dobrze zabezpieczyć archiwum (metalowe pudełko, zalać zamknięcie świecą i zakopać w piwnicy). Zrobiłam według rozkazu i to wszystko przepadło, bo tam potem budowali prawdziwe domy. Jeśli nawet koparka wykopała, to pewno tylko sprawdzili czy to nie złoto, a że nie to do śmieci i koniec. Ważniejsze archiwum przekazałam p.Tuni.. Moja siostra Hala chodziła przed tą akcją „Ostra Brama” na kurs sanitarny. Dołączyłam do niej w cichej nadziei, że to może być droga do lasu. Ale nie skończyliśmy tego kursu. Pani Tunia przykazała mi oddać książki czy książkę pani Jadzi, która prowadziła ten kurs. Podała mi

adres. Miałam pytać o panią Jadzię i jej do rąk własnych to oddać. Mieszkała ta pani Jadzia gdzieś na Zarzeczcu. Na Wilii był most pontonowy. „Wilii naszych strumieni rodzica”. Umiałam ten urywek i po polsku i po litewsku. Stałam na moście, patrzyłam w wodę jak przymurowana. Tak jakby mnie ktoś za kark trzymał. Przecież miałam oddać książki i zaraz wrócić, a tu stoję i gapię się w wodę. Po kwadransie ruszyłam w drogę. Znalazłam dom i mieszkanie, gdzie miła starsza pani rzuciła mi się na szyję: „O Boże, dziecko, tak się modliłam, żebyś nie przyszła kiedy oni tu byli, dopiero co wyszli. Córka mówiła, że twój Ojciec na wojnie, a mama choruje”. Już wiedziałam, że był „kociół” i żebym się w wodę nie pogapiła i zadzwoniła grzecznie pytając o panią Jadzię to by mi zafundowano darmową wycieczką. Starsza pani powiedziała mi jak się jej córka lekarka nazywa. Miałam wyjść nie biegnąc, a gdyby mnie ktoś zatrzymał mówić, że chciałam poprosić doktora do mojej chorej matki. Swoją drogą to była święta kobieta, bo gdy jej dziecko aresztowano to się modliła za jakąś nigdy nie widzianą smarkulę. Wróciłam do domu, a tam Hala, zwykle nie okazująca mi takiej serdeczności, wpierv mnie uściskała, a potem na mnie swym zwyczajem najechała „czy ty nie wiesz, że Mamusia jest chora, gdyby ciebie wzięli...”. Okazuje się, że w międzyczasie była wiadomość żeby mnie zatrzymać, bo tam gdzie miałam iść jest kociół. Ale ja już wyszłam. Hala zrobiła jakiś ślub, miała jakieś modły odprawić czy coś w tym guście jeśli ja się uratuję. No i jak zawsze ją wkopałam, bo wróciłam. Swoją drogą dwie osoby się za mnie modliły, gdy stałam na tej pontonówce. I mocno chciały mnie zatrzymać. No i się im udało.

Mama szykowała nas do wyjazdu z pierwszym transportem USB. Ubrane byłyśmy w śliczne i mocne sukienki (z tych niemieckich płaszczy, które zostały w naszym mieszkaniu). Z resztek porobiłyśmy wygodne uchwyty do skrzyneczek na książki. Przygotowałyśmy tylko takie skrzynki, które we dwie z Halą mogłyśmy uwlec. Był problem z fortepianem. Jego stanowczo

własnymi siłami nie mogliśmy przemieszczać. Początkowo Mamusia zostawiła go u jakichś znajomych, ale że jako nauczycielka muzyki mogła go zabrać, więc wycofała instrument i był on jedną z wielkich trudności w naszej podróży. Przystaliśmy na te trudy z ochotą bo był to rodzinny zabytek, jeszcze z mieszkania na Nowogrodzkiej, które moi dziadkowie kupili po przyjeździe z Ukrainy do Warszawy. Było to ponoć elegancko umeblowane mieszkanie. Gdy Dziadek umarł Babcia sprzedała to mieszkanie i kupiła dużo tańsze na Grzybowskiej. Część mebli tam znalazła schronienie, żeby spłonąć w czasie powstania, a ten fortepian nam podarowała. A więc fortepian był jeszcze z tych prehistorycznych czasów, przed naszym urodzeniem. Więc jak go tak porzucić? De publicis wszystko było jak najgorzej. Akcja Burza skończyła się wiadomo jak - aresztowaniami i wywózkami realizowanymi przez naszych „sojuszników”. Warszawa się broniła, ale cokolwiek by nie było, wiadomo było, że będzie klęska. Albo Niemcy, albo Rusczy ją spacyfikują. Wiara w aliantów po doświadczeniach z Burzą bardzo osłabła. Było mi strasznie smutno. Z nikąd nadziei. Dokończyłam, na wszelki wypadek, te maturalne sprawy. Pani Tunia, która była opiekunką mego jednoosobowego kompletu orzekła, że już wszystko mam zdane i zaliczone. Mimo to miałam poczucie końca świata. Zostawić Wilno, które przez te lata pokochałam i jechać do Polski, która może zostać 17 republiką radziecką, tak jak to oni zrobili z Litwą? Dali Wilno i zabrali całą Litwę. Teraz nam Stalin wynegocjował ziemie zachodnie i pewno łapnie nas razem z nimi. Z tymi Ziemiąmi to też nie bardzo jeszcze było pewne. W ogóle, „wszystko płynie” .Istny koniec świata. U nas zamieszkała pani Downarowiczowa z córką Muszką. Ich dom się spalił, więc zamieszkały u nas. Była to moja inicjatywa. „Trochę” było ciasno, ale było wiadomo, że my jak najwcześniej wyjedziemy, a pani Downarowiczowa miała nadzieję doczekać się powrotu Janusza. Janusz wrócił jednak z kopalni dopiero, gdy już obie z Muszką były w Poznaniu. Przywiózł z Wilna część Taty książek, które były zostawione u pana Horodniczego. Teraz gdy

odwiedza mnie wraz z żoną, starszy, miły pan ¹Janusz, wspominam tamtego szczupłego chłopca, ucznia liceum Śniadeckich, a potem radziecko-litewskiej szkoły na Bakszcie, pracującego w piekarni przez większą część niemieckiej okupacji, aż do pójścia do lasu. Rodzinę Downarowiczów zbliżył do nas wspólny los naszych ojców i przyjaźń naszych matek.

Warszawa padła, została spalona. O warszawskiej rodzinie nie ma wieści. O Tacie też. Jest zima. Rusza repatriacja. W lutym 45 roku ruszamy transportem, który ma być skierowany do Białegostoku. W tym samym wagonie jedzie pani Tunia z mężem Eugeniuszem Skorko, asystentem Fizyki na USB i ze swymi rodzicami ,bardzo już wiekowymi , w nienajlepszej kondycji. Jedzie też pani Pakoszowa z córką Basią. Jest ona wdową po generale WP i szwagierką gen. Dąb-Biernackiego. Basia, uczennica kompletów jest młodsza od nas. Chce zostać aktorką, bo grała z powodzeniem z kompletowym przedstawieniu Zemsty. Swoją drogą, między kompletami były różnice, na niektórych uczyły się dzieci ,dla których organizowano nawet przedstawienia, gdy na innych z uporem studiowały takie typy jak ja i moja siostra, po dniu ciężkiej ogłupiającej pracy. Pani Pakoszowa jest bardzo ciepła i miła. Uwieszona na stosie skrzynek i tobołków czyta jakąś tasiemcową powieść kobiecą, chyba Boguszewskiej. Bardziej trafne myśli z tej lektury czasem nam przekazuje. Wszyscy mają dużo więcej bagażu niż my. Zabrali materace z tapczanów, z szafek porobili skrzynki napełniając je wszelakim dobrem. Ale za to my mamy fortepian. Panią Pakoszołą nazywamy, na jej prośbę ciocią Fetką. Kto jeszcze jest w wagonie oprócz Marysi Kempistówny, która jechała sama, a nie z matką i ojczymem prof. Szczeniowskim, naprawdę nie pamiętam. Tej reszty podróży nie znałam przed podróżą i potem szybko straciłam z nimi kontakt. Ciocia Fetka ma olbrzymi dywan, zaszyty w płótno, będą z nim problemy

niełatwe, nazywamy go węzem boa. Na jakimś postoju wyskakuję z Marysią K. po opał do piecyka. Ona jest niezwykle przedsiębiorcza, wyemancypowała się z pod wpływu matki, może zbuntowana przeciw ponownemu jej małżeństwu, tak prędko po tragicznej śmierci ojca. Zresztą i w gimnazjum Orzeszkowej miała opinię wielkiego łobuziaka. Dość, że biegniemy po to drzewo, a ja się boję, że transport odjedzie, ale przyznać się do tego wstydzę. Postoje wykorzystuje się przede wszystkim na załatwienie potrzeb fizjologicznych. Prędko, byle zdążyć, blisko wagonu. Z tym potrzebami ma problemy ojciec pani Tuni. Do tego się kępuje. Mama zapewnia, że jej ojciec miał podobne kłopoty i pomaga w tych sprawach starszemu panu. Pociąg jedzie i jedzie. Chcę aby tak jechał do końca świata, tu jakoś istniejemy, a co dalej? Znow trzeba będzie działać i to w obcym mieście, w nieznanym warunkach. Tu coś się je, dokłada do piecyka, ciotka Fetka czyta powieść, jest jakaś pseudo stabilizacja. Co prawda ciasno i zimno, ale to drobiazgi, w porównaniu z nieznanym. Aż jest ten Białystok. Państwo Skorkowie mają jakichś przyjaciół w Białymstoku, których zawiadomili o naszym przybyciu. Oni nas spotykają i organizują jakieś „podwody” do transportu dobytku z dworca do kwatery PUR (Urzędu Repatriacyjnego). Wszystko głupstwo, z wyjątkiem fortepianu i dywanowego boa. Na szczęście napatoczył się jakiś radziecki Gruzin, który za pół litra wziął fortepian (sam!) na plecy i wpakował na ciężarówkę. W miejscu zakwaterowania reszta towarzystwa, okropnie zmęczona dźwiganiem swego dobytku, nie mogła go wyładować. Mama pani Tuni zaofiarowała po kieliszku nalewki bardzo zmęczonym panom i jakoś zataszczyli fortepian pod dach.. Wszyscy byli pomęczeni podróżą i ciaganiem gratów. Dostaliśmy jeden pokój na nasz wagon (16 osób). Okna bez szyb. Kocami się je pozawieszało, rurę piecyka wytknęło przez okno, usłało się jakiś barłóg i spać. Nazajutrz okazało się, że raz dziennie dają nam zupeł, okropnie byliśmy głodne. My to znaczy Basia, Hala i ja. Na szczęście zapobiegliwym towarzyszom podróży wkradły się w suchary robaki. Zachwycone „przecież

to nie piątek” gryzłyśmy te robaczywe suchary, dla porządku popluwając od czasu do czasu. Ale coś trzeba było zacząć działać. Przyszła jakaś kobieta i zaproponowała, że może nas u siebie zakwaterować. Nas to jest mamę, Halę i mnie. Poszłyśmy tam. Domek był prymitywny, ale po naszej chatce przy Zakrecie prawie luksus. Studnia piękna. Naczerpałyśmy wody i chcieliśmy zacząć porządki. Ale poszłyśmy spytać mamy czy zgodzi się na nasz projekt. Kobieta była prosta. Wróciła z obozu, tam było tylu ludzi, że tu się sama bała mieszkać. Wydawała się miła i zyczliwa. Ale okazało się, że w antrakcie pani Tunia dostała pracę w gimnazjum i służbowe mieszkanie, do którego zaproponowała, że zabierze ciocię Fetkę z Basią i nas. Z tym mieszkaniem było tak: znajomi pani Tuni obiecali, że dostaną przydział na mieszkanie jeśli ona znajdzie pracę. Pani Tunia wyszła z PUR-u na poszukiwanie pracy i zaraz spotkała panią Turkowską, która już pracowała już w gimnazjum jako dyrektorka. Pani Turkowska zaproponowała p.Tuni pracę „od zaraz”. Poszłyśmy więc z ciocią Fetką sprzątać to przydzielone mieszkanie. Było po Bolszewikach. Kanalizacja i wodociąg nie działały. Pełno fekalii na podłogach. „Dobrze, że mróz,” jęknęła ciotka i zabraliśmy się za odskrobywanie i wynoszenie tych brudów. W oknach nie było oczywiście szyb, ale od czego ma się koce? Było to naprawdę porządne, przedwojenne trzy pokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką, ale w stanie wojennym. Radzieccy szli na Berlin, razem z berlingowcami, ale beze mnie. Podeszłam w parku do „berligówek”. Oni mieli takie kobiece oddziały. Wiedziałam, że część AK-owców ratując się od wywózki wstąpiła do Kościuszkowców. Ale te następnie Emilii Plater mówiły... po rosyjsku. To mnie zniechęciło, bo nie dość, że komuniści, to jeszcze Rosjanie. W takim towarzystwie nie chciałam iść nawet na Berlin.

Jeszcze przed przeniesieniem się do tego nowego mieszkania do naszego punktu zakwaterowania przywieziono wiejskich repatriantów. Jechali z dziećmi i bydłami dużo dłużej niż my, a zima była sroga. Baby zawodziły, szczególnie jedna z chorym niemowlęciem

w ramionach. Złapałam to dziecko i poszłam do biura PUR-u z awanturą. Położyłam dzieciaka na biurku i mówię „zróbcie coś, to chore dziecko nie może mieszkać w zimnym pokoju bez szyb, ono umrze”. Kierownik popatrzył ze złością: „co z tego, że uratujemy to jedno, jak sto innych umrze jeśli nie będziemy działać”. Okropna logika krańcowych sytuacji. Wynieśliśmy się z PUR-u do mieszkania pp Skorków. Wpierw mieszkaliśmy w jednym pokoju w pięć z ciocią Fetką i Basią, w drugim rodzice pani Tuni, w trzecim pp Skorkowie. Po „Purze” to był luksus. W pałacu Branickich pobierałyśmy pobite szyby i pomontowałyśmy w oknach, żeby mieć dzieńne światło. W pobliskich ruinach znalazłyśmy dół od „kolumnienki”, takiej jakiej kiedyś były w łazienkach. Nakryty blachą, z rurą wypuszczoną przez okno „stanowił on świetny piecyk do grzania i gotowania. Drzewo kombinowałyśmy gdzie się da. W pobliżu był na wpół zrujnowany poniemiecki barak. Istna kopalnia suchego drewna. Poszłyśmy z Halą uzbrojone w piły i siekierkę. Gdy już zgromadziłyśmy niezłą stertę drzewa naszedł nas na tym zajęciu milicjant. Bardzo był służbowy. Chciał pisać protokół, choć nie wyglądał na bystrego w pisaniu. Zaczęłam mu zawile tłumaczyć, że Pan Jezus zbierał z uczniami kłosa jak byli głodni i to nie grzech, a w naszym klimacie opał jest równie ważny jak jedzenie. Skończyłam akcentem politycznym „przywieźliście nas tu i co, mamy umrzeć z zimna?” Zupełnie zgłupiał i nas puścił. Poczekałyśmy za rogiem, aż poszedł i wróciłyśmy po „nasze” drzewo. Ale ten piecyk i drzewo to było troszkę później, jak miałyśmy oddzielny pokój i gdy prowadziłyśmy oddzielne gospodarstwo. Z początku ciocia Fetka i Mama prowadziły gospodarstwo dla całego „kołchozu”, ja zaczęłam pracować w szpitalu, a Hala, nie pamiętam gdzie. Państwo Skorkowie pracowali, ich Rodzice byli starzy, a Basia chyba się uczyła. Wszystkie prace domowe spadały więc na dwie panie. Mama usiłowała stanąć na wysokości zadania, ale nie dawała rady. Ekonomicznie też nam było ciężko, pomimo że przeważnie żywiliśmy się

maślanką z kartoflami (woda z kartofli zawiera sól i sole mineralne, więc ją też wypijałyśmy). Nasze dochody były nędzne, trudno było dokładać się nawet do tego skromnego wyżywienia. Póki nie pracowałyśmy byłyśmy wszystkie trzy ciągle okropnie głodne. Raz ciocia Fetka „zaszalała” i dała nam pieniądze, żebyśmy na targu kupiły wiejski chleb. Do dziś pamiętam jego smak. Mama chorowała. Na lekarza i zastrzyki sprzedawałyśmy przywlezione z takim trudem książki. Szkoła kupiła zbiorowe wydania mego kochanego Prusa, Orzeszkowej itd. Z trudem rozstawałam się z tymi książkami, ale nie było rady. Z mamy sercem było źle i do tego miała kolejno kilka zapaleń płuc. Naradziłyśmy się z Halą i doszłyśmy do wniosku, że mama potrzebuje spokoju i możliwości leżenia gdy się źle czuje. No i odpowiedniego odżywiania gdy jest chora. Powinnyśmy wynająć jakiś kąt i prowadzić oddzielne gospodarstwo. Poszłyśmy z tym do Pani Tuni. Była to trudna decyzja. Przecież oni się nami zaopiekowali i dzięki nim miałyśmy stosunkowo „miękie lądowanie” tym Białymstoku. Pani Tunia ,jak zawsze ,znalazła rozwiązanie: oni się ścieśnią i my z mamą będziemy miały oddzielny pokój i będziemy prowadziły oddzielne gospodarstwo. Wiem jak drastyczna był ta decyzja i jak rozbijająca normalne rodzinne życie. Mimo to przystałyśmy na nią. Prawdę mówiąc trochę bałam się tego zupełnie oddzielnego bytowania, więc takie rozwiązanie było dla nas optymalne. Co prawda tylko dla nas. W tym czasie pracowałam już w szpitalu jako sanitariuszka-sprzątaczką. Czemu znowu na tak „wysokim” stanowisku? Poprostu nie wiedziałam, czy coś innego potrafię robić. A to z pewnością umiałam. Pacjenci byli różni. Dużo chłopów, którzy wpadli na miny, trochę gruźlików, trochę żołnierzy „od Berlinga”, trochę jakichś lokalnych chorasków, a nawet jeńcy niemieccy. Śmiertelność była duża, czystość w miarę możliwości, jedzenie bardzo biedne. Szczury hasały w najlepsze i wyjadały chleb schowany dla chorych na rano. „Na nocce” trzeba było je płoszyć. Gdy robiłam obchód nocą by sprawdzić czy mi się liczba podopiecznych nie zmniejszyła w świetle niebieskich

lamp wszyscy chorzy wyglądali jak martwi, a szczury z piskiem uciekały mi z pod nóg. Bałam się, że pogryzą tych bardziej chorych więc pracowicie kursowałam po salach. Moimi ulubieńcami wśród pacjentów był jeden może ośmioletni chłopczyk, jeden dogorywający gruźlik i pewien chłop z posuwającą się gangreną nogi. Był bardzo dzielny. Wiem, bo nosiłam z koleżanką chorych na salę operacyjną na amputacje i żeby było sprawniej czekałyśmy na koniec „zabiegu” żeby zabrać delikwenta na salę. Na samą amputację usiłowałam nie patrzeć, ale wszystko się słyszało. Żona tego chłopca ,gdy go odwiedziła, zawodziła „żeby o Boże lepiej umarł, co to za pociecha z takiego bez nogi!” No i umarł, bardzo dzielnie. Nie mogłam cały czas przy nim siedzieć więc zrobiłam podpórkę ze stołka, żeby w półsiedzącej pozycji mógł lepiej łapać powietrze. Gdy rano wychodziłam agonia jeszcze trwała, jak wróciłam wieczorem już inny pacjent leżał na jego łóżku. Siostra oddziałowa, mała, garbata i bardzo dorzeczna powiedziała mi: „nie wolno chorego się brzydzić”. Żeby się w tym niebrzydzeniu wprawić ręką bez rękawiczki myłam spluwaczkę mego gruźlika. Jak ma się 19 lat wszystko traktuje się krańcowo. Zresztą o rękawiczkach do sprzątania nikt w tym szpitalu nie słyszał. Pożywieniem chorych był ciemny chleb, zbożowa kawa i zupa. Kto był zanadto chory, albo dostawał jakieś inne frykasy z domu to poprostu nie jadł. Tego chleba było mało. Dzieliłam zgodnie z przepisem, ale gdy ktoś nie chciał odkładałam i zabierałam do domu. Tak robiły prawie wszystkie sanitariuszki. Niektóre nawet zmniejszały te należne porcje, żeby więcej zabrać. W domach chleb był ciągle rarytasem. Królowały ziemniaki z maślanką. Chorzy mnie chwalili, że przeze mnie wydzielane porcje są większe i byłam z siebie zadowolona, póki stara posługaczka nie powiedziała „dobre jesteś dziecko, więc ci powiem, chorych i dzieci okradać to straszny grzech. Musisz ten chleb dzielić tym, którzy jeszcze są głodni”. Zawstydziłam się i postanowiłam, że będę już teraz zupełnie uczciwa, koniec z okupacyjnym procederem podkradania co się da. Chorzy mnie lubili i wołali „siostrzyczko” na co złościły się

prawdziwe siostry i praktykantki ze szkoły pielęgniarzkiej. Prostowały, że nie jestem siostrą tylko sanitariuszką. Na mojej sali leżał jeniec niemiecki, wykorzystując to, że z niższego personelu tylko ja go rozumiałam ciągle wnosił do mnie zażalenia, że np. on nie może jeść takiego chleba, jest zbyt chory, prosi o bułki. Była to pewna satysfakcja, że my dla niego jesteśmy dobrzy, opatrujemy jego odmrożone nogi i dajemy jeść to na co nas stać. U Ruskich byłby pewno zginął marnie, a tu sobie leży i ma za złe. Stwierdziłam, że tu dekonspirują moją inteligenckość prędzej niż w niemieckim szpitalu. Trzeba przyznać, że młodzi chłopcy od Berlinga zachowywali się bardzo przyzwoicie, żadnych pieprzonych żartów czy zaczepk. Pamiętam dwóch, Janka z amputowaną nogą i Tomasza. Opiekowali się razem ze mną tym małym chłopcem, do którego nikt nie przyjeżdżał i starali się mi pomóc w opiece nad ciężej chorymi. Obaj byli pogodnymi, wiejskimi chłopaczkami. Nie do pomyslenia byłaby scena, która pamiętałam z niemieckiego szpitala w Wilnie. Akurat przyjechał wtedy szpitalny pociąg i lekarze ręce mieli pełne roboty. Rozdawałam jakieś jedzenie, a na stole, który stał w środku sali ,lekarz opatrywał żołnierza golutkiego, jak go Pan Bóg stworzył. Rozdawałam zupę, przez dyskrecję unikając patrzenia na golasa. Wtedy reszta łobuzów poodkrywała swoje genitalia w sposób demonstracyjny ,głośno się śmiejąc i przygadując „no mała zobacz jak nie widziałaś” itp. Lekarz się wściekł, nakrzyczał na nich i potem prosił siostrę Marię, żeby mnie raczej używała do sprzątania kuchni i pokoju opatrunkowego, a nie posyłała na sale. To było oczywiście nierealne i okropnie nudne. Ten wybryk był możliwy, bo to byli nowi pacjenci, wprost z frontu. Potem wracali do normalniejszych zachowań. Ale wśród Polaków w Białymstoku coś takiego było nie do pomyslenia. Byłam z nich dumna. Toteż w wolnych chwilach (było ich mniej niż w niemieckim szpitalu) gawędziłam z przyjemnością z obu chłopcami i naszym małym podopiecznym. Między mną i siostrami i lekarzami była bariera. Różnica pozycji społecznej ,bardzo mocno podkreślana. Dzięki tej pauperyzacji zdobyłam coś

co mi do dziś dnia pomaga, miałam zawsze serdeczne, miłe stosunki z technicznymi pracownikami i z obsługą na uczelniach, na których pracowałam. Nawet w początkach Solidarności, gdy „lud” podlegał anty-dyrektorskiemu amokowi, ekipa, która mnie nieugięcie broniła byli nasi techniczni pracownicy. To było dziwne, bo naukowci dużo więcej mi zawdzięczali, doktoraty, wyjazdy zagraniczne, habilitacje itp. Myślę, że poprostu łatwiej mi się gada z prostymi ludźmi i lepiej ich rozumiem. W szpitalu pamiętam jeszcze dwa epizody: pierwszy trochę humorystyczny, drugi wzruszająco-patriotyczny. Oba zdarzenia były w czasie nocnych dyżurów. W czasie nocek lekarz dyżurny spał w innym pawilonie, dyżurna siostra w dyżurce sióstr, a ja walczyłam ze szczurami przysiadając w różnych salach, gdy mnie nogi bolały. Pewnej nocy, gdy dyżur miała bardzo stara (napewno koło czterdziestki!) gruba i bojaźliwa siostra, która trzy razy sprawdzała czy drzwi są dobrze zamknięte, bo bała się najścia bolszewików, usłyszałam łomot do tych zabarykadowanych drzwi. Siostrzyczka też się ocknęła i zaczęła krzyżeć, żebym nie otwierała. Z drugiej strony ktoś krzychał po polsku o rannym, który bez pomocy umrze. Wiadomo, w lesie jeszcze byli „nasi”. Więc otworzyłam. Przed drzwiami stał chłopski wóz, woźnica był wyraźnie pijany, ale na wozie leżał obficie krwią broczący nieprzytomny młody mężczyzna, Łapnęłyśmy go z siostrzyczką kładąc na nosze i do opatrunkowego. Woźnica z wozem znikli w ciemności. Siostra posłała mnie po lekarza do tego innego pawilonu. Waliłam tam do drzwi jak zwariowana, lekarz mnie wpięrow obrugał, ale jak dowiedział się, że jest jakiś ranny wylazł z dyżurki i poszedł ze mną. W międzyczasie siostra trochę obmyła i rozebrała delikwenta. Miał sporo płytkich ran zadanych najwyraźniej nożem i mocno nadwyreżoną nogę. Do tego był pijaniutki. Lekarz stwierdził, że nie musi dawać mu środków znieczulających, pozszywał co się dało, nogę umocował w szynie („siostrze, zróbcie rano roentgena i w gips, ta szyna to tak ze względów psychologicznych”). Położyłyśmy „umrzyka” na wózku na korytarzu, lekarz podśmiał się z

mojego uporu i przerażenia i spytał „a co ty tu właściwie robisz mała?” Rozszyfrował moje inteligenckie pochodzenie! Ci z oddziału nie rozszyfrowali, bo najwyżej wydawali polecenia, a nigdy ze mną nie rozmawiali. Gdy „umrzyk” wytrzeźwiał okazał się być aktywnym uczestnikiem uroczystości weselnej. Ten co go przywiózł, to był Pan Młody. Musiał wracać do gości. No cóż, nie było to „Wesele” Wyspiańskiego.

Drugie zdarzenie też było „na nocce”. W dyżurce sióstr siedział jakiś lekko ranny oficer Berlingowiec i opowiadał o ich bitwach. Przysiadłam na wózku na korytarzu, to było ciekawe. Zawołał mnie do dyżurki i teraz z kolei on zaczął mnie wypytywać, skąd, kto itp. I raptem się zasmucił „och te biedne polskie dzieci wyrzucone z gniazd, bezdomne”. Oburzyłam się, bo po pierwsze nie byłam już dzieckiem, po drugie mieszkałam z Mamą, siostrą i grupą przyjaciół i wcale nie czułam się bezdomna. Musiał mieć dzieci w moim wieku, bo moje druzgocące argumenty przeciw tej „bezdomności” przyjął z życzliwym powątpiewaniem.

W czasie mojej pracy w szpitalu znalazła się w Białymstoku nieoceniona pani Turkowska i przy pierwszym spotkaniu od razu spytała mnie czy zalegalizowałam swoją maturę w kuratorium. Jako, że mi to dotychczas nie przyszło do głowy, zabrałam się z zapalem do dzieła. Mam tę maturę, pisaną ręką przez Mamusię, która miała śliczny charakter pisma, potwierdzoną przez nauczycieli z Wilna i przez Kuratorium w Białymstoku. Wprost wierzyć mi się nie chciało, że ni z tego ni z owego mam pełne średnie wykształcenie. Pochwaliłam się tym siostrze oddziałowej, a ona zaproponowała, że mnie dookoptują do tego skróconego kursu położnych i pielęgniarek. Twierdziła, że mam praktykę, właściwy stosunek do chorych i, jak wynika z tej matury, podstawy teoretyczne. Jak się przyłożę to w te 3-4 miesiące, które są do końca kursu zostanę położną. Wróciłam po tej propozycji do domu dumna jak paw, koniec z nocnikami i podłogami. Będę robić zastrzyki, asystować lekarzom w czasie obchodu, może i

w czasie operacji, nie jako osioł taskający nosze, ale jako pielęgniarka. Wydawało mi się to ogromnym awansem. Mama poszła radzić się pani Tuni, która o dziwo była przeciw. „Jeśli pociąga cię medycyna to jedź do Lublina, tam możesz studiować. Ten kurs będziesz musiała przez parę lat odpracowywać, to nie ma sensu”. Znow w głębi duszy myślałam, że pani Tunia rozwała mi taki wspaniały plan. Do tego zauważyła: „Tylko żebyś się tam w Lublinie nie wplątała w żadną nielegalną robotę”. Po odmowie przejścia na Kurs moja sytuacja w szpitalu była niezręczna. Na szczęście pani Tunia miała przyjaciółkę dentystkę i umieściła mnie na stanowisku („umysłowym”) rejestratorki w czymś co nazywało się „Stacją dentystyczną”. Naprawdę nie wiem dlaczego to nie była Przychodnia, ale mniejsza z tym. Oprócz tej przyjaciółki pani Tuni „kierowniczką „stacji”, pracowały tam jeszcze dwie inne dentystki, magazynier, sprzątaczką i ja.

Jeszcze w czasie pracy w szpitalu przeżyłam koniec wojny. Nie był to taki koniec, na który czekaliśmy. Radzieccy żołnierze byli w Polsce, nie bardzo było wiadomo co będzie dalej. Andrzej bodaj Jankowski, Hali kolega, którego poleciła mi pani Turkowska, żebym go douczyła fizyki i matematyki przed eksternistyczną maturą ,twierdził, że napewno będzie następna wojna, i że on lada moment będzie znow w lesie. Nie bardzo zgadzałam się z tą jego interpretacją sytuacji politycznej, ale mi imponował tym swoim lasem, w którym był i do którego zamierzał wrócić. Kiedyś przyszedł na lekcje, jeszcze była zima, więc rąbałam drzewo na podwórku. Zebrałam te swoje szczapy, a on szedł luzem. Zobaczył to sasiad: „oj kiepski to kawaler co panience drew nie narąbie i pozwala je jej nosić”. Było to powiedziane oczywiście w wileńskiej gwarze. Zastanowiłam się przez chwilę, czy to „kawaler” czy kolega? Raczej kolega, któremu muszę pomóc To była oczywiście pomoc bezinteresowna. Za to druga lekcja, którą też naraiła mi pani Turkowska, była bardzo intratna. Przerabiałam cały Kurs I-jej gimnazjalnej z córeczką przekupki z targu, która to córunia ułała egzamin wstępny

do gimnazjum i po mojej edukacji miała zdawać do drugiej klasy. To było dużo dobrze płatnych godzin. W szpitalu brałam nocki, żeby rano, po wyczesaniu szpitalnych wszy i po umyciu się, edukować tę niezbyt bystrą, ale chętną i pracowitą dziewczuszkę. Z wszystkimi przedmiotami dawałam sobie radę, z wyjątkiem francuskiego. Znalazłam obłądne rozwiązanie: kazałam małej uczyć się na pamięć kolejnych czytanek, no i gramatyki. Czytanki były coraz dłuższe i uczennica podobno budziła się w nocy wrzeszcząc francuskie zdania. Matka prosiła, żebym jej trochę pofolgować „dziewczynki, które chodzą do gimnazjum tyle się nie uczą!”. Ale zdawała sobie sprawę, że mała robi postępy, i że ten egzamin do następnej klasy jest realny. Dostawałam w nagrodę oprócz zapłaty, cenne prezenty z kiosku matki. Pamiętam śliczne białe skarpetki. Pierwsze tak piękne od prehistorycznych czasów.

Ten niewłaściwy koniec wojny w szpitalu zaowocował bardzo kapryśną pacjentką, żoną jakiegoś białostockiego dygnitarza, postrzeloną na balkonie, gdy mołojcy strzelali na wiwat. Wcale jej nie żałowałam, bo czy było się na co gapić? I do tego tyle wrzasku o draśniętą kulą nogę. Gdy tylu prawdziwie chorych nie robi takiego zamieszania.

Koniec wojny nasilił natomiast rozważania „co dalej?”. Póki była wojna, czekało się na jej koniec. A teraz na co czekać? Na początek następnej? Czy też spróbować żyć w tej rzeczywistości, którą nam historia w Jałcie zafundowała? Nie były to pytania na moją 19-letnią głowę, ale usiłowałam coś wymyślić. Zdecydowałam raczej żyć, jak się da możliwie najnormalniej. Próbować robić to „co się da legalnie robić”, w powstałej sytuacji. Podzieliłam się z Panią Tunią tymi przemyśleniami „pewno zredagowanymi bardzo obcesowo” i usłyszałam, że to „zdrada naszych ideałów”. Zdrada, to było mocne słowo. Tak „shańbiona” wybiegłam z domu, żeby umrzeć. Po szosie jechały sowieckie czołgi. Rzucić się? Wyobraziłam sobie mołojców śmiejących się, że dziewczynę chyba chłopak rzucił. Położyłam się w lesie koło szosy i beznadziejnie wymiotując usiłowałam przemyśleć

sytuację. Przypomniałam sobie chorą mamę, ojca, który może gdzieś w świecie żyje i postanowiłam „mimo wszystko żyć”. Gdy wracałam spotkałam zapłakaną mamę. Słyszała naszą rozmowę i przerażona pobiegła mnie szukać. Uspokoiliłam ją i wróciliśmy do domu. Z Mamy zdrowiem było coraz gorzej. Zapalenia płuc i chore serce (angina pectoris). Muszę podkreślić, że pani Tunia była przeciwna dalszej konspiracji, nie uważała jej za celową. Moje sformułowania „o współpracy” musiały brzmieć okropnie, skoro tak gwałtownie zareagowała. Pamiętam, że raz starczyło nam pieniędzy na lekarza, zapisał, jak zawsze glukozę i wapno w zastrzykach. Był aptekarz, który nam te, ratujące mamy życie leki sprzedawał po paskarskich cenach, ale na zastrzyki nie miałyśmy już pieniędzy. Pobiegłam do antykwariatu gdzie leżały do sprzedania dalsze książki. Na wystawie nie było już naszej encyklopedii. Wpadłam jak bomba do sklepu prosząc o pieniądze za książki. Właścicielka powiedziała, że encyklopedii jeszcze nie sprzedała, jakiś pan ją wzięł, żeby obejrzeć i zdecydować czy kupi. Wiedziałam, że kłamie. Ale forszę obiecywała dopiero na jutro lub pojutrze. A ja muszę ją mieć dziś. Jak zawsze dramatyzuję i myślę, że do jutra bez tych leków, mama umrze. Biegnę do Stacji Dentystycznej gdzie jest moja zmienniczka. Może pożycz mi te pieniądze? Wpadam zaryczana, powoli tłumaczę sytuację. Ona przykazuje mi, żebym ją zastąpiła. Jej narzeczony pracuje w PUR-e, może on coś poradzi. Rejestruję pacjentów. Za godzinę moja koleżanka wraca z jakimś młodym człowiekiem. Mam coś podpisać i daje mi gotówkę, zapomogę z PUR-u. Ściskam ich oboje i lecę do aptekarza i do domu. Po drodze po siostrę, żeby zaraz zrobiła te dożylnie zastrzyki. Hala na mnie wpada: „gdzie się włóczysz, kiedy mamie coraz gorzej”. Usiłuję wytłumaczyć, że to prawie cud, że dostałam tę forszę. Cud, bo załatwić coś z władzami to umie Hala, a nie ja. Jest pełną wdzięku dziewczyną. Ma piękne, czarne mamy oczy, filuternie zadarty nos Babci Mani, długie piękne warkoczki, zgrabną figurkę i miły uśmiech. „Wdzięk to kobiecie piękność dał...” Ja mimo moich regularnych rysów jestem

zupełnie pozbawiona wdzięku, ni to dziewczynka ni to chłopak. Niedźwiadkowato się poruszające stworzenie w okularach. No ale tym razem udało się ślepiej kurze ziarno.

W Stacji pracowałam z zapalem. Czułam się potrzebna. Z magazynierem kupowaliśmy na targu od szabrowników narzędzia denstystyczne i materiały potrzebne do łatania zębów. Większość zabiegów to były ekstrakcje zaniedbywanych zębów. Kto miał głowę i warunki do łatania zębów w czasie wojny? Ja też przez całą wojnę nie byłam u dentysty. Coś tam znalazły mi panie dentystki do plombowania i złatały. Stosunki były miłe, pacjenci wdzięczni (dowody wdzięczności zwykle z oburzeniem odrzucałam, choć czasem, żeby nie urazić ofiarodawcy, te parę jajek należało z wdzięcznością przyjąć). Gdy spotkałam po wojnie Stryja Jurka przypomniał mi, że pisałam do niego o łataniu dachu przychodni. Naprawdę łąziłam po tym dachu z majster-klepką, który miał załatać dziury. Magazynier był zaufanym człowiekiem kierowniczką. Przezywałam go po cichu „postillon d'amour”, bo nosił do kogoś jakieś jej miłosne „mocno tajne” liściki. Na kupidyna nie wyglądał, zwałisty, niski, śmierdzący kiepskim tytoniem, ale widać się sprawdzał, choć dyskrecją nie musiał grzeszyć jeśli ja coś o tym wiedziałam. Za to ja okropnie podpadłam kierownicze. Tak bardzo, że się na mnie okropnie naskarżyła pani Tuni w tonie „bardzo się na niej zawiodłam, wydawała się rozsądna”. Cała heca była o spuchniętego chłopca. Przyjechał z matką z jakiejś odległej wsi, okropnie zbolący. Tego dnia miała być dr xx, która się nie zjawiła. Odprawiłam innych pacjentów, ale tego smarkacza posłałam jej do domu, do prywatnego gabinetu, do tego dzwoniąc, że skoro nie przyszła to musi za karę przyjąć go w domu. Dziś byłabym tę panią mile poprosiła i przepraszała. Wtedy byłam zasadnicza i nieznośnie prostolinijna. Baba się przestraszyła (a nuż naskarzę na nią do władz?) chłopca opatrzyła, ale na mnie okropnie nagadała do kierowniczką, a ta oczywiście odegrała się na mnie skarżąc pani Tuni, która miała nieostrożność protegować takiego raroga. Naprawdę byłam nieznośna i dostałam słuszną

reprimendę. Mimo to niewiele zmadrzałam i jeszcze potem wiele razy w życiu oberwałam za sprawy, które mi się wydawały słuszne i ważne. Jak już pisałam Hala zawsze była miłą dziewczyną, którą wszyscy lubili.

WARSZAWA

Mama znów zaczęła myśleć o powrocie do Warszawy, co było raczej oryginalnym pomysłem, bo dochodziły wieści, że Warszawa jest abstrakcyjnym pojęciem geograficznym, a nie miastem. Jedyną osobą w Warszawie, z którą mieliśmy jakiś kontakt była Zosia, siostrzenica ciotki Fetki, córka generała Dąb-Biernackiego. Dała znać ciotce, że pracuje w PCK na Nowogrodzkiej. Umówiliśmy się z ciotką, że u Zosi złożymy nasze rzeczy, fortepian zostawimy w Białymstoku i będziemy próbowały kogoś znaleźć w tej Warszawie. Coś tam zabrałyśmy ciotczynego, ale nie węża boa - dywanowego, bo się ciotka nie chciała z nim rozstać. Hala z wrodzonym wdziękiem wydostała z PUR-u ciężarówkę i znalazła faceta, który zgodził się ją opłacić za to, że zabierzemy jego towar. Były to jakieś beczki. Mamę wsadziłyśmy do szoferki, tam był już szofer i ten od beczek, więc my usiadłyśmy na tobołkach pomiędzy niebezpiecznie przemieszczającymi się beczkami. Byliśmy już blisko Warszawy gdy „beczkowy” zdecydował, że prześpiemy się w plenerze i rano wjedziemy do stolicy. Nam to też odpowiadało, bo dawało jakiś dzienny czas na porzucenie rzeczy u nieznaney nam Zosi i nawiązanie jakichś kontaktów. Z kim się da. Spaliśmy koło jakichś snopków w polu. Pogoda była śliczna, tylko niestety „beczkowy” śpiewał do Hali serenady, więc nie zmrużyłam oka przemyślując jak go zwalczę gdyby zaczął być natrętny w mniej platoniczny sposób. Byłam zdania, że Hala przesadziła w czarowaniu tego faceta. Świt był wczesny więc pojechałyśmy na Nowogrodzką do PCK. Zosia była, ucieszyła się wieściami o ciotce. Ale byłyśmy tak przerażone, że nie weźmie naszych rzeczy, że skłamałyśmy, że to

większość rzeczy ciotki, a nasze jakieś drobiazgi. Przenosząc nasz biedny dobytek zdumiała się nad stołkiem do fortepianu „a to po co ciocia wlokła?”. Wzięliśmy ten stołek jako symbol ciągłości naszej rodzinnej historii, z Nowogrodzkiej na Nowogrodzką. Wiedziałyśmy, że gmach Fizyki Uniwersytetu ocalał. Było to stosunkowo blisko. Postanowiłyśmy tam zasięgnąć języka. Laborant pan Wojciech Lis przyjął nas jak rodzinę. Dowiedziałyśmy się, że dawny Taty szef, prof. Pieńkowski usiłuje uruchomić Uniwersytet, można go będzie złapać jutro na Krakowskim Przedmieściu, a prof. Władysław Kapuściński wykłada na już uruchomionej medycynie i mieszka na Grochowskiej na Pradze. Wobec tak świetnych perspektyw znalazłyśmy „okazję” na Pragę i zwaliłyśmy się Kapuścińskim na głowę do pokoiku chyba mniej niż dziesięciometrowego. Cóż mieli zrobić, ucieszyli się i posłali nam na podłozę. Prawie całą noc przegadaliśmy o naszych i ich wojennych losach. Nakarmili nas i zaraz rano pojechaliśmy na to Krakowskie Przedmieście. Prof. Pieńkowski był ogromnie zajęty, ale dla nas miał czas. W gabinecie rozmawiała z nim Mama. Myśmy czekały pod drzwiami. Wyszedł nas zobaczyć. Mama zdążyła mu powiedzieć, że mam prawie same piątki na maturze, i że chcę studiować Fizykę. Spytał się mnie, czy naprawdę chcę studiować Fizykę. Powiedziałam, że chciałabym o ile będzie Fizyka w Warszawie. Uśmiechnął się „Obiecuję ci, że będzie, a Twój Ojciec jest w Szkocji w Edynburgu i wykłada na Polskim Wydziale Lekarskim. Wybieram się do Anglii, to go namówię na powrót”. Zupełnie mnie zatkało. Tyle szczęścia w jednej chwili. Mama była genialna, że nam tu kazała wracać. Będziemy tymczasem mieszkać na Hożej, w gmachu Fizyki. Rektor Pieńkowski wydał już w tej sprawie dyspozycje. Pan Wojciech Lis nami się zaopiekuje i pomoże nam przewieźć nasze rzeczy na Hożą.

Gmach stał, ale był pusty. Wybrałyśmy jeden pokój z umywalnią, niedaleko od jakiejś ubikacji. Luksus. Z wózkiem ręcznym powędrowałam z panem Wojciechem do PCK. Ze

straszonym wstydem. Bo ze strachu nakłamałyśmy tej Zosi, że to prawie wszystko rzeczy cioci Fetki. A teraz trzeba było odszczekać to i zabrać swoje graty. Nie było tego dużo. Po zostawieniu fortepianu w Białymstoku i sprzedaży większości książek zostały jakieś nędzne tobołki. Pamiętam mój dziecinny jeszcze materacyk, na którym spałam na podłodze. Był tak spracowany, że gdy przewoziliśmy potem ten „dobytek” do Torunia, to jakiś student pomagający ,w ramach pracy społecznej, nam się zakwaterować spytał mnie czy mamy pieska, który śpi na tym materacyku. Tymczasem wytargaliśmy tobołki z PCK, biedna Zosia dziwiła się co właściwie jest własnością jej ciotki. Okazało się, że prawie nic. Na Hożej było nam świetnie. Wszyscy nas lubili i się nami opiekowali. Widziałam z radością, że wszyscy zarówno naukowcy jak i obsługa Hożej bardzo lubili Tatę i część tej sympatii przelali na nas. Douczałam syna pana Lisa, miłego Jureczka zwanego czemuś Niuniusiem. Poza tym Hala zapisała się na SGGW, ja złożyłam papiery na Fizykę na UW. Hala znalazła sobie pracę sekretarki w Składnicy Znaczków Pocztowych. Była to świetna praca, dawali ,tak jak w mennicy ,deputat: mąkę, cukier itp. luksusy. Ale SGGW zaczęło działać wysyłając swoich adeptów na praktykę do sądów w Skierniewicach. Hala zaprowadziła mnie do Składnicy mając nadzieję, że kierownik zaangażuje mnie na jej miejsce. Popatrzył krytycznie i oszacował, że mnie weźmie, ale „na salę” to jest do sprawdzania i pakowania znaczków. Praca była nudna, ale po przełamaniu pierwszych lodów (uwagi: „bo to teraz takie pannice po maturze będą tu pracować, a nas stare pracowniczki to powyrzucają”) stosunki zrobiły się rodzinne. Pracowałam razem z miłą panią, która nazywała mnie córeczką. Inna starsza pani prosiła, żeby ją nazywać babcią. Kierownik sali, bardzo miły trochę rubaszny pan, zaopiekował się w czasie wojny żydowskim dzieckiem Hanią, którą oboje z żoną okropnie rozpuszczali. Twierdził, że znalazł ją w lesie i nic nie wie o jej rodzinie. Myślę, że to był wybieg, żeby się ta rodzina nie znalazła i dziecka mu nie zabrała. Haneczka chyba nic nie

pamiętała ze swego życia przed przybyciem do opiekunów, których uważała za rodziców. Była rezolutnym i wesołym dzieckiem. Codziennie wysłuchiwałam historii o jej mądrości i figlach. Miała wtedy chyba ze dwa lub trzy lata. Arkusze znaczków należało sprawdzać, uszkodzone sztuki usunąć dodając zastępcze dobre, policzyć arkusze, napisać protokół podpisany przez dwie pracownice i kopertę zakleić. Raz zostałam „ochrzczona”, bo zapakowałyśmy przez pomyłkę jeden arkusz za dużo, a uczciwa poczta odesłała superatę razem z protokołem. Bardzo się wstydziłam. To było głupie, zwykle liczba arkuszy się zgadzała, więc więcej uwagi poświęcałam preferacji znaczków niż liczeniu arkuszy. Podobnie zrobiła moja towarzyszką pracy, licząc na mnie. Jeszcze przed tą pracą zdałam egzamin na Fizykę. Z tym było pełno hysterii. Byłam przekonana, że wszystko zapomniałam, i że z pewnością obleję. Nie miałam książek ani notatek, żeby powtórzyć. Od matury minął prawie rok pełen różnych bardzo mocnych przeżyć. Mieszkałyśmy wtedy już w mieszkaniu, też na Hożej, w którym mieszkali też państwo Rektorostwo Pieńkowscy. Pamiętam, że siedziałam na moim posłaniu (historycznym materacyku) i płakałam rozpaczliwie. Wojna się w końcu skończyła, choć głupio, ale jednak, można więc sobie było pozwolić na „trochę” słabości. Przyszedł Taty przyjaciel, chemik prof. Kemula. Pamiętałam go, bo przychodził do nas przed wojną, a nawet robił nam zdjęcia z naszej I Komunii. Tłumaczył mi życzliwie, że szewc ma buty, a profesorowie to przynajmniej powinni mieć możliwość kształcenia dzieci. I że na Chemię, to mnie weźmie i koniec bez względu na wynik egzaminu. Ale ja chciałam koniecznie na Fizykę. Co prawda chciałam na raz studiować Fizykę i Biologię, ale w złożonej sytuacji postanowiłam wystartować od Fizyki. Pani Twarowska (asystentka Fizyki, jeszcze przed wojny, która potem wstąpiła do klasztoru) wzięła mnie na powtórkę razem z jakimś swoim uczniem. I ten chłopak umiał więcej ode mnie! Złapałam jakieś uniwersyteckie matematyki i usiłowałam przez nie przebrnąć, oczywiście bez skutku. Stąd ta rozpacz. Mimo

to poszłam na egzamin. Pan Lis złapał jakąś asystentkę z matematyki i przedstawił mnie „to córka naszego docenta, niech się pani nią zaopiekuje”. Po tak wybitnej protekcji (nie mówiąc o rektorskim poparciu) powinnam się uspokoić. Ale okropnie się denerwowałam i pomyliłam się w jakichś współczynnikach. Wyszły okropne, więc czułam, że jest błąd rachunkowy, ale nie mogłam go znaleźć. I tu ta protekcja pana Lisa pomogła, bo ta pani poradziła mi żebym robiła następne zadania, „błąd rachunkowy nie jest istotny”. I tak zdałam.

I byłam na liście przyjętych. Poszłam na inaugurację. Była na Krakowskim Przedmieściu, tam gdzie byłam jako dziecko na habilitacji ojca. Tylko w innej sali. Prof. Czesław Białobrzęski, fizyk teoretyk, miał wykład inauguracyjny. Mówił mądrze, ale z bardzo kresowym, może nawet rosyjskim akcentem. Wiedziałam, że jest wybitnym fizykiem i słuchałam uważnie, ale obok mnie stali jacyś medycy „jeszcze z tajnego uniwersytetu, i krytykowali bezlitośnie „Żeby dali naszego Kapuścińskiego, toby coś mądrego powiedział i jeszcze pożartował”. Miło mi było, że tak lubią prof. Kapuścińskiego (Taty przyjaciela, który mnie też zawsze lubił), ale zgorziona byłam ich krytykanctwem, choć troszkę mi imponowali. I tak zostałam studentką. W międzyczasie zaczęłam tę pracę w Składnicy Znaczków i nie bardzo wiedziałam jak sobie z nią i studiami poradzę. Biegałam na popołudniowe zajęcia i przepisywałam poranne wykłady. Jakoś tak to było, że na astronomię wykładaną przez prof. W. Zonna mogłam chodzić. Zdawałam sobie sprawę, że na dłuższą metę takie studiowanie nie jest możliwe. Ale przecież liczyłam na Taty powrót. Pomału zaczęli się znajdować nie tylko znajomi z Uniwersytetu, ale i inni przyjaciele oraz rodzina. Nastrój był taki jak przy spotkaniu rozbitków na bezludnej wyspie po zatonięciu statku. Radość, że ten ktoś żyje, to było poprostu coś takiego, jak odzyskiwanie zaginionego świata. Znalazła się kuzynka Taty Hala Pęska z córką Stasią. Opowiadały z radością jak im się udało odszukać i pochować ciało męża i ojca. Olbrzymie osiągnięcie, nawet trumnę zdobyły. W ogóle ekshumacje to był temat

niezwykle aktualny. Wszyscy szukali ciał swych bliskich no i wiadomości o losie tych, którzy przeżyli kataklizm powstania. Po Warszawie kursowały chłopskie wózki wożące trumny z ciałami bohaterów, przykryte jakimiś gałęziami. Zapach rozkładających się ciał jakoś nikogo nie raził. Na ruinach domów zostawiano kartki z nazwiskami i aktualnymi adresami dawnych mieszkańców. Hala zostawiła kartkę w ruinach Babci Mani domu przy Grzybowskiej i w wyniku pojawiła się ciocia Ira. Mieszkała gdzieś na wsi u krewnych razem z Janką Chomicką, tą ciocią, u której byłam w Święcianach. Ciotka Ira walczyła dzielnie w powstaniu (Krzyż Walecznych). Słyszała, że jej syn Andrzej żył do końca powstania i został wywieziony gdzieś do Niemiec. Szukała go przez PCK. Ciotki Janki mąż też się gdzieś zawieruszył, ale też miała nadzieję, że żyje i że go znajdzie. W tym czasie wszyscy byli optymistami, jeśli chodziło o życie bliskich. Jeśli nie było definitywnej wiadomości o śmierci, to ufali, że się spotkają. Natomiast „de publicis” były bardzo różne odczucia. My ze wschodu truchleliśmy, że z nas zrobią 17 republikę radziecką. Pamiętaliśmy ten proces z historii Litwy i okropnie baliśmy się powtórki. Warszawiacy cieszyli się klęską Niemców, którzy okrutnie dali się im we znaki, „Rusków” traktowali jako niezłych przygłupów, którzy wprawdzie rabują „czasy” i gwałcą, ale cóż, wojna to wojna. Zanadto cieszyli się po makabrze powstania poprostu istnieniem, aby zbyt czarno widzieć przyszłość. Do tego to nie oni utracili „kraj lat dziecińczych”. Wprawdzie Warszawa prawie nie istniała, ale wola ludku warszawskiego aby istnieć „na przekór trudnościom”, właśnie w tym miejscu była wzruszająca. Nie była w tym okresie zbyt pobożna, ale pamiętam jak stoję przed kościołem św. Barbary, gdzie odprawia się msza, a ja „targuję” się naiwnie z Panem Bogiem „niech oślepnę, niech wyłysię, ale żebyśmy nie zostali 17-tą republiką”. No cóż „Bogu nie były potrzebne takie ofiary. To jest Bóg, który z powodu jednego sprawiedliwego oszczędził Niniwę, może trochę więcej sprawiedliwych było jednak i w Warszawie? Dość, że do tej ostatecznej klęski nie doszło, a ja ciągle jakoś widzę i coś mi

tam na łbie siwieje. To ślepięcie było prawdopodobne, od urodzenia mam praktycznie jednooczne widzenie, no i w tym lepszym oku paskudny astygmatyzm. Ale to łysienie to jedno z dziwactw. W nastoletnim wieku co jakiś czas mi się zdawało, że mi włosy zbyt wypadają i bardzo się tym martwiłam. Aż mi dziwnie, że taka pannica, studentka była jeszcze tak głupiutka. Mimo wszystko staramy się żyć możliwie normalnie. Są aresztowania. Żona Zdzicha Małkowskiego jest w ciąży, a on wpada „do kotła”. Milicjant przychodzi po nią. Chcę iść za nią, ale w końcu nie idę, bo prof. Pniewski mnie zatrzymuje. Przywiózł jakieś przyrządy z „szabru” i chce mi pokazać. Nie umiem odmówić, bo przecież mam być tym fizykiem. Prof. Pniewski jeździ na „Ziemie odzyskane” i zwozi co się da do warszawskiej Fizyki. To jest jeździ, ale nie jest jeszcze profesorem tylko asystentem. I czasem chodzimy z nim i z Panią Twarowską do kina. A często rozmawiamy sobie o tym i owym. Jest bardzo miły i serdecznie wspomina Tatę. Z tym „kotłem” kończy się dobrze. Zdzicha i Krysie zwalniają. Za to pani Twarowska ma jakieś kłopoty, bo znaleźli u niej coś co ktoś jej dał na przechowanie. Ale też to się jakoś znośnie kończy. Takie „małe” i większe incydenty przypominają nam ciągle, że to nie jest to co powinno być. I że dla nas ta wojna jeszcze nie całkiem się skończyła. Dla mnie prywatnie też jeszcze trwa, bo Taty ciągle nie ma. Mama czuje się podle. Mdleje na ulicy i nikt jej nie pomaga. Mówi z przerażeniem, że leżała na chodniku ,a nikt się tym nie zainteresował. No cóż, wciąż jest dużo makabry. Ludzie zobojętnieli na takie drobiazgi jak kobieta, która zasłała.

EDYNBURG - KORESPONDENCJA Z WARSZAWA

Listy Taty z Edynburga do Warszawy i nasze do Edynburga.

W Warszawie nawiązujemy wreszcie kontakt z Ojcem. Z początku przez okazje, ktoś jedzie do Anglii, ktoś wraca. Jednym z „posłańców” był Rektor Pieńkowski, który pojechał do

Anglii między innymi po to żeby ściągnąć do Polski mego Ojca. Ale to troszkę później. Pierwszy list Taty był z sierpnia 45 r.

8.8.45r.

Kochana Wituchno!

Nie mogę Ci opisać wzruszenia, które mię ogarnęło, kiedy po tylu latach, znów możliwy stał się kontakt między nami. Jakie to szczęście, żeście cało wyszły z tych wszystkich opresji. Martwi mnie Twoje zdrowie, Biedulko Kochana! Całe szczęście, że mamy takie dzielne córki. Aż podziw mnie bierze, że zdołały uzyskać matury i doszły do studiów uniwersyteckich. Szczęście też wielkie, że Zakład Was przytulił. Gdziebyście się podziały, gdyby nie ten przytułek? Chciałbym bardzo być z Wami i pracować w swoim zawodzie i w ten sposób ulżyć Waszej doli. Napisałem do prof. Pieńkowskiego z prośbą o wiadomości o Was. Może on coś mi będzie mógł doradzić. W żadnym razie nie chciałbym być ciężarem dla Was, a pracować chyba mogę tylko jako fizyk. Watpię, abym mógł skrzypcami zarobić na Wasze utrzymanie. Mam trochę książek fizycznych, których na pewno nie ma jeszcze w Polsce. Napisałem dłuższą pracę, którą za pośrednictwem Swingsa odesłałem do Physical Review w Ameryce. Obecnie jest w druku. Poza tym ogłosiłem bardzo krótką notatkę w Nature. Z Zygmondami koresponduję. Zawsze dopytują się czy nie ma jakichś wiadomości o was. Wituchno Kochana, przyślij mi Twoją fotografię, nie mam żadnej. Bardzo mnie zmartwiła wiadomość o Konewkach. Cieszę się natomiast, że inni koledzy i p. Władysław Krasieński żyją. Bardzo to kochany mój przyjaciel! A co ze Staszewskim? Z Michałami? Czy słyszałaś co o Stasi, Maksiu i ich córce i zięciu? O Lidzie? Od Jurka i Brunka mam wiadomości. Brunek widział się z Myszka. Od Dudusia dawno nie było żadnych wiadomości. Bardzo się martwię, że w obecnej chwili nie mam żadnych możliwości, żeby Wam pomóc. Może to się jednak zmieni.

Przeszedłem malarię, ale teraz już jestem zdrow. Oprócz żołądka, który szwankuje, nic mi specjalnie nie dolega.

Pozdrów serdecznie kolegów, pana Lisa i obu Władysławów z ich rodzinami. Ciebie i Halę serdecznie całuję (do Danusi piszę osobno) i czekam z utęsknieniem na dalsze wiadomości.

Twój Olek.

Komentarz:

Konewkowie, Antoni Konewka, uczestnik kwartetów zginął wraz z rodziną zasypany w czasie powstania. Stasia i Maksio, Mamy siostra Stanisława Drozdowicz, nauczycielka muzyki i jej mąż przed wojną w Poznaniu, w czasie wojny w Kazachstanie, po wojnie też w Poznaniu. Zięć, oficer poległ w 39 roku. Córka wraz z synkiem przeżyli. Lida, siostra Mamy (mama miała siedem sióstr i dwóch braci). Dwaj p. Władysławowie to prof. Kapuściński i członek kwartetu Wł. Krasiński. Pan Lis, pracownik Zakładu Fizyki, zaufany człowiek prof. Pieńkowskiego, niezwykle barwna postać z Hożej 69, bardzo nam pomocny i życzliwy.

A to list do mnie.

Danuśko Kochana!

Dowiaduję się, żeś sobie obrała fizykę, jako specjalny przedmiot studiów. Serdecznie Ci gratuluję wyboru i strasznie się cieszę. Czy zostało co z książek fizycznych, z których mogłabyś korzystać? Cieszę się, że obie jesteście takie dzielne, że potrafiłyście i zarabiać i uzyskać matury. I pewno opiekujecie się Mamusią, która po chorobie (i z powodu serca) Waszej opieki potrzebuje.

Widziałem Was ostatni raz, jako podlotki jeszcze, a teraz już jesteście dorosłymi pannami.

Namów Halę, żeby napisała do mnie parę słów i sama też napisz. Pewno Wam przykro było,

że rozstaliśmy się tak nagle. Możesz sobie wyobrazić, jak strasznie byłem o Was niespokojny nie mając tak długi czas żadnej o Was wiadomości.

Bardzo Ci jestem wdzięczny za pamięć o ojcu, który tyle czasu tak daleko od Ciebie przebywa. Całuję Cię serdecznie Twój Ojciec

Ten list jest odpowiedzią na listy Mamy i mój z dnia 2.VIII.45 roku adresowane:

„Aleksander Jabłoński Polski Wydział Lekarski Edynburg przez grzeczność”.

Kochany Olku!

Jesteśmy w Warszawie chwilowo na Hożej 69. Hala i Dana są po maturze. Hala pojechała do Skierniewic na praktykę (Wyższa Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego) a Dana chwilowo pracuje na poczcie co daje nam utrzymanie, od października ma studiować tu Fizykę. Dzieci są dzielne, pracowite i bardzo dobre. Przed paru tygodniami chorowałam na zapalenie płuc, bardzo mnie to zmęczyło i wyczerpało tak, że chwilowo nie mogę zabrać się do pracy. Szczególnie dokucza serce, które już od dłuższego czasu szwankuje. Tęsknimy do Ciebie bardzo, jeśli możesz to przyjeżdż. Koledzy Twoi pracują w swoim zawodzie, Szczepan ożenił się z wdową po prof. Kempisty, pani Irena B.(Bobrówna) pracuje w geologii, pan Władysław (Kapuściński) pracuje w Warszawie. Inka bardzo urosła. Heniczka pojechał do Łodzi, nie wiem tylko czy już się zdecydował tam pozostać, bo stale jeździ i wybiera katedry. Sołtan też w Łodzi, większość profesorów z Wilna pojechała do Torunia i Gdańska. Na Grzybowskiej dom rozbity, z mieszkaniem tu trudności., nawet jednego pokoiku nie możemy narazie zdobyć. Ta wojna tak mnie zmęczyła i wyczerpała, że marzę o chwili kiedy córki będą mogły uczyć się bez zarobkowania. Z naszego kwartetu żyje tylko pan Władysław K. Świętej pamięci Antoni zginął z rodziną pod gruzami własnego domu. Twoje skrzypce ocalały.

Dziękujemy za paczki, które nam przysłałeś. Całuję Cię bardzo serdecznie i wyczekuję z niecierpliwością Twoja Wituchna.

Komentarz:

Inka Kapuścińska, córka prof. W. Kapuścińskiego, Antoni Konewka, uczestnik kwartetu, Władysław Krasieński też z kwartetu, dom na Grzybowskiej, w którym mieszkała Babcia Mania (Jabłońska) z córką Ireną i wnukiem Andrzejem zwanym przez Tatusia ciągle Dudusiem. Szczepan, prof. Sz. Szczeniowski, Heniczka, prof. Henryk Niewodniczański, p. Irena Bobrówna, zaprzyjaźniona fizyczka, potem geofizyczka, od lat bardzo zaprzyjaźniona z prof. Szczeniowskim. Po wojnie wyszła za mąż za inż. Modraka.

Przez tą samą okazję przesłany był mój list, też z 2 sierpnia 1945 r.

Kochany Tatusiu!

Tęsknimy za Tobą bardzo. Jesteśmy od dwóch tygodni w Warszawie. Cioci Iry nie mogliśmy dotychczas, pomimo intensywnego szukania odnaleźć. Podobno żyje i mieszka gdzieś na wsi. Strasznie trudno dowiedzieć się czegoś o swych bliskich i znajomych. Nie wiem również gdzie znajduje się Stryj Jurek. Czekamy bardzo na Twój powrót, ale rób jak uważasz, trudno cokolwiek radzić. Żebyś była na Twoim miejscu tobym wróciła. Dajemy sobie radę. Uniwersytet Warszawski będzie czynny. Hala jest studentką pierwszego roku Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Teraz jest w Skierniewicach na praktyce. Przyjeżdża do Warszawy na niedzielę. W Skierniewicach ma dużo pracy. Pracują po 9 i 1/2 godzin w ogrodzie, a poza tym mają trzy razy w tygodniu lekcje angielskiego. Hala odziedziczyła Mamusi energię, lubi bardzo (i umie!) załatwić różne sprawy do czego ja czuję wrodzoną antypatię. Jak przyjedziesz, to pewno będzie dużo opowiadania. Pisać o wszystkim

jest trochę trudno. Wszystko wydaje się zbyt blahe i ostatecznie nie wiadomo co pisać. W Zakładzie szyby już są, ale przyrządów żadnych nie ma. Pan Lis jest w dalszym ciągu woźnym i nie może się Ciebie doczekać. Znajomi z Wilna rozsypali się po całej Polsce, więc trudno z nimi utrzymywać kontakt. Niektórzy jeżdżą po całym kraju i nie mogą się zdecydować gdzie się osiedlić. My osiadliśmy z przyzwyczajenia w stolicy. Całuję Cię serdecznie Twoja córka Dana.

Mój następny list jest z 9.09.45.

Kochany Tatusiu!

O wszystkich rodzinnych nowinach napisała już do Ciebie Mamusia. Wysłałam niedawno do Ciebie długi list, nie wiem czy doszedł. U nas wszystko po staremu. O sobie nie mam nic ciekawego do napisania, bo dni są wszystkie do siebie podobne. Praca na poczcie i w domu, brak książek do czytania. Zdziczałam do końca, choć pewno wiesz, że nigdy nie byłam zbyt towarzyska, ale w Wilnie przez te ciężkie lata zdobył sobie człowiek trochę przyjaciół i nie był taki samotny. Tu zresztą wszyscy są bardzo serdeczni, tylko, że to są dla mnie całkiem nowi ludzie, a ja nie lubię nowych ludzi, szczególnie takich „dobrze wychowanych”. Na poczcie towarzyski pracy lubią mnie zdaje się, ale są wszystkie półinteligentne, więc trudno marzyć z nimi o jakiejś poważnej rozmowie. Czekam z niecierpliwością, ale i ze strachem na początek roku akademickiego. Orientuję się, że mam duże braki w wiadomościach szczególnie z matematyki, a nie mam teraz jakoś energii żeby się samej zabrać do roboty. Poza tym nie wiem jeszcze jak urządzę swoje sprawy, czy poczta nie będzie zanadto kolidować z wykładami? Nie mam w Warszawie znajomości nauczycielskich, więc wątpię czy dostanę korepetycje. Hala napisała do Ciebie długi list, który wysłałam pocztą. Jest teraz gdzieś w Łowickim. Podobno tam bardzo ładnie. Zarabia, ale pieniądze idą na utrzymanie.

Troszkę widocznie może zaoszczędzić, bo dziś np. przysłała nam przez jedną z koleżanek parę kilo jabłek. Okazy te dobrze świadczą o poziomie Ogrodniczej Stacji Doświadczalnej, w której praktykuje. Pisała, że gotują im Niemki. Było to dla mnie pewną satysfakcją po latach poniewierki po niemieckich kuchniach i szpitalach. Czy mógłbyś napisać kiedy i gdzie widziałeś ostatni raz pana Edwarda Downarowicza? Może znasz jego miejsce pobytu? Jego żona z córeczką są w Poznaniu. Syn, w kraju Twego dzieciństwa, ale są pewne nadzieje, że powróci. Przepraszam, że zamęczam Cię obcymi sprawami, ale mam jeszcze jedną prośbę, czy nie mógłbyś spróbować odszukać Danuty Urzykowskiej (20 lat), ostatnio podobno była w jakimś obozie w Niemczech jako jeniec wojenny i Haneczki Urzykowskiej (15 lat) była gdzieś pod Hannoverem. Może Czerwony Krzyż mógłby Ci w tym pomóc? Rodzina jest bardzo niespokojna o los tych dziewczynek. Siedzimy ciągle w Zakładzie. Męczy mnie to bardzo i z westchnieniem zazdrości wspominam naszą zakretowską chałupę gdzie „choć głodno i chłodno...”, ale w Warszawie znalezienie jakiego takiego locum bez dużych wkładów pieniężnych jest niemożliwe. Gdy będziesz się wybierał w podróż, to nie zapomnij o zimowym płaszczu, bo Twój został niestety na mnie przerobiony, więc nie miałbyś w czym chodzić. Przepraszam za ten nieporządny list, ale Mamusia wszystko najważniejsze za mnie napisała, a resztę ja w moim poprzednim liście, który mam nadzieję, że dojdzie więc kończę, całuję Cię bardzo serdecznie i czekam powrotu Danka.

P.S. Warszawy nie opisuję, bo to pewno jest w Waszych gazetach, zresztą sam zobaczysz. Szkoda murów, ale więcej ludzi.

Ten list też był wysłany przez okazję, ale adresowany już na 10 Chalmers Crescent, Edynburgh 9. Ojciec zachował nawet kopertę, w której były te dość infantylne bazgroły. Myślę, że był zdziwiony, że piszę w drugiej osobie liczby pojedynczej, przed wojną mówiło

się w trzeciej osobie np. „czy Tata mógłby mi dać coś do czytania?”. Panie na poczcie były bardzo miłe, a ja najwyraźniej wpadłam w pychę zostając studentką i wytykałam im braki intelektu. Co prawda nie można było z nimi dyskutować o mgławicach pozagalaktycznych, ale to nie istotne. Napewno żadna z nich nie napisałaby takiego głupiego listu. Nie mam pojęcia kim były te dziewczynki Urzykowskie. Pewno któreś z rodziców pracowało ze mną na poczcie.

21 sierpnia 45 r. Mamusia napisała bardzo długi list:

Kochany Olku!

Dziś zabieram się do dłuższej pogawędki z Tobą. Obiecałam Ci napisać o charakterach naszych Dzieci. Otóż Hala jest bardzo pogodna, dobra, zaradna życiowo, bardzo zręczna. Wykazała to w pracy szklarskiej, robiła termosy i ampułki do perfum i olejków. Ostatnio pracowała jako siostra dentystyczna, gdzie kierowniczką ogromnie ją namawiała na dentystkę, mówiąc, że ma duże zdolności i zręczność w tym kierunku, ale ona kocha ziemię, ogród, kwiaty, więc teraz jest w swoim żywiole. Nie wiem tylko jak jej udadzą się egzaminy, bo chociaż ma lotny umysł, ale brak jej dobrej pamięci, pomaga jej obowiązkowość i dobre chęci, ale z drugiej strony wytrwałość na dłuższą metę czesem zawodzi. Marzy o założeniu rodziny (koniecznie dziesięcioro dzieci). Biedactwo nie ma jeszcze żadnych znajomości, pocieszam ją jak mogę, że jeszcze ma czas. Lubi śpiewać, na co Danką oburzała się, ale to nie zraziło Hali, odwrotnie, zachęciła Dankę do śpiewu, bywało po pracy usiądą przy mnie leżącej i wyśpiewują cały swój repertuar najrozmaitszych piosenek ze wszystkich swoich prac. Lubi gospodarstwo domowe. Zawsze bardzo chętnie wyręczała mnie. Taka jest Hala. Oczywiście w ogólnych zarysach. Danką natomiast jest bardzo nerwowa, wrażliwa ogromnie, chorobliwie ambitna i obowiązkowa. Początek każdej pracy był bardzo ciężki,

przeżywałyśmy z nią trudne chwile, nieraz pomogła Hala swoją pogodą, a czasem mocnym huknięciem na Dankę, żeby się opamiętała i nie poddawała melancholii. Brak wiary w swoje zdolności i umiejętności dużo ją kosztuje, a jest bardzo zdolna i ma świetną pamięć (choć zawsze oponuje) co stwierdziło nauczycielstwo. Podczas matury każdy z profesorów namawiał Dankę na swój przedmiot jak i historia, fizyka, matematyka, polski. Z tego widać jak wszechstronnie jest uzdolniona. Bardzo jest pracowita, więc wszędzie gdzie pracowała była lubiana i ceniona. Brak jej tylko zręczności co ją bardzo boli, chociaż stopniowo na każdej pracy dochodziła do wspaniałych rezultatów. Jest dobrą dziewczynką, tylko bardzo zamknięta, więc często mylnie można mieć wrażenie o jej uczuciowości. Stale ma bardzo wrażliwą skórę na rękach, chociaż od czasu jak nie pracuje fizycznie i nie potrzebuje moczyć rąk w brudnej wodzie stan zapalny i ropny minął, jest tylko wielka wrażliwość, więc musimy bardzo uważać. Bo ciężki i groźny był stan jej rąk, omal nie ogólne zakażenie. Ten okres był straszny. Tyle o naszych dzieciach, muszę jeszcze dodać, że ogromnie są czule dla mnie, opiekują się mną bardzo serdecznie, szczególnie teraz jak się trochę gorzej czuję. Prosisz o wiadomości o rodzinie. Otóż Michałostwo z Jureczkiem wywiezieni do Niemiec byli podobno za Wrocławiem, jeszcze nie powrócili. Mieszkanie oczywiście zupełnie spalone. O Stasi i jej rodzinie nic nie wiem, w swoim czasie posyłałam jej i Tobie paczki. Jeszcze nie wróciła, a może tylko nie możemy się odnaleźć. Córka Stasi była przez jakiś czas z córką Ani. Pracowała u niej za utrzymanie swoje i dziecka. Lida przez całą wojnę była ze Stachem u Iruški, zdrowie jej jako tako dopisywało. Prof. Waław St. (Staszewski) jeszcze nie przyjechał, ale chyba wkrótce będzie tu. Prof. Małko (Małkowski) powrócił z obozu, jest bardzo mizerny, ale to szczęście, że wyszedł z tego niemieckiego piekła. Syn jego, Zdzich ma pracować w Warszawie na Hożej jako młodszy asystent. Prof. Kemula ma być tu, obiecuje wspólne granie. Mam trochę Twoich nut, część zaginęła na Grzybowskiej, ale starczy nam

tego co jest byle by już jak najprędzej można było być razem i nareszcie wznowić nasze wieczory muzyczne, tak bardzo tęsknię do Ciebie i naszej muzyki. Boję się tylko, że będę źle grała, bo tyle czasu nie ćwiczyłam zupełnie, mając do ostatniego dnia wyjazdu pracę zarobkową w gimnazjum, gdzie pani Turkowska była dyrektorką a ja sekretarką. Jej też dużo zawdzięczam. Nie wiem jak długo ten list będzie w drodze, bo jeszcze poczta lotnicza nie działa, ale pisz do nas częściej, to taka radość dla nas. Całuję Cię bardzo serdecznie i tulę mocno Twoja Wituchna.

A więc znów nieoceniona p. Turkowska! Gdy ja „na wszelki wypadek” zdawałam do gimnazjum przed wyjazdem z Wilna, Mama była zaangażowana przez nią do tej polskiej szkoły. Nie trwało to długo, bo wszyscyśmy wyjechali. Z pp. Turkowskimi znów spotkałyśmy się w Białymstoku. Michał, brat Mamy. Stasia, siostra Mamy, jej córka Hala mieszkała czas jakiś razem ze swą kuzynką okulistką (córką cioci Ani, tej która była w Wilnie). Z tą Halą Gilewską, gdy mieszkały jeszcze na Hożej była taka historia: przyszła do nas zapłakana, bo jakaś kobieta powiedziała, że jej mąż żyje i leży chory w Warszawie. Pojechały razem z Poznania do Warszawy i tamto babsko jej zgrabnie znikło, oczywiście po wyłudzeniu pieniędzy na bilet. Hala była przerażona, że zgubiła ślad. Moja Mama ją musiała długo uspokajać, że to było wstrętne oszustwo, a nie ślad życia jej małżonka (który parę lat wcześniej poległ w 39 r.). Jej dziecko, dziś już starszy pan, mój kuzynek Staś, też pamięta tę historię, choć był jeszcze małym chłopcem. Dosyć antypatyczna się sobie wydaję na podstawie Mamusi opisu, choć jest i tak „przedobrzoną”. Na historię naprawdę mnie namawiała moja nauczycielka p. Łęska. Z innych przedmiotów miałam bardzo dobre lub dobre oceny, ale nikt mnie na ich studiowanie nie namawiał, bo stanowczo wybierałam się na Fizykę. Fizykiem był Tatuś no i Prus, mój ukochany pisarz. Poza tym spotkałam wspaniałych

ludzi, którzy też byli Fizykami: prof. Wacława Staszewskiego, prof. Kapuścińskiego, prof. Szczęniowskiego i innych Taty kolegów.

Moja siostra Hala świetnie sobie dała radę, jeszcze na studiach wyszła za mąż za swojego kolegę Zbyszka Boreckiego (obecnie emerytowanego prof. SGGW).

W ten sposób zyskałam wspaniałego szwagra. Wprawdzie udało się jej urodzić tylko dwoje dzieci (Danuta zwana Nulką jest redaktorem wydawnictw rolniczych i amatorem żeglarstwa morskiego, Wiesiek jest właścicielem szkółki drzewek owocowych w Rzeszowskim, na drzewka kupuje patenty w Holandii no i ma troje udanych dzieciaków: Maćka, Olę i Wiktora. Ostatnia dwójka ma imiona na cześć pradziadków Aleksandra i Wiktorii). Przy jakichś retrokronikach filmowych Wiesiek i Nula odkryli reportaż z 45 r. z SGGW, w którym ich przyszła matka siedzi ,z wrodzonym wdziękiem, na górnej pryczy w akademiku i zaplata warkocz. Zapomniałam napisać, że Hala też jest emerytowanym profesorem fitopatologii Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach. Jak widać nie było tak źle z tymi egzaminami. Na tych praktykach miała od razu mnóstwo przyjaciół i przezwisko Murzynek. Do dziś jej mąż Zbyszek do niej tak czasem mówi.

Następny list Taty jest z 18 września 45 r. z adresem: 10, Chalmers Crescent, Edinburgh 9.

Kochana Wituchno!

Serdecznie Ci dziękuję za miłą pogawędkę (dziś dopiero otrzymałem Twój list). Dowiedziałem się z niej bardzo dużo o Hali i Danusi. Cieszę się, że obie kierowały się w wyborze zawodu zamiłowaniem, a nie wyrachowaniem. Niech się Hala egzaminami zbytnio nie przejmuje, bo nie od wyników egzaminów zależy wartość przyszłego fachowca. Właśnie najważniejszą jest rzeczą zamiłowanie.

Czy już nabierasz sił po chorobie? Jak jest ze zdrowiem Hali i Dany? Bardzo mnie interesuje też Wasza sytuacja materialna. Czy macie jeszcze cokolwiek? Czy są książki i jakie? Czy Dana będzie mogła korzystać z moich książek, a może kupić dla niej podręczniki angielskie? I ja marzę o tym, żeby być już razem z Wami i znów grywać wieczorami sonaty i koncerty. Ale jak z fortepianem? Czy będzie można dostać?

Chciałbym bardzo mieć dziesięcioro wnuków, ale czy Hala da sobie radę w obecnych ciężkich czasach?

Co to było z rękami Danusi? Czy nie były odmrożone? Jak jesteście zaopatrzone w ubrania, obuwie, pościel?

Dziękuję bardzo za wiadomości o rodzinie. Wiesz jak kocham Twoją rodzinę, a najwięcej może Stasię. O sobie niewiele mogę napisać. Dwa lata temu, za namową Brunka kupiłem sobie skrzypce. Ćwiczę codziennie po godzinie. Nut mam niewiele, bo niewiele co można obecnie dostać. Mam tu trochę znajomych Szkotów (między innymi dwóch fizyków), z którymi grywam kwartety, kwintety i sonaty. Poza tym wykłady. Pracowałem tylko w dziedzinie fizyki teoretycznej, okazji pracy w pracowni fizycznej nie miałem. Wiele z tego co umiałem, zapomniałem, zapomniałem nawet treść własnych prac. Więc postanowiłem więcej czasu przeznaczyć na czytanie literatury fizycznej, a mniej na pracę oryginalną. Chciałem Cię jeszcze zapytać, co dzieje się ze Skorką. Miał już gotową pracę, możeby teraz można byłoby gdzie ogłosić. Dwukrotnie proponował mi prof. Swings posady w Ameryce, ale odmawiałem. Chciałem być bliżej Was, aby łatwiej móc wrócić. Prawda, że w Ameryce mógłbym się wielu rzeczy nauczyć, ale powyższy wzgląd przeważył. Czy zachowały się odbitki moich prac? Czy widzisz p. Wł. Kras. (Kraśińskiego). Może też do mnie napisze?

Pewno ruiny Warszawy robią na Was przygnębiające wrażenie. Podobno wszystko co było piękne zniszczone: Stare Miasto, Łazienki, kościoły. Czy odnalazłeś już swoje dawne przyjaciółki?

Wiesz, że zachowałem większą część rzeczy, które miałem z domu. Jest i medalik na mojej szyi i książki (Klub Pickwicka-Staszewskiego) Wituchno Kochana, marzę o Twojej fotografii! Czy byłoby możliwe żebyś wysłała mi swoją i Hali fotografię?

Bardzo serdecznie ucałuj Halę i Danusię. Przesyłam im życzenia pomyślnych studiów. Tobie życzę szybkiego powrotu do sił. Mocno i bardzo serdecznie Cię całuję Twój Olek.

Brunek otrzymał wiadomość od Dudusia.

Skorko - Eugeniusz Skorko, mąż mojej kompletowej i AK opiekunki p. Marty Skorkowej - p. Tuni, o której tyle pisałam. Potem doktoryzował się na podstawie tej pracy z Wilna i następnie był profesorem w Łodzi. P. Swings-astrofizyk, przyjaciel Taty jeszcze z czasów przedwojennych, gdy pracował na Hożej 69. Historyczny egzemplarz Klubu Pickwicka jest u mnie, bo go prof. Staszewski Tacie na dobre podarował. Wzruszająca jest skromność Taty, miał już za sobą pracę, z której jest znany na całym fizyko-chemicznym świecie, a myśli, że by się mógł dużo nauczyć w tej Ameryce.

WARSZAWA - POWRÓT TATY

Mieszkałyśmy razem z Rektorstwem (Pieńkowskimi) też na Hożej w dużym, eleganckim mieszkaniu. Zajmowałyśmy jeden pokój, potem dwa. Okropnie to było krępujące pomimo, że pp. Pieńkowscy byli dla nas bardzo serdeczni. Pracowałam na poczcie, Hala była na praktyce

w Skierniewicach. Póki byliśmy w tym mieszkaniu same było świetnie. Hali przyjaciele z praktyki spali na posłaniach w drugim pokoju, jeśli musieli przenocować w Warszawie. My też spałyśmy na materacykach na ziemi, gotowałyśmy na elektrycznej maszynie też ustawionej na podłodze. Życie towarzyskie kwitło, ciągle ktoś nas odwiedzał. Wszyscy się cieszyli, że żyjemy. Pamiętam wizytę prof. Weysenhoffa (teoretyka z UJ). Właśnie gotowałyśmy kluski z przydzielonej w Składnicy Znaczków Pocztowych ślicznej, białej, amerykańskiej mąki. Hrabia, profesor pociągnął z lubością nosem: „ja tak strasznie lubię kluski”. Poczęstowany został „czym chata bogata”, to jest tymi kluchami okraszonymi również przydziałową margaryną.

Odwiedzały nas też krewne Tatusia, ciocia Hala Pęska z córką, ciocia Fetka z Basią, które też zciągnęły do stolicy, wdowa po prof. Patkowskim (on zginął nie pamiętam już w jakich okolicznościach), Mamy dawne uczennice, wreszcie znalazła się ciocia Ira. Wpadła gdy właśnie w Zakładzie były wyprawiane imieniny Rektora (Rektorstwo wpierv mieszkali w Zakładzie). Na te imieniny upiekłam tort wg przepisu Irki, kucharki z Kantyny. Średnio się udał, ale wszyscy jakoś wcinali. To był tort chlebowy, mój popisowy numer kulinarny. I pan Lis wpadł na te imieniny z wiadomością, że „siostra pana Docenta przyjechała”. Wycofałyśmy się z imienin i jak to zwykle bywa po długim niewidzeniu nie wiadomo było co opowiadać. Ciocia o Andrzeju miała tylko jakieś pośrednie wieści, ale była dobrej myśli. Przeżyli oboje powstanie. Ona dostała Krzyż Walecznych. Musiał być dla niej ważny, bo gdy w wiele lat później umierała w gdyńskim szpitalu przypomniła mi, żebym napisała o tym w nekrologu. W ogóle ta piękna i elegancka pani była niezwykle dzielna. Pytała mnie w szpitalu „kiedy to się skończy?” Na moje wykrętne odpowiedzi dotyczące poprawy zdrowia stanowczo odpaliła „przecież pytam się ciebie kiedy wreszcie umrę”. Ciocia bardzo mało się zmieniła. Ze smutkiem porównywałam ją ze schorowaną i mizerną Mamą. Ale to była wielka

radość, że Ciocia Ira przeżyła. Opowiadała o powstaniu, o okupacyjnej Warszawie, o różnych osobach, których już nie pamiętałam, i że bała się naszego powrotu w czasie okupacji, bo Warszawa nie była bezpiecznym miejscem. Troszkę trudno było w czasie wojny o bezpieczne miejsca, ale Powstania nasza Mama napewno by nie przeżyła. Dobrze więc, że nie udało się nam wrócić do Warszawy przed powstaniem. Pamiętam opowieści cioci o kimś z rodziny czy przyjaciuł kto miał starą matkę i chorego, ale jeszcze jako tako mobilnego męża. I ten ktoś zostawił matkę ratując męża. Choć ta kobieta wiedziała, że tę matkę zabiją. Nigdy nie sądzę ludzi postawionych w krańcowych sytuacjach. Ale ciocia powiedziała, że jest szczęśliwa, że jej matka umierała pod jej opieką, otoczona serdecznością ludzką. Trudno oddać nastrój tego lata. Wśród gruzów, zapachu ekhumowanych ciał, ludzie cieszyli się gdy spotkali kogokolwiek z przed kataklizmu. Odwiedził nas też p. Władysław Krasieński, prof. Kemula i wielu innych Taty przyjaciuł. Pytali o nowiny o Tacie, czytali listy, ciszyli się, że Tato ocalał. Nie było w ogóle dystansu pomiędzy takim smarkaczem, studentem in spe i panami profesorami. Siedzieliśmy na tych naszych barłogach, gadaliśmy, jedliśmy co było. Panowały wrzody, z niedożywienia, brudu, ęędzy. Mnie to nie ominęło i jak na złość te wrzodziska były na nogach i urtrudniały chodzenie. A praca w Składnicy była niezwykle ważna. Pamiętam, że pan Krawczyk Rektorski szofer na prośbę rektora „podrzucał” mnie do pracy. Przyjaźniłyśmy się też z dawnymi asystentami z Hożej, późniejszym wybitnym profesorem Jerzym Pniewskim i z p. Twarowską. Bardzo lubiłam p. Pniewskiego. Mówił dużo dobrych rzeczy o Tatusiu, pokazywał mi zdobyte na „Ziemiach Odzyskanych” przyrzady i w ogóle moje jeszcze nie zaczęte studia traktował bardzo poważnie. I właśnie z p. Pniewskim wyszła ogromnie głupia historia. Mieszkanie było akustyczne, pomiędzy naszym pokojem i jednym z pokoi rektorostwa były drzwi. Musiałyśmy się sprawować jak myszki, żeby nie przeszkadzać. Z powodu tej naszej cichości pani Pieńkowska nie wiedziała, że tam wszystko słychać i dość

głośno namawiała p. Pniewskiego, żeby się ze mną ożenił. Tłumaczył się, że jest za stary, co było negowane, bo przecież jest kimś, a „ta mała wcale nie jest taka ładna, a jeśli ojciec nie wróci to w ogóle będzie miała ciężko”. Słuchałam tego z przerażeniem. Bardzo lubiłam p. Pniewskiego, ale coś takiego nie mieściło mi się w głowie. Nie myślałam w ogóle o małżeństwie. Roiła mi się wspaniała kariera naukowa, albo przynajmniej studia. Nie sądzę, aby p. Jerzy Pniewski poważnie wziął nagabywania Rektorowej. Zaraz po tej rozmowie przyszedł do nas, serdeczny jak zawsze, coś tam do mnie zagadywał, ale byłam okropnie naburmuszona. Musiałam go radykalnie zniechęcić do swojej osoby, na wszelki wypadek, żeby nie uległ sugestiom pani Rektorowej. Teraz wydaje mi się to wszystko zabawne. Potem, po wielu latach, prof. Pniewski egzaminował mnie przy doktoracie, jeszcze później był koordynatorem tematu „centralnie sterowanego” (co za terminologia!), w którym prowadziłam grupę tematów biofizycznych i zawsze był dla mnie ogromnie miły (nawet na tym egzaminie!), pomimo, że był już rozsądnie żonaty z siostrzenicą pp. Kapuścińskich, a swoją koleżanką z czasów uczenia na wojennych kompletach. A więc jego sympatyczny sposób bycia nie był funkcją swatów p. Rektorowej. I gdyby nie te akustyczne drzwi nie byłabym wtedy tak paskudnie opryskliwa.

Ale najważniejszym warszawskim przeżyciem był powrót Tatusia. Pan Rektor był w Anglii, widział się z Tatusiem i namówił go na powrót. Tatuś wracał z jakimiś ludźmi z ekipy Mokołajczyka. Trochę było nadziei na jakąś, choć ograniczoną demokrację. Listy chodziły byle jak, telefonu nie miałyśmy. Dość, że pewnego ranka wpadł p. Lis i mówił, że Tata przyjechał i nocuje w Zakładzie, bo nie chciał budzić Rektorostwa. Mama wydelegowała nas do Zakładu. Czulałam, że się sama denerwuje i że wołała, żeby Tato przyszedł do niej, a nie ona biegła na jego spotkanie. Tato wyszedł z pokoju, w którym spał razem z kimś również przyjezdnym. Byłam przerażona, że tak młodo wyglądał. Przez te kilka lat praktycznie się nie

zmienił. Myślałam o postarzałej i schorowanej Mamie. Staliśmy na tym korytarzu ogłupiali. Tato wpieryw powiedział „O Boże, jakie wy już jesteście duże”. No cóż przez te kilka lat jednak wydorosłałyśmy. Było mi przykro, że nie jestem już taką małą dziewczynką, którą pamiętał i kochał. Nie wiedziałyśmy właściwie co robić i co mówić. Nawet bystrzejsza i spontaniczna zwykle Hala nie rzuciła się Tacie na szyję. Tak tkwiłyśmy jak te głupie kołki. Tata zauważył, że Hala miała na głowie czapczkę „pierożek” zrobiona własnoręcznie szydełkiem z jakiegoś sprutego swetra. Było ciepło i wzięła czapczkę tylko z kokieterii. A Tato spytał „Co ty masz właściwie na głowie?” Po kilku latach niewidzenia dziecka, to też nie było błyskotliwe pytanie. Już po spotkaniu z ciotką Iry wiedziałam, że nie jest łatwo zagaić rozmowę w takich momentach, a tu było jeszcze trudniej. Ustaliliśmy wreszcie, że Tata się ogoli, spakuje i przyjdzie do nas. Spytał mnie, czy nie muszę już iść do pracy. Prawdę mówiąc był już czas wędrować do mojej składnicy. Ale żeby od razu wyjaśnić sytuację powiedziałam, że teraz to już ja nie będę tam pracować, bo muszę się uczyć. Na to Tato „To z czego będziemy żyli, moja pensja nie starczy na nas wszystkich”. Byłam przerażona, runął mi Ojca, który wróci i zdejmie ze mnie odpowiedzialność za byt rodziny. Nie wraca się do dzieciństwa. Zrozumiałam, że nieodwracalnie jestem dorosła i muszę ,chcąc nie chcąc, się z tym pogodzić. Zaproponowałam nieśmiało, że może dziś nie pójdę do pracy, tylko dziś. Tato był zdania, że to zupełnie niemożliwe. Więc polecałam do Składnicy, pędem, żeby się nie spóźnić. Powiedziałam koleżankom, że ojciec przyjechał z Anglii. Kierownik spytał ile lat nie widziałam Ojca, a jak się dowiedział, że pięć wysłał mnie zaraz do domu. W domu były już zmiany, dostaliśmy mieszkanie w Zakładzie. Pokój z wnęką kuchenną. Tato wolał to niż dwa pokoje z Rektorstwem w jednym mieszkaniu. Mieliśmy się tam przenieść. Tymczasem w naszym pokoju z materacami do spania i maszynką elektryczną do gotowania siedzieliśmy wszyscy we czwórkę. Taty rzeczy leżały obok naszych barłogów. Były to torby podróżne i

skrzypce. W torbach były prezenty. Dostałam kraciasty szaliczek - chusteczkę. Ze Szkocji! Tato wziął skrzypce i zagrał, nie przejmując się akustycznymi drzwiami, bodaj humoreskę Dworzaka. W tym małym podłużnym pokoju, pomiędzy naszymi posłaniami, na których siedziałyśmy - grał. I wtedy dopiero to był Tato. Tak jak uczniowie poznali mistrza po łamaniu chleba, tak dla mnie ten z korytarza Zakładu krępujący, obcy, elegancki Pan zamienił się w Tatusia. I zaczęłam okropnie płakać. Przestał grać i pytał zdziwiony: „Danusiu co się stało”. Nie umiałam wytłumaczyć, że właśnie w czasie tej Humoreski dla mnie wreszcie skończyła się wojna. Choć byłam już mądrzejsza o ten dzień i wiedziałam, że nie skończą się automatycznie kłopoty. Bo Mamusia choruje, sytuacja polityczna i ekonomiczna kraju jest paskudna, ja niestety jestem dorosła, a Ojciec zgubiony w nowej dla siebie sytuacji rodzinnej i zawodowej.

Do tego przepadły pieniądze, które Tato przesał przez jakiegoś znajomego Stryja Brunka. I to przeze mnie, jak sądzę. Jeszcze przed Taty powrotem nieoceniony p. Lis znalazł mnie mówiąc, że jest jakiś pan do nas. Mamusi akurat nie było. Ten dość antypatyczny facet zaczął mnie wypytywać, czy mam jakąś rodzinę w Anglii. Bardzo mi to przypominało NKWD-owskie przepytówki „a gdzie wasz mąż?” kiedy Tatus był w Kozielsku. Dość, że nie przyznałam się do żadnej rodziny na zachodzie. Facet powiedział, że będę tego żałować i znikł. Nie był wzorem uczciwości, to on powinien powiedzieć od kogo przychodzi. A w ogóle powinien się przedstawić i rozmawiać z Mamusią, a nie ze mną. O tym, że Tatus przesał forszę przez kogoś dowiedziałam się dopiero gdy przyjechał. I wtedy skojarzyłam to sobie z tym przepytującym mnie typem. My po wileńskich przejściach byliśmy na różne takie przepytowania bardzo uczuleni. Z kolei pamiętam inną scenkę, to ja miałam przekazać jakiejś pani list, który ktoś przywiózł z Anglii. Dama mieszkała w Polonii (jedyne czynny wtedy hotel w Warszawie). Leżała w uroczym peniuarze w łóżku i koniecznie chciała wiedzieć kto

ten list przywiózł. Gdy nie chciałam powiedzieć trochę się ze mnie podśmiewała, ale ja wiedziałam swoje: im się mniej mówi tym lepiej. Po Taty przyjeździe rzuciłam jednak tę pocztę i zaczęłam regularnie chodzić na wykłady i ćwiczenia. Bardzo lubiłam wykłady prof. W. Zonna. W ogóle astronomią się od dzieciństwa interesowałam. Z matematyką, o dziwo, nie miałam kłopotu, trochę mi się we łbie kręciło od wielowymiarowej geometrii analitycznej wykładanej przez prof. Borsuka (zupełnie nie wiedziałam po co takie utrudnienia, nic nie powiedział o zastosowaniach fizycznych!), ale kłopotów ze zrozumieniem nie miałam. Wykłady z matematyki, to była taka miła zabawa, podążać za tokiem rozumowania i się nie zgubić. Najtrudniej było na wykładach prof. Sierpińskiego, wiedziałam, że to światowa znakomitość, ale ta znakomitość przychodziła w futrze, zdejmowała je po chwili rozgrzana widać matematyką, bo w sali ogrzewanej jednym stojącym na środku piecykiem było chłodno, i zasłaniała tym położonym na stole futrem pół tablicy. Te trudności techniczne nie zmniejszały mego podziwu dla wykładu i profesora. Byłam naprawdę pełnym zapału słuchaczem. Na ćwiczeniach z matematyki też jakoś „leciało”. Bardzo się bałam, bo jedna ze studentek z tajnego uniwersytetu mówiła, że ten ktoś co prowadził nasze ćwiczenia z analizy matematycznej jest okropnie goźny. Opracowałam więc sobie „ubezpieczenie”: gdy mnie pytał patrzyłam na Wojtka Królikowskiego, a gdy dobrze mówiłam on kiwał głową. To mi dodawało animuszu. Ten Wojtek był moim kolegą z drugiej klasy szkoły powszechnej, do której chodziłam tylko parę miesięcy. I mnie poznał na I roku studiów! Pewno dlatego, że Mamusia wtedy uczyła w tamtej szkole rytmiki i śpiewu. W ogóle studia okazały się łatwiejsze niż przewidywałam, no i miałam od razu pełno przyjaciół. To był pierwszy raz w moim życiu, że się tak prędko i łatwo zaadoptowałam. Najbardziej przyjaźniłam się z Lidką Kępkowicz (potem wyszła za Krzysztofa Maurin) i Konradem Rudnickim. Ta ostatnia przyjaźń przetrwała moją „emigrację” do Torunia i trwała w postaci korespondencyjnej

bardzo wiele lat. Tak się jakoś ułożyło, że większość kolegów z tego początku studiów została naukowcami. Wojtek Królikowski jest bardzo ważnym profesorem fizyki teoretycznej, Konrad jest profesorem astronomii na UJ, a Lidka pracowała bodaj na Politechnice Warszawskiej. Nikt z moich kolegów nie łączył mojej skromnej osoby z Ojcem, który wykładał Fizykę Doświadczalną. Tą Fizykę zaczął wykładać prof. Pieńkowski, ale po Taty przyjeździe zcedował Tacie, bo miał mnóstwo roboty jako Rektor. Wykłady Taty były mniej efektowne niż prof. Pieńkowskiego. Zawsze się trochę za niego denerwowałam, jak mu pójdzie? Sala była pełna studentów, wykład był dla całego wydziału „Mat.- Przyr”. Z Konradem i Lidką byliśmy na Lili Wenedzie, pierwszej sztuce, którą grano w Teatrze Polskim. Bardzo byłam przejęta, prawdziwy polski teatr, i sztuka którą znałam tylko z lektury. Okazało się, że na scenie to zupełnie coś innego niż w cichym czytaniu. Trochę śmieszna była nasza rozmowa w antrakcie sztuki. Siedzieliśmy na „jaskółce”, gdzie pełno było młodzieży „zorganizowanej” ubranej w czerwone krawaty. Z Konradem rozmawialiśmy na różne „podstawowe” tematy, np. czy jest postęp, czy regres w rozwoju ludzkości, a nie o polityce. Jakoś automatycznie zakładałam, że w tym moim nowym środowisku wszyscy mają podobne do mnie niechętnie odczucia w stosunku do komunizmu. Toteż rozglądając się w koło beztrąsko stwierdziłam, że by tu było całkiem miło, gdyby nie tyle tych krawatów. Na to Konrad się nasrożył (był wtedy jeszcze wierzącym komunistą, bo lewicowość odziedziczył po rodzicach) i stwierdził, że szkoda, że swego krawatu nie włożył. Dopiero wtedy dowiedziałam się, że był „u Moczara” GL, AL etc. W Wilnie komuniści to byli „oni” lub zdrajcy. Tu sytuacja okazała się bardziej złożona, wśród „normalnych” przyjaciół można było natrafić na kogoś, kto łba nadstawiał w szeregach AL, a nie AK. Dyskutowaliśmy tę kwestię w czasie powrotu z teatru. Mimo to pozostaliśmy przyjaciółmi. Tylko za parę dni oboje, Lidka i Konrad, w czasie naszej codziennej obiadowej wędrówki, mieli do mnie „przemowę”: spytali

czy wobec tego, że oni są niewierzący mogę się jednak z nimi przyjaźnić. Musieli tą kwestię przed tym omówić, bo wystąpili zbiorowo. Stwierdziłam, że ja mam już mój ateizm czy też raczej agnostyzm „z głowy”, bo z niego wyrosłam, co ich też pewno z czasem spotka. Jak podrosną. A przyjaźnić się i tak możemy. Prawdę mówiąc mój stosunek do Boga był wtedy raczej z gatunku „Bóg i Ojczyzna” czy nawet „Ojczyzna i Bóg”. Najdziwniejsze, że miałam rację, oboje „wyrośli” z ateizmu. Konrad jest duchownym mariawickim, a Lidka wraz z mężem bierze udział w seminariach organizowanych w letniej rezydencji Jana Pawła II. Było mi więc na tych studiach bardzo dobrze. Ale już zbierały się nad tą szczęśliwością chmury: nasza przeprowadzka do Torunia.

PRZEPROWADZKA DO TORUNIA

Na Toruń namówiła Ojca prof. Iwanowska. Gdy Ojciec wrócił z Edynburga, gdzie wykładał na Polskim Wydziale Lekarskim zciągnięty do kraju przez swego promotora i dawnego szefa, w tym czasie rektora UW prof. Stefana Pieńkowskiego, miał pracować w Warszawie. Wiem, że koronnym argumentem Rektora było: „młodzież czeka”. No cóż toruńska młodzież też czekała. Ojciec miał, gdy był w Anglii, bardzo dobrą propozycję pracy w USA, ale przekonany przez prof. Pieńkowskiego wrócił jadąc z ekipą Mikołajczyka do Warszawy. Warunki życia w stolicy były jednak bardzo trudne. Gmach Fizyki na Hożej 69 nie był na szczęście zburzony i tam dostała nasza rodzina tj. Tato, chora Mama i dwie dorosłe pannice-studentki gościnne jednopokojowe mieszkanko. W takich mieszkankach zamieszkiwali przed wojną zagraniczni stypendyści pracujący na Hożej. Jak na Warszawę to był luksus: pokój z wnęką kuchenną. Tato wykładał kurs Fizyki Doświadczalnej, wspólny wtedy dla Fizyków, Matematyków, Chemików i Biologów, to jest dla całego wydziału Matematyczno-Przyrodniczego. Stosunki z dawnymi, przedwojennymi młodszymi kolegami np. z późniejszym prof. J. Pniewskim były bardzo serdeczne. J. Pniewski jeździł w tym czasie „na

szaber” przywożąc z Ziemi Zachodnich przyrządy i książki fizyczne, bo Fizykę warszawską „rozszabrowali” w czasie okupacji Niemcy. Tylko trochę przyrządów ukrytych przez pracowników ocalało. Do tego mieszkanka na poddaszu przyjechała p. prof. Iwanowska z bardzo serdecznym zaproszeniem do Torunia. Obiecywała mieszkanie „od zaraz” i zupełnie wolną rękę w organizacji Fizyki od podstaw. Jednym z koronnych argumentów było, że u własnego promotora (prof. Pieńkowskiego) człowiek nigdy nie będzie traktowany jako dorosły. To był chyba najważniejszy argument, Ojciec chciał zorganizować ośrodek fizyczny po swojemu. Umówione zostało, że Ojciec pojedzie do Torunia porozmawiać z rektorem (prof. Kolankowskim), prorektorem prof. W. Dziewulskim i dziekanem prof. Janem Prufferem. Fizyka żadnego, nawet asystenta, w Toruniu nie było. Pan mgr E. Skorko był, ale się przeniósł do Łodzi. O tej samodzielności wygadałam się prof. W. Zonnowi, z którym wraz z kolegami z I roku Fizyki, wędrowaliśmy codziennie na obiady z Hożej na Krakowskie Przedmieście. I prof. Zonn rozgadał, a ja zostałam mocno zgromiona przez Ojca za plotkarstwo. Przy następnej obiadowej wędrowce zgromiłam z kolei prof. Z., za to samo (to były czasy, to byli studenci!) i zostałam przez profesora uroczyście przeproszona. Ostatecznie Ojciec pojechał do Torunia, wrócił zachwycony „czy wiecie, że tam jeżdżą tramwaje, i że dostaniemy cztero pokojowe mieszkanie z poniemieckimi meblami i to w domu, w którym mieszka prof. Sylwanowicz, no i wszyscy są bardzo serdeczni, szczególnie prof. Dziewulski”. Na początek Fizyka dostała kilka pokoi i salę wykładową na Sienkiewicza 32 z perspektywą budowy specjalnego gmachu. Była zima. Gdy przyjechała po nas i nasz skromny dobytek ciężarówka z ówczesnym studentem Chemii na UMK kol. Matawoskim Mama miała kolejne zapalenie płuc i nie było mowy o jej przewiezieniu. Spakowaliśmy się, moja siostra Hala została żeby opiekować się Mamusią, a my z Tatą wyruszyliśmy w nieznane. W 1946 roku podarowałam Ojcu Robinsona z dedykacją „od wiernego Piętaszka”, bo pojechalibyśmy na nie

tyle bezludną ile bezfizyczną pustynię. Mieszkanie było wspaiałe, choć z ubikacji jak z gejzeru lała się woda na podłogę, a piece nie miały drzwiczek. Przy pomocy klanu zaprzyjaźnionej rodziny Sylwanowiczów ogrzaliśmy jako tako jeden pokój z wielkimi małżeńskimi łózkami i poszliśmy spać niezbyt się rozbierając. Nazajutrz powędrowaliśmy na pierwszy historyczny wykład do Colegium Maius. Było bardzo tam dużo studentów. Podobnie jak w Warszawie był to wykład dla całego Wydziału Mat.-Przyr. Jako wierna Piętaszek notowałam cierpliwie na ułamku stołu, do którego udało mi się dopchać. Pomimo, że to było powtórzenie tego czego już słuchałam w Warszawie. W tym tłumie udało mi się nawiązać kontakt z miłą bardzo jasną blondynką Cesią wówczas Łubieńską (teraz Iwaniszewską). Było to świetne pociągnięcie, bo Cesia była bardzo pilną matematyczką i od razu zorientowałam się w innych wykładach i ćwiczeniach.

Listy, które Tato napisał do Warszawy do Mamy.

Toruń, Sienkiewicza 32, 15.II.45 r. (błąd, to był rok 1946!)

Kochana Wituchno!

Nareszcie mamy własne mieszkanie, takbym się czuł szczęśliwym, gdybyśmy tu wszyscy razem byli i wszyscy w dobrym zdrowiu. Teraz gnębi mnie niepokój, jak Ty się czujesz, czy grypa już zwalczona, czy Hala daje sobie radę w tak trudnych warunkach. Zostałyście prawie bez niczego, nawet lekarstwa Twoje przyjechały razem z nami. Więc musi Wam być bardzo ciężko.

Tu jeszcze nie wszystko w porządku, kuchnia bez fajerek (przepalić nie można i jest tam bardzo zimno) inne urządzenia działają wadliwie (woda na podłodze!), z wanny korzystać jeszcze nie można (brak kolumnienki, kranów itp.).

Instalację świetlną dziś założyłem (prawie we wszystkich pokojach) z pomocą Danusi.

Roboty było sporo, a prawdę mówiąc, chciałoby się trochę wypocząć. A tu w przyszłym tygodniu początek wykładów.

Widziałem Skorkę, prof. Dziewulskiego i Prüffera (oraz Passendorfera). Skorko ma mi dać swą pracę do przeczytania. Ma zamiar doktoryzować się.

Już w pierwszych chwilach naszej podróży przekonałem się, że bardzo dobrze się stało, że została w Warszawie, podróż taka jest ciężka nawet dla zdrowych, zupełnie niemożliwa dla chorych. Jeslibyś nie mogła przyjechać w najbliższy poniedziałek, to będą okazje późniejsze (mówił prof. Prüffer, że co sobota). osobowym autem dojechać można w 3 - 3 $\frac{1}{2}$ godziny.

Łatwiej to przetrzymać.

Chcę jeszcze parę słów dodać o dodatkich stronach naszego mieszkania: pełno słońca i powietrza (zupełnie inaczej niż u Was), sporo bardzo pożytecznych mebli. Między innymi dwa łóżka, szafam biurko, stół stołowy, stół kuchenny i sporo krzeseł. Bardzo też dobrze, że nad nami mieszka prof. dr Sylwanowicz. Bardzo jest życzliwy i dużo okazuje pomocy. Nie podaję innych szczegółów, bo Danusia pewnie wszystkie już podała.

Bardzo byśmy chcieli otrzymać od Was wiadomość o stanie zdrowia, czekamy z niecierpliwością! Czy lekarz (lekarzka) był wzywany? Czy omnadina pomogła? Szkoda, że poczta tak powolna.

Danusia mi napędziła stracha w czasie drogi, trzymała się bardzo dzielnie, aż do Gostynia, a tam nagle zrobiło się jej słabo. Nic w tym dziwnego, nie chciała nic jeść w drodze choć ją do tego namawiałem, więc taki był skutek. Po zjedzeniu gorącego posiłku w Gostyniu wszystko powróciło do normy. Teraz napisała długi list do Ciebie, umyła się ciepłą wodą (nagrzaną na kuchence gazowej) i położyła do łóżka. Ja poszedłem w jej ślady. Halusię całuję bardzo

mocno. Ciebie tulę do serca. Tęsknię bardzo i wyczekuję przyjazdu z niecierpliwością Twój Olek.

A więc pamięć jest zawodna. Ten pierwszy wykład nie był nazajutrz po przyjeździe tylko w parę dni później. Choć pewno powędrowaliśmy na Uniwersytet, po uporaniu się z gejzerem w łazience i ciemnościami w pokojach, bo Tato pisze, że widział szereg kolegów - profesorów, a nie pamiętam, aby porzucił swego Piętaszka, który mu tak dzielnie pomagał zwalczać elektrotechniczne przeciwności. To złe samopoczucie w drodze było wynikiem wielkiego napięcia nerwowego, Mama w ostatniej chwili przed wyjazdem zachorowała i trzeba było coś postanowić, kto jedzie, kto zostaje. Z praktyki ostatnich lat podejrzewałam zapalenie płuc (i miałam rację). Gdy wyjeżdżaliśmy, mówiło się o grypie. Bardzo byłam niespokojna o Mamę, ale zdawałam sobie sprawę, że ktoś musi z Tatusiem pojechać. Z tego wszystkiego nic nie jadłam i kłopot ze złym samopoczuciem.

Drugi list z Torunia do Warszawy:

19.II.46 r.

Kochana Wituchno, Kochana Hału!

Strasznie mnie zmartwiła wiadomość o Twojej chorobie, choć wyjeżdżając zdawałam sobie sprawę, że to coś więcej niż zwykłe niedomaganie. Strasznie też do Was tęsknimy i chcielibyśmy, abyście jak najprędzej były z nami. Wczoraj podałem p. Pniewskiemu i Hali telefon profesora dr Kurowskiego, wice-ministra skarbu (a byłego asystenta USB), mam wrażenie, że siedziałem z nim w Kołotowie. tel. ten - 88 061. Rektor Kolankowski prosił, aby się na niego powołać i prosić prof. Kurowskiego, aby Was w sobotę zabrał, to znaczy zajechał po Was na Hożą 69 i przywiózł do Torunia. Jeżeli by miały być jakieś trudności, to najlepiej

byłoby wynająć sanitarkę, ale to bardzo mało prawdopodobne, aby się udało (może dr Eberhardt poinformuje, czy to możliwe?). Możeby jednak Rektor Pieńkowski mógł pożyczyć swoje auto i Krawczyka (Krawczyk kupiłby prywatnie benzyny), kosztowałoby parę tysięcy, ale w ciągu trzech godzin byłobyście w Toruniu. Myśmy jechali przez: Sochaczew, Gąbin, Gostynin, Włocławek. Szosa dobra, jeden objazd niedaleko od samego Torunia.

Proście Pniewskiego, rektora Pieńkowskiego i innych, by Wam pomogli. Wynajmijcie ostatecznie prywatnie auto osobowe, byleby było dobre i z dobrym szoferem (niech Krawczyk doradzi). Pieniędzmi się nie krepujcie!!. Przyjeżdżajcie!!! Całuję Was bardzo serdecznie Wasz Mąż i Ojciec Olo.

P.S. Pamiętajcie, że nad nami mieszkają doktorostwo Sylwanowiczowie. Nasze zaziębienie już minęło.

Komentarz:

dr Eberhardt, jeszcze przedwojenny znajomy szef warszawskiej służby zdrowia, ojciec Mamy uczennicy, a mojej przyjaciółki Lali.

Krawczyk, zaufany, jeszcze przedwojenny szofer Rektora Pieńkowskiego.

Jak widać przewiezenie chorej osoby z Warszawy do Torunia w początku roku 1946 było okropnie skomplikowanym zagadnieniem, w które trzeba było uwikłać dwóch rektorów, jednego wice-ministra, no i Krawczyka.

Z przeprowadzką do Torunia skończyły się ostatecznie nasze wojenne i powojenne wędrówki.

IV. Korespondencja

(1998-2002) - k. M + 3 koperty



Wpłynęło dnia 8.05.98
L.dz. 1097/MSK/98

3 V 1998

Szanowni Panowie

jakna z moim zachyć Wolności
zmusła mnie zdyć przytaku to
relacji. Czego nie robi ni dla
Dziękuję!

Wyprawy szacunku
Dziękuję Panu.

Hi Damske fabryczne - Francisko wale

P.S. Naprawdę nie ma o czym pisać!

Kopiecki!
proszę podjąć
proszę

Wpłynęło dnia 2.06.98
Ldz. 1241/MSU/98

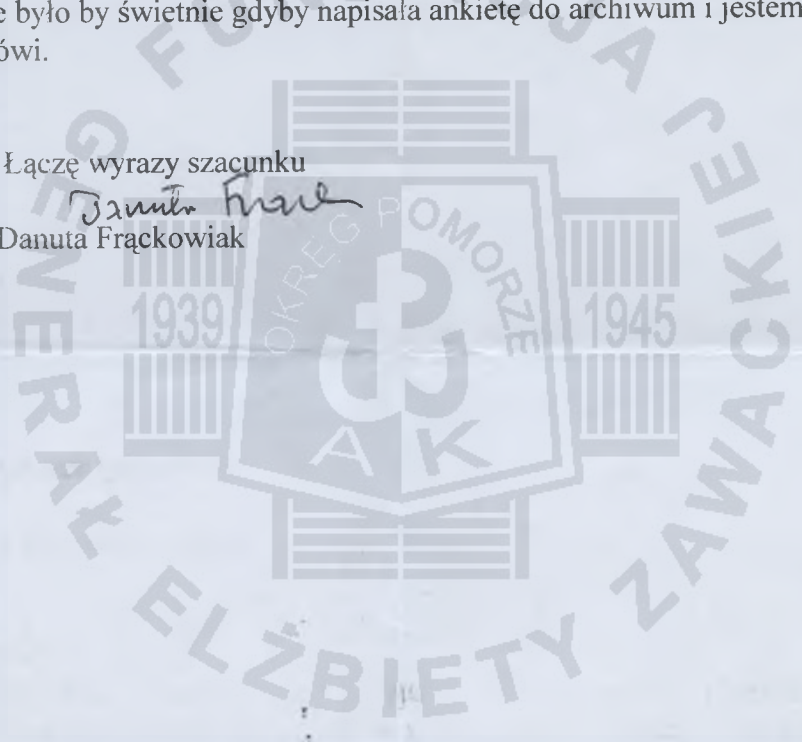
W.Pani
Marta Czyżak
Fundacja
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul.Wielkie Garbary 2
87 100 Toruń

22 maj 1998

Szanowna Pani,
Telefnowałam po Pani karcie do p. prof. Marty Skorko-Barańskiej,
która upoważniła mnie do przekazania Pani jej adresu:
00103 Warszawa,tel.(022)

P.prof.Skorko-Barańska jest osobą o niezwyklej szlachetności i wielkich zasługach.
Bierze ciągle udział w redagowaniu wydawnictw związanych z Wilnem i jego wojenną
historią. Myślę ,że było by świetnie gdyby napisała ankietę do archiwum i jestem pewna,że Ja
Pani do tego namówi.

Łacze wyrazy szacunku
Danuta Frackowiak
Danuta Frackowiak



Toruń, dnia 20 VI 2002r.

Kopia

1.dz.2636 WSK 2002

Pani prof. dr hab. Danuta Frąckowiak
ul. 1
61- 663 Poznań

Szanowna Pani Profesor,

Uprzejmie informuję, że w Archiwum WSK ma Pani założoną teczkę osobową o numerze inwentarza 995/ WSK. Jestem dokumentalistką w dziale Wojennej Służby Kobiet i zajmuję się między innymi opracowywaniem dokumentów kobiet- żołnierzy z AK Wilno, także korespondencją. Zapoznałam się z interesującą, rzeczową Pani relacją. Z powodu reorganizacji pracy w Fundacji, po odejściu p. Marty Czyżak, która zajmowała się kontaktami z Kombatantkami mieszkającymi w Poznaniu, nastąpiła długa przerwa w korespondencji. Podany przez Panią adres Marty Skorko- Barańskiej nie został wykorzystany by uzyskać relację. O Jej działalności konspiracyjnej dowiedziałam się z książki „Łączniczki Okręgu Wileńsko- Nowogródzkiego AK”, pod red. L. Malinowskiego, Bydgoszcz 2001. Ubolewam ponieważ prof. Skorko- Barańska już nie żyje i będzie trudno zdobyć materiały. Uczestniczyłam jako przedstawicielka Fundacji na XIX-stym Zjeździe Żołnierzy Kresowych w Międzyzdrojach we wrześniu ubiegłego roku. Poznałam tam wiele łączniczek dzięki którym udało mi się uzyskać materiały archiwalne. Zwracam się do Pani Profesor z serdeczną prośbą o przysłanie zdjęcia, także kserokopii legitymacji posiadanych odznaczeń. Jeżeli jest to możliwe to proszę o napisanie obszerniejszej relacji. Może posiada Pani wycinki prasowe, informacje o łączniczkach, adresy - proszę przysłać. Będę wdzięczna za tę pomoc. Uprzejmie proszę o podpisanie zgłoszenia do Memoriału General Marii Wittek. Wiem, że była Pani związana uczuciowo z Toruniem, studiami. Z całego serca zapraszam. Może wybierze się Pani na zaplanowaną XII-stą listopadową Sesję Fundacji. Wysłałam Pani materiały informujące o działalności Fundacji i Memoriału. W imieniu całego zespołu pracowników Archiwum WSK na czele z P. prof. Elżbietą Zawacką serdecznie pozdrawiam, życząc wiele zdrowia i sukcesów w twórczej pracy naukowej z nadzieją współpracy z naszym Archiwum.

Z wyrazami głębokiego szacunku
Anna Rojevska

Wpłynęło dnia 27 06 2002
L.dz. 2679/WSK/
D.O.

IV/4

Szanowna Pani
Anna Rojewska
Fundacja
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
Ul. W. Garbary 2
87 100 Toruń

25 czerwiec 2002

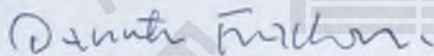
Szanowna Pani,

Dziękuję za miły list, z którego wynika, że mam w Archiwum WSK swoją teczkę.

Z moją Przełożoną w czasie mojej służby Martą Skorko-Barańską byłam w przyjaźni, aż do Jej śmierci. Niezwykła to była Osoba. W książce „Łączniczki” w rozdziale pisany przez p. Zosię Dąb-Biernacką na str 37 coś jest pokrecone: Pani Marta Skorko przez przyjaciół i w domu była nazywana Tunią, a miała pseudonim Irena. Na schemacie występuje jako dwie osoby: Irena i Tunia. O ile wiem byłam jedną z 6 szyfrantek (Szyfry bieżące). O tym, że pracowałam w Kancelarii Szefa Sztabu dowiedziałam się od Pani Tuni dopiero po wojnie. Wtedy wiedziałam tylko to co było konieczne do wykonania poleconych prac.

Prosi Pani o obszerniejsze wspomnienia. Chciałam wpięrcw przesłać kopię tylko tych stron moich wspomnień, które dotyczą AK, ale po namyśle przesyłam całość. Są tam informacje o różnych osobach, z którymi byłam zaprzyjaźniona. Nie tylko o Pani Tuni, ale i o „Cioci” Fetce Pakoszowej, o Basi Pakoszównie, o dziejach mojej Rodziny itp. Wspomnienia te są złożone w Archiwum UMK, ale może przydadzą się i w Archiwum WSK. Przesyłam też kopię mojej notatki z Wileńskich Rozmaitości. Małe były moje konspiracyjne zasługi, ale i sytuacja mojej Rodziny nie była łatwa. W lipcu jadę na zjazd naukowy do Wilna. Pierwszy raz od pamiętnego, bolesnego wyjazdu. Mury są, ale Ludzie... Życzę owocnej pracy nad naszą trudną Historią.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku



Danuta Frąckowiak

PS przekazuję skromny dar na potrzeby Fundacji Archiwum AK i zgłoszenie do Memoriału Generał Marii Wittek.

tel. (61,

27 06 2002
2679/usk/

IV/5

Szanowna Pani
Anna Rojewska
Fundacja
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
Ul. W. Garbary 2
87 100 Toruń

25 czerwiec 2002

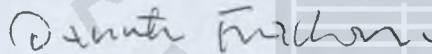
Szanowna Pani,

Dziękuję za miły list, z którego wynika, że mam w Archiwum WSK swoją teczkę.

Z moją Przełożoną w czasie mojej służby Martą Skorko-Barańską byłam w przyjaźni, aż do Jej śmierci. Niezwykła to była Osoba. W książce „Łączniczki” w rozdziale pisany przez p. Zosię Dąb-Biernacką na str 37 coś jest pokręcone: Pani Marta Skorko przez przyjaciół i w domu była nazywana Tunią, a miała pseudonim Irena. Na schemacie występuje jako dwie osoby: Irena i Tunia. O ile wiem byłam jedną z 6 szyfrantek (Szyfry bieżące). O tym, że pracowałam w Kancelarii Szefa Sztabu dowiedziałam się od Pani Tuni dopiero po wojnie. Wtedy wiedziałam tylko to co było konieczne do wykonania poleconych prac.

Prosi Pani o obszerniejsze wspomnienia. Chciałam wpieryw przesłać kopię tylko tych stron moich wspomnień, które dotyczą AK, ale po namyśle przesyłam całość. Są tam informacje o różnych osobach, z którymi byłam zaprzyjaźniona. Nie tylko o Pani Tuni, ale i o „Cioci” Fecie Pakoszowej, o Basi Pakoszównie, o dziejach mojej Rodziny itp. Wspomnienia te są złożone w Archiwum UMK, ale może przydadzą się i w Archiwum WSK. Przesyłam też kopię mojej notatki z Wileńskich Rozmaitości. Małe były moje konspiracyjne zasługi, ale i sytuacja mojej Rodziny nie była łatwa. W lipcu jadę na zjazd naukowy do Wilna. Pierwszy raz od pamiętnego, bolesnego wyjazdu. Mury są, ale Ludzie... Życzę owocnej pracy nad naszą trudną Historią.

Łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku



Danuta Frąckowiak

PS przekazuję skromny dar na potrzeby Fundacji Archiwum AK i zgłoszenie do Memoriału Generał Marii Wittek.

nazwa odbiorcy
FUNDACJA ARCHIWUM POMORSKIE

nazwa odbiorcy cd.
AK W TORUNIU

i.k. nr rachunku odbiorcy
W B K S A TORUN 1090 1506 - 4675 - 128 -

00-0 | WP | PLN | kwota: 100,00

nr rachunku zleciodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)
STO ZKOTYCH

nazwa zleciodawcy
DANUTA FRACKOWIAK

nazwa zleciodawcy cd.
61-663 POZNAŃ

tytułem
DAR PIENIĘŻNY NA FUNDACJĘ

tytułem cd.

Polecenie przelewu / wpłaty gotówkowa

odcinek dla zleciodawcy

Ksenia

ELIXIR



56

Opiata: 5,10

5-31-4020PKO BP SA/2001
pieczęć, data i podpis(y) zleciodawcy na ostatnim blankiecie

27 06 2002
2673/104/

Memoriał Generali Marii Wittek zaprasza do współdziałania wszystkie kombatantki z jakichkolwiek formacji walczących w II wojnie światowej oraz wszystkich zainteresowanych dziejami wojennej służby Polek, pełnionej w czasie tej wojny. Prosimy członkinie Memoriału o zachęcanie swoich znajomych do wysyłania na adres naszego Archiwum (Fundacja „Archiwum Pomorskie AK”, ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń, tel.: 056/652 21 86) poniższego zgłoszenia.

AK Litko

ZGŁOSZENIE

Ja ... Danuta Frackowiak (z domu Jabłonna) ...
zamieszkała(y) ... ul. ... 61-663 Poznań ...
tel.: ... Email: ...

Zgłaszam się niniejszym na członka Koła Przyjaciół Memoriału Generali Marii Wittek z zamiarem współdziałania lub wspierania jego działalności.
Jednocześnie wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych w komunikatach wydawanych przez Memoriał oraz w innych pracach Memoriału, w rozumieniu ustawy z dn. 28.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (Dz.U. Nr 133, poz. 883).

Poznań 25 sierpnia 2002
(miejscowość, data)

[Podpis]
(podpis)

MEMORIAŁ
General Marii Wittek

Toruń, dnia 9 VII 2002r.

Kopia
odp. 2679/1046

1.dz.2772 WSK 2002

Pani prof. dr hab. Danuta Frąckowiak
ul.
61 - 663 Poznań

Wielce Szanowna Pani Profesor,

Z całego serca dziękuję za tak szybki odzew na moją prośbę. Z radością odebrałam tak obfitą przesyłkę. Pani wspomnienia są cennym nabytkiem dla naszego Archiwum. Już zdążyła się z nimi zapoznać nasza Pani Profesor Zawacka. Bardzo się ucieszyła z nawiązanego kontaktu i liczy na współpracę z Panią. Dziękuję, że podpisała Pani zobowiązanie /drucek/ do Memoriału General Marii Wittek. W imieniu całego zespołu pracowników Fundacji dziękuję za przekazany dar pieniężny / kwota 100 zł/. To dzięki takim ofiarodawcom jak Pani możemy kontynuować nasze prace archiwalne i wydawnicze. Oficjalne podziękowanie będzie opublikowane w Biuletynie Fundacji, który wyślę Pani. Nie ukrywam Droga Pani Profesor, że ten rok jest wyjątkowo „chudy” finansowo i brak nam sponsorów. W naszym trudzie wspiera nas finansowo wielu sympatyków Fundacji i Memoriału. Trwają przygotowania do naszej tegorocznej sesji popularnonaukowej na temat wojennej służby kobiet (finansowanej częściowo przez Urząd Miejski w Toruniu). Proszę przyjąć w darze od Fundacji książkę, są to materiały X sesji „Wkład archiwów w rozwój badań nad polskim czynem zbrojnym 1939-1945”. Chętnie wyślę Pani inny temat /załączam ulotkę wydawniczą Fundacji/.

Jeszcze raz dziękując za wszystko zapraszam do Torunia. Życzę miłego pobytu w Wilnie.

Mam też prośbę w imieniu p. prof. Zawackiej czy posiada Pani pewne informacje o Gertrudzie Frąckowiak z AK Kedyw KG, mającej weryfikację VM z Londynu, nr krzyża 12674. Pragnę poinformować, że prof. Zawacka opracowuje biogramy do nowej książki o kobietach z VM. Prosi również Panią aby zechciała być Pani naszą przedstawicielką Memoriału na Poznań. / W Poznaniu dotychczas są : Maria Krzyżańska i Hanna Nowicka/

Z wyrazami głębokiego szacunku

Anna Rojevska

Szanowna Pani
Anna Rojewska
Archiwum Pomorskie AK
Ul. W. Garbary 2
87 100 Toruń

28 lipca 2002

Szanowna Pani,

Wpłynęło dnia 1.08.
Ldz 2944 WSK 2002

Dziękuję za list z dn. 9. VII 02. Moja działalność w AK była znikoma, trochę ze względu na moją sytuację rodzinną (Ojciec „na wojnie” ,Mama chora), trochę ze względu na mój wiek. Z wiadomych względów po wojnie trzeba było o tym milczeć. Mam nadzieję ,że w późniejszym „cywilnym” życiu udało mi się więcej dla Kraju zdziałać (wypromowałam ¼ setki doktorów, 8 habilitantów, wielu młodszych kolegów wysłałam na staże zagraniczne, opublikowałam około 200 prac). Piszę to, nie żeby się chwalić ,ale żeby pokazać ,że starałam się choć trochę odrobić prace za moich rówieśników, którzy nie przeżyli wojny.. Ciągle jestem aktywna naukowo .Nie biorę udziału w żadnych kombatanckich akcjach, zjazdach itp. .Ale jestem dumna, że byłam żołnierzem AK.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia

Danuta Frąckowiak

(Danuta Frąckowiak)

PS Będę wdzięczna za przesłanie za zaliczkiem pocztowym następujących pozycji:
TIII E. Zawacka „Szkice z dziejów WSK” wydanie II
TVIII Powojenne losy konspiracji na Pomorzu (Toruń 1995)
TXXI A. Gąsiorowski „Pomorska chorągiew Szarych Szeregów”

NOTATKI

odp. 2947/2002

Toruń, dnia 2 VIII 2002

1.dz.2947 WSK 2002

Szanowna Pani Profesor,

Z całego serca pozdrawiam i dziękuję za list. Ze wspomnieniami Pani i korespondencją zapoznała się Pani Prezes Fundacji Dorothea Trauacka - Hakarecy. Właśnie to Ona zwróciła uwagę na Pani Osobę przeglądając nasze teatralne osobowki. Zależy jej bardzo na odnowieniu kontaktów. Bardzo się ucieszyła, że Pani Profesor odpowiedziała, że teatralna osobowa Pani jest uzbrojona w pełne wspomnienia. Proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia od niej, wiele satysfakcji z pracy naukowej i tak dużego dorobku w ujęciu prac.

Natychmiast spełniam prośbę i wysyłam pozycje:
T. III, VIII i XXI

Co sądzi Pani Profesor o naszych zamierzeniach? Mimo trudności finansowych, mamy nadzieję, że nasze prace będą kontynuowane. Chociaż do listopadowej Sesji jeszcze sporo czasu, ale bardzo prosimy by Pani Profesor nas zaszczyliła swoją obecnością.
Z szacunkiem - Anna Rojewska

Wpłynęło dnia 21.10.
Licz. 3788 WSK/100
D.G.

Fundacja Archiwum Pomorskie AK
Ul. Wielkie Garbary 2
87 100 Toruń
W.P. Anna Rojewska

15.10.2002

Szanowna Pani,

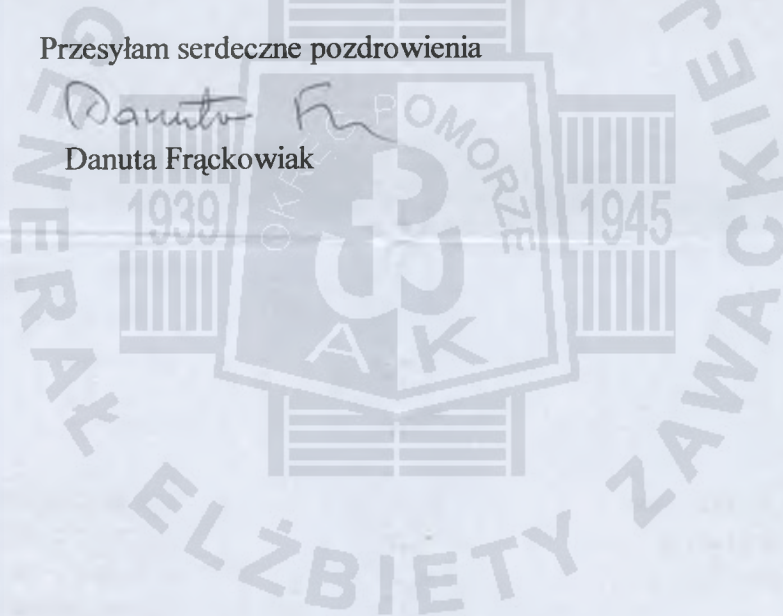
Serdecznie dziękuję za list i informacje o III Zjeździe Kombatantek .Jestem pełna podziwu dla aktywności Fundacji. Bardzo byłabym wdzięczna za przysłanie mi za zaliczeniem pocztowym książki „Terenowe Struktury Delegatury Rządu...”.

Na Zjazd niestety nie mogę przyjechać-pomimo sędziwego wieku ciągle mam wykłady na Politechnice. Tym razem dla studentów zaocznych, akurat 16 listopada. Nie mogę tych wykładów przełożyć na inny termin. Chętnie posłuchałabym ciekawych referatów !Czy materiały będą opublikowane? Jeśli tak, też je chętnie nabędę.

Dziękuję za pamięć. Choć co tam ze mnie za kombatant-byłam tylko taką smarkatą szyfrantką od mniej ważnej korespondencji. Bardzo mi brak mojej przełożonej w tej pracy Marty Skorko. Po wojnie bardzo się z Nią zaprzyjaźniłam. To był wspaniały człowiek!

Przesyłam serdeczne pozdrowienia

Danuta Fr
Danuta Frąckowiak





Poznań, Plac Sapieżyńskich, ulica Fryderykowska

IV/12

Wydawca: brak, ok. 1910
Ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Poznania
© Bogusław Nieznalski 1998

Wpłynęło dnia 31.12.2002

Licz. 6293/A



5 907780 7(1411)3 >

12-R11



WYDZIAŁ KULTURY I SZKOLNICTWA
DZIAŁ KULTURY I SZKOLNICTWA
DZIEDZIAŁ KULTURY I SZKOLNICTWA
DZIEDZIAŁ KULTURY I SZKOLNICTWA

yply wank
mnie ml
yżo
na twardo
Sądowe
rodzaje
Damt 12

Szanowna i Miła Pani,

Wieloletni, 1945
pamięci i zyczenia

Na odwrocie listu

Four empty square boxes for a postal code

z zamieszkania w Poznaniu

IV/13

POLENAN 2
29 07 02 19
RL2



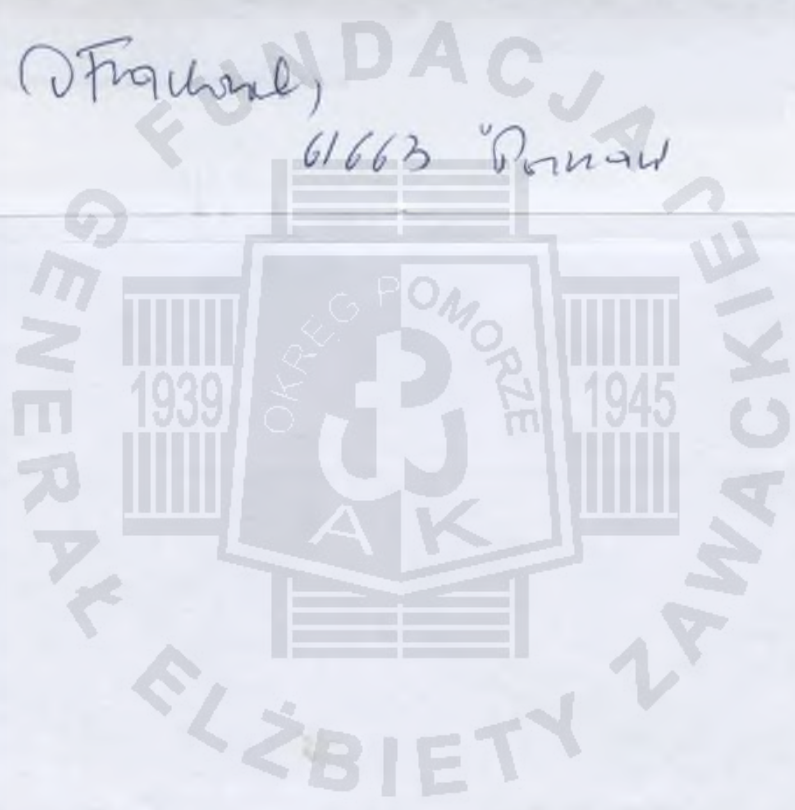
FUNDACJA
GENERALNA
ELŻBIETY ZAWACKIEJ
REG POMORSKIE
1939 1945

Szanowna Pani
Anna Rojewska
Archiwum Pomorskie AK
Ul. W. Garbary 2
87 100 Toruń

Wrocław)

61663 "Pomara"

IV/14





Frąckowiak Danuta
61-663 Poznań
ul.

wpłynęło dnia 21.10.
L.dz. 2488/18/100



IV/16

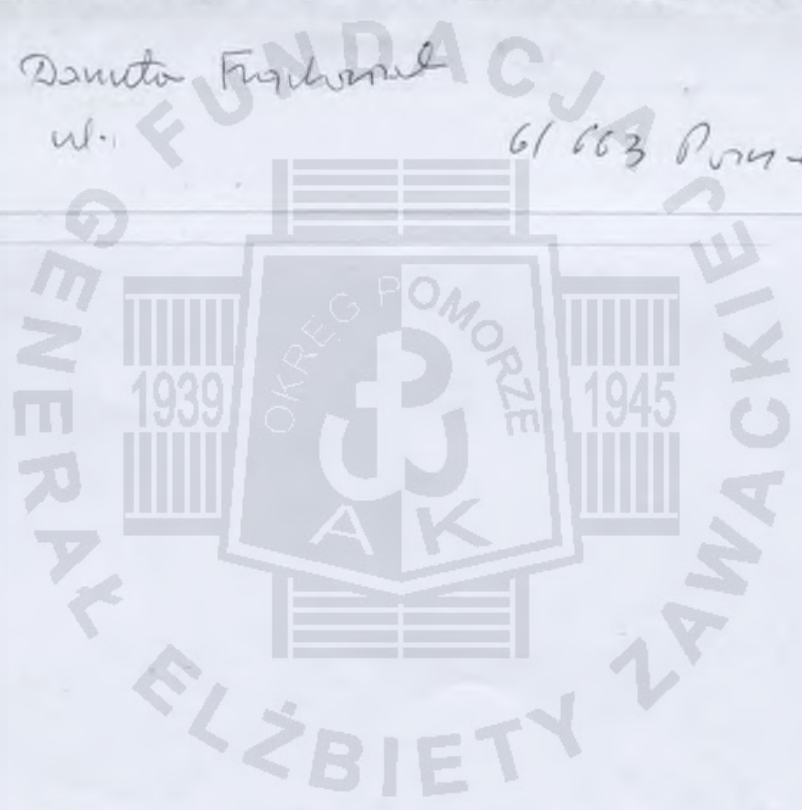


Fundacja Archiwum Pomorskie AK
Ul. Wielkie Garbary 2
87 100 Toruń
W.P. Anna Rojewska

IV/14

Danuta Figiel
ul. ...

61 663 Pomiech



i

T. 995

AK
Wilno

JABŁOŃSKA Danuta
zam. Frąckowiak

Szyfrantka w kancelarii Szefa Sztabu
Okręgu Wileńskiego ptk. Lubostawa
Kmerszkowski ps. "Ludwik".

MG298

T. 995 / WSK

AK
Dilno

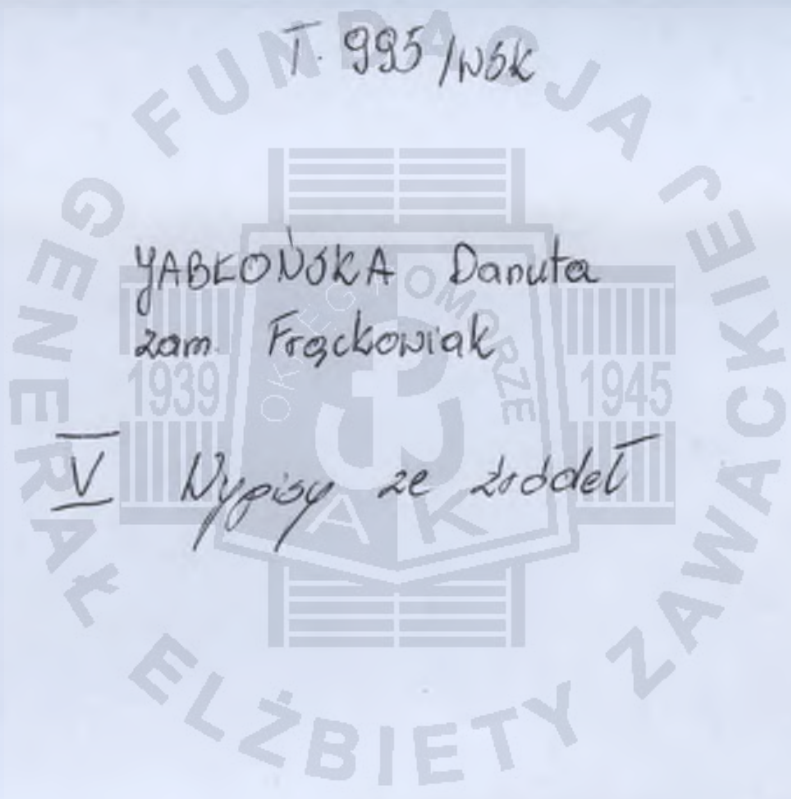
YABLONSKA Danuta
zam. Frąckowiak

1939

1945

V

Nypisy ze zoddet

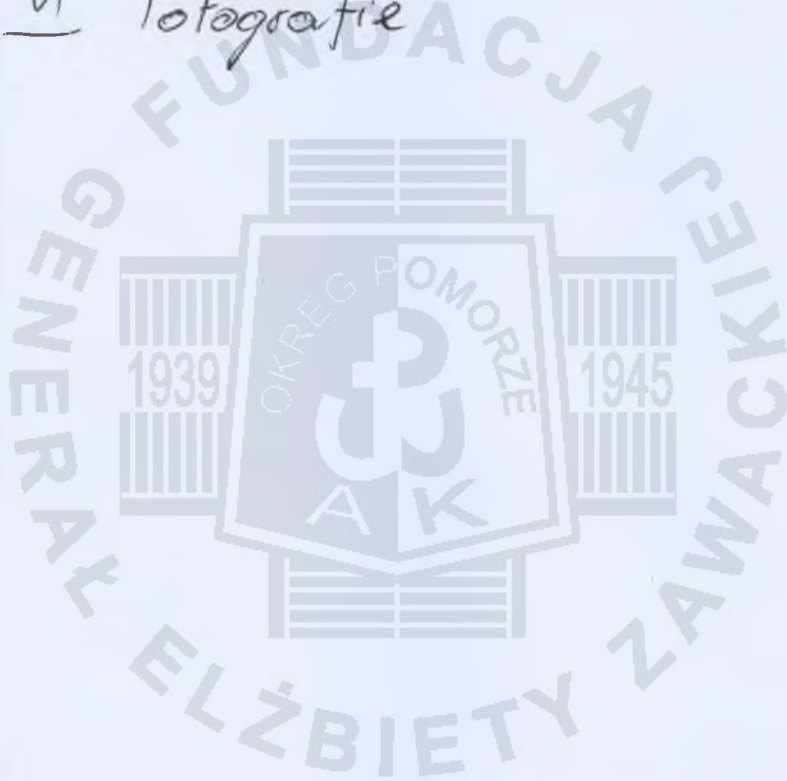


T. 995/wsk

AK
Wilno

YADKOŃSKA Danuta
zam. Frockowiak

VI Fotografie



VII/1

Wpłynęło dnia 27 06 2002
2679/406

Fotografii
z różnych czasów
(niezależnie!!)

3 zdjęcia leg. Jabiońskiej - Frąckoniak













JABKOŃSKA Danuta

